~~BIBLIOTEKA~~
~~TOWARZYSTWA~~
~~PIOTRA~~
~~SKARGI~~
~~N° 184~~
L. 776.

LIGA KATOLICKA PARAFIALNA
we LWOWIE
PARAFII S.W. ARTOSKI

BIBLIOTEKA
TOWARZYSTWA
PIOTRA
SKARGI.
Nr 484

BIBLIOTEKA

najciekawszych

Powieści i Romansów.

Tom LIII.

LIGA KATOLICKA PARAFIALNA
we LWOWIE
PARAFII S. M. ANTONIEGO
L. 776.

39658

BIBLIOTEKA TOWARZYSTWA PIERWSZA SKŁADU
Nr. 1/8

JÓZEF TRETIAK.

PAMIĘTNIKI DANIELA

powieść współczesna.

964
L: 776.
LIGA KATOLICKA PARAFIALNA we LWOWIE PARAFII ŚW. ANTONIEGO
CZYTELNIA K. WIL. BIBLIOTEKA

LWÓW.
NAKŁAD WYDAWNICTWA „BIBLIOTEKI POWIEŚCI I ROMANSÓW."
Czcionkami Kornela Pillera.
Główny skład w księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie
przy placu św. Ducha l. 10.
1873.

ATENEUM LWÓW
KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 2595A KS. ARCHIWALNY w Białymstoku
Miejska Biblioteka Publiczna 7882
884-311.2
BIBLIOTEKA TOWARZYSTWA PIOTRA SKARGI. Nr.
LIGA KATOLICKA PARAFIALNA we LWOWIE
L. 776

I.

15. lipca.

Po co ja żyję na świecie, doprawdy nie wiem. Myślałem długo nad tem, jakieby zadanie wymyślić dla swego żywota, ażeby go jakoś uprawnić, jeżeli nie przed ludźmi, to przynajmniej przed samym sobą. Myślałem nieraz nad tem bardzo długo, ale nie zdołałem nic wymyślić.

Wy jednak co to czytać kiedykolwiek będziecie, nie posądzajcie mię zaraz o zamiar samobójstwa. Bądźcie zupełnie spokojni pod tym względem. Wprawdzie nieraz o niem rozmyśliwałem, ale czyniłem to jedynie w teoretycznym celu. Nie miałem nigdy najmniejszego pociągu do samobójstwa; wydało mi się ono zawsze skutkiem choroby lub dziwactwa. A trzeba wiedzieć, że jak w innych lubię, i to bardzo, wszelkiego rodzaju dziwactwa, tak znowu w sobie samym nie znoszę.

A i teoretyczne rozmyślania nie doprowadziły mię nigdy do potrzeby samobójstwa. Kiedym pytał siebie,

po co ja żyję, nie mogłem dać sobie odpowiedzi, ale też kiedym zapytał siebie po co mam się zabijać, nie wiedziałem także co na to odpowiedzieć. I rzeczywiście po co mam się zabijać? Czy z tego komukolwiek cokolwiek przyjdzie? Nakoniec ponieważ nie jestem wcale filantropem, a do głośnej i patentowanej filantropji czuję nawet lekką odrazę, coś tak jak do zapachu świec woskowych, więc pytałem siebie, czy też przynajmniej nie zdołam komu zaszkodzić przez dokonanie samobójstwa. I cóż się okazało? Oto, że nikomu tem nie zaszkodzę, a ludzie, dowiedziawszy się o mojej śmierci samobójczej, pokręcą głowami i dziewięciu z dziesiątka powie głosem najgłębszego przeświadczenia: oto głupiec.

Przyznać muszę, że dla osiągnienia takiego tylko rezultatu nie warto się narażać na kłopot rozsadzania czaszki i wszystkich przedwstępnych czynności samobójstwa, które mię najbardziej od niego odrażają.

Stosunek mój do społeczeństwa w którem mię przypadek czy konieczność umieściła, jest zabawny. Raz mi się wydaje, że wszyscy ludzie są głupsi odemnie, że pragną siebie i drugich oszukiwać, że lepią jakieś pozłacane cacka, wystawiają je na wysokiej tyce, tak wysoko, żeby nie można ich było rozglądnąć należycie okiem i nuż kłaniać się im do upadłego, nuż śpiewać piosenki na cześć złoconego cacka i inne hece na sposób ludzki wyprawiać. Kiedy ktoś mówi o miłości małżeńskiej, to ja w nim widzę popędliwość płciową, która się od zwierzęcej w ogóle odróżnia hipokryzyją. Kiedy ktoś mówi o gotowości do poświęceń dla ojczyzny, natychmiast wietrzę w nim chętkę gonienia za popularnością, która jest tylko przednią strażą wielkiej armji, co się nazywa ambicyą. Jeźli artysta wykrzykuje traicznym głosem o miłości dla ideałów, to mam go albo za rodzaj warjata, i to nie z warstwy spokojnych i nieszkodliwych, ale przeciwnie z tych których słusznie czy niesłusznie zamykają do osobnych domów; albo co gorzej za deklamatora, i zdaje mi się wtedy, że jestem we włoskiej operze na przedstawieniu Trubadura, i słyszę jęki tenora wychodzące z więzienia kartonowego, i widzę łamanie rąk primadony, iż nic już nie wybawi jej kochanka z tych murów — aż do spadnięcia kurtyny. Jeźli upatrzę w kim to co nazywają ludzkością, humanitarnością, filantropją, czy jak chcecie, uważam to za objaw dziwactwa, i jeźli objaw jest szczery, to mi się nawet ów człowiek podoba, jak w ogóle wszyscy ludzie, którzy szczerze popełniają dziwactwa; ale jeźli to jest głośna filantropja, rozlubowana w sobie, z pod oka patrząca na sprawiane przez się wrażenie, to przypomina mi ona, wybaczcie mi ci, którym to kiedykolwiek może wpaść w ręce, przypomina mi, sam nie wiem dla czego, wielkanocne prosię z chrzanem w zębach. Powtarzam, sam nie wiem dla czego, i widzę dobrze że porównanie jest dzikiem i niezrozumiałem, chciałbym je jednak jako tako usprawiedliwić wprost dla własnego zadowolenia. Oto wyraz przybranej filantropji przypomina mi często wyraz łagodności prosięcej, pod którą tkwią popędy obżarstwa i wszystkie inne, które później w dojrzałym wieku cechują wyraźnie to zwierzę. Muszę tu dodać w nawiasie, że wielkanocne prosię z chrzanem w zębach i z tym swoim wyrazem łagodności, przypomina

mi dużo rzeczy i wiele porównań napędza do głowy. Jeźli mi kiedyś przyjdzie wielka ochota, to może napiszę małą rozprawkę o wielkanocnem prosięciu.

Jeżeli mi wieśniak mówi, że trzeba Boga miłować, to wiem że nieborak rozumie pod tem wielką bojaźń jaką ma za plecyma dla piekła z całą jego smolną melodramatycznością i nieco mniejszą chętkę dostania się do nieba, którego roskosze nie są dlań zupełnie dostępnemi. Ale jeźli mi jaki gentleman duchowny lub świecki prawi o miłości dla Najwyższej Istoty, lub jeźli filozof swym bezkolorowym językiem naucza mię o ukochaniu prawdy bezwzględnej, to przyznaję się najotwarciej, że cierpliwość moja wówczas jest narażoną na wielką próbę i nie zawsze udaje mi się zachować obojętnie w obec takiego naigrawania się z mojego zdrowego rozsądku.

Z tego co powiedziałem, można się przekonać, że wszyscy ludzie są albo głupsi, albo gorsi odemnie. Dodam tu jeszcze, że istotnie nieraz żal mię bierze i litość, kiedy widzę usilne krzątania się, rozpaczliwe szamotania ludzkie, prowadzące w rezultacie do ziarnka piasku, gdzie tam! do zera właściwie, do tego aby objechać koło i stanąć na punkcie z którego się wyjechało. Tyle przykrości, tyle codziennych kłopotów, cierpień, lamentów, dla czego? dla urojenia, dla stałych przywidzeń, to mi nasuwa myśl o znanem bractwie biczowników i pobudza nieraz do istotnego ubolewania a zawsze do poczucia wyższości swojej.

A jednak, jednak, będę szczerym, bo szczerość to główna charakterystyczna cecha moja, która mię od

innych ludzi wyróżnia, jednak zdarza mi się czasami zazdrościć tym ludziom. Kiedy widzę zajęcie i radość na czyjej twarzy z jakiegoś powodu, któryby we mnie nie zdołał wywołać uśmiechu na usta, kiedy widzę buchający rumieniec zapału i sypiące się skry zadowolenia w oczach, przychodzi mi czasem na myśl, czy nie jest to istotnie korzystniej dla człowieka oszukiwać się ciągle, na każdym kroku, czy nie lepiej jest przyjąć na siebie jakąś rolę na deskach świata i przejąć się nią aż do zapomnienia kulisów, niż pytać ciągle siebie: co ty tu robisz? i do czego tu jesteś? i nieznalazłszy odpowiedzi ruszyć ramionami i żyć dalej, a za chwilę znów pytać siebie, znów ruszać ramionami i znowu żyć dalej.

Ale takie zachcianki nie długo trwają. Dość mi jest tylko wyobrazić siebie w podobnej roli z zachwytem na twarzy, z iskrzącemi się oczyma, ażebym się wzdrygnął na myśl podobną, a potem zaśmiał się w duchu i powrócił do dawnego zadowolenia z własnej istoty, to jest z mojej doskonałej obojętności dla wszystkich i na wszystko. Chciałem zrozumieć swoje stanowisko na świecie i tak je nareszcie określiłem: świat jest wielką sceną, na której odgrywają się najrozmaitsze sztuki, jedna obok drugiej, poplątane z sobą tysiącznemi nićmi, łączące się z sobą na każdym kroku, tak że pierwszy kochanek traiczny jednej sztuki występuje zaraz w drugiej, czasem jednocześnie jako ostatni błazen. Jedni aktorowie przejmują się najzupełniej swoją rolą, i nic ich nie może wyrwać z tego przejęcia się i zapomnienia o kulisach, ani papierowe szyszaki, ani miecze

blaszane, ani chwianie się groźnych, niezdobytych murów przy pierwszym przeciągu wiatru, ani syczący głos potwornie skulonego suflera, którego obowiązek spełnia na światowej scenie tradycya. To są *mente capti*, ludzie wyłącznie przez wyobraźnię opanowani, którzy mogliby zwarjować ostatecznie, gdyby się w jakiś sposób znaleźli za kulisami i przekonali, że cała ich rola była tylko szczęśliwym wymysłem. Inni aktorowie nie wierzą zbytecznie w rzeczywistość swojej roli, czasem nie wierzą w nią zupełnie, ale za mało mają uszanowania dla samego siebie, za wiele chciwości zaspokojenia chwilowych potrzeb, które to zaspokojenie uchodzi w ich oczach za szczyt szczęścia, ażeby mieli co prędzej zrzucić maskę z twarzy, rzymską togę swoją użyć do ścierania prochów, a szyszakiem papierowym podpalić drwa w piecu. Więc grają dalej, grają ciągle, i rzecz bardzo zrozumiała, iż wobec pierwszych aktorów, tak zwanych ludzi dobrej wiary, mają całą wyższość położenia, jaką im daje świadomość własnego oszustwa. Jeźli pierwszych nazwałem *mente capti*, tych wypada mi nazwać oszustami, zdaje się że to będzie najodpowiedniejsze określenie. Ci ostatni wyzyskują pierwszych w najlepsze i im większą są obdarzeni siłą wyzyskiwania, tem większego dobijają się znaczenia i sławy. Stawią im po śmierci kamienne pomniki. Wówczas dopiero ironja, którą za życia walczyli potajemnie, wybucha głośnym śmiechem nad ich grobami, i wydawało mi się nieraz, nie mówię tego zupełnie na seryo, wydawało mi się nieraz, iż pośmiertnym posągom z kamienia przeciągały się nieznacznie usta do dziwnie ironicznego uśmiechu.

Czy dla tej wielkiej światowej sceny istnieje gdzie jaki odpowiedni amfiteatr, w którym cały Olymp zasiada i bogowie rozsiadłszy się wygodnie lornetują przechyleni ku scenie najpiękniejsze z ziemianek i biją huczne brawo, które w skutek oddalenia amfiteatru od sceny dochodzi do nas we dwadzieścia miljonów lat, to pytanie zostawiam całej tej warstwie krzywoprzysięzców i szarlatanów jakimi są poeci i artyści. Oni mogą na seryo traktować takie rzeczy, szczególniej jeźli wpadają w szaleństwo, które w ich języku nazywa się natchnieniem. Co do mnie, widzę, iż tu na świecie nie ma nic oprócz sceny, nie ma cichego amfiteatru, do którego możnaby się schronić i spokojnie przypatrywać się grze ludzkiej; zmuszony zatem jestem usiąść na scenie gdzieś z boku pomiędzy kulisami i ztąd patrzeć na grających, narażając się nieraz na apostrofy aktorów ku mnie zwrócone. Te apostrofy czasem mię rozrywają, ale czasami są bardzo nużące.

Czem to ja zapisałem już kilka stronic, doprawdy nie wiem. To wypisanie się jednak sprawia mi pewną przyjemność. Tak mi jest, jakbym znalazł człowieka jednakowych ze mną usposobień, to jest pozbawionego wszelkich przesądów i złudzeń i prowadził z nim przyjemną rozmowę. Być może, iż kiedykolwiek znowu powrócę do tej rozrywki i może to będzie sposób... w tej chwili na myśl mi przyszło... może to będzie sposób jakiego takiego wywiązania się z życia, które mi dano nieproszącemu, a które wziąść musiałem, choć niewiedziałem później, co mam zrobić z tym fantem.

II.

7. sierpnia.

Ach, jacy ludzie są nudni, kiedy mię chcą nieproszeni wtajemniczać w swoje dzienne troski i kłopoty i tygodniowe przedsięwzięcia. Bo co ja im poradzę? co ja im nawet odpowiedzieć mogę na te wywnętrzania się natrętne? Nie potrafię czuć z nimi pospołu, pocieszać ich nie zdołam w żaden sposób. Mogę im tylko powiedzieć, że są głupi i nudni. Mam sobie za złe, że im dotychczas nie mówię tego otwarcie.

Wczoraj mię odwiedził Karol, mój dawny towarzysz uniwersytecki. O nim bez wahania się mogę powiedzieć, że jest *mente captus*. Człowiek ten miał zawsze kościół swój pełen świętości, w którym bóstwa zamiast wymierać powoli, i owszem łączyły się z sobą i mnożyły, zupełnie tak jak na greckim Olimpie. Wyzyskiwał go każdy kto chciał, jeździł na nim pierwszy lepszy oszust. Dość go było tylko uderzyć pompatycznym a pustym brzękiem słowa, które wyobraźnia jego napełniała fikcyjnem znaczeniem ażeby wydrzeć odeń wszystko, co miał najdroższego. Był to stan moralnego upicia się bez możności wytrzeźwienia się. Kochał się na zabój i to w jednej, kochał ją długo, bardzo długo, zasługując sobie na jej miłość, coś tak jak biblijny Jakób, przez lat sześć czy siedem, nareszcie otrzymał skarb nieoceniony, najukochańszą żonę.

Nie widziałem go po ożenieniu się, aż dopiero

wczoraj. Wszedł blady, smutny i witając się powiedział kilka słów bez związku. Spojrzałem nań z politowaniem, bom się już był wszystkich przejść jego domyślił. Po kilku chwilach przykrego milczenia, przerwanych zapytaniami o życiu potocznem i odpowiedzią na nie, Karol wstał z miejsca, na którem siedział, zbliżył się do mnie, usiadł koło mnie na krześle i opierając ręce na kolanach a na rękach głowę, przemówił tonem w którym znać było wymuszoną spokojność, dziwnie odbijającą przy gorączkowem drżeniu głosu.

— Czy wiesz, że ożeniłem się?

— Tak, mówiono mi o tem.

Milczenie znowu trwało parę minut.

— Ty zawsze byłeś przeciwny małżeństwu? powiedział nareszcie.

— I dzisiaj jestem takim, odpowiedziałem.

Znowu klamka milczenia zapadła. Żal mi się zrobiło Karola i rzuciłem mu słówko, którego oczekiwał, którego pragnął, a które miało mię zalać powodzią zeznań; rzuciłem mu zapytanie: a ty?

Zapora została obaloną. Karol powstał z krzesła, i odrzuciwszy przybrany ton spokojności zawołał głosem w którym prawdziwy ból gadał:

— A ja? jestem najnieszczęśliwszy z ludzi!

Ten wykrzyknik nie zadziwił mię ani trochę. Przewidziałem go, i to oddawna, zupełnie tak jak astronom przewiduje pewien jakiś manewr planetarny, jak chemik przewiduje rezultat połączenia dwóch pierwiastków. Zapaliłem cygaro i kłębem dymu odpowiedziałem biednemu Karolowi na jego rozpaczliwe zawołanie.

— Wyobraź sobie, wyobraź sobie, mówił głęboko poruszony, kochałem, wiesz jak kochałem, śmiałeś się z mojej miłości; wierzyłem, wiesz jak wierzyłem, a dziś? dziś kocham okropnie, kocham miłością cierpiącą, zranioną, straszną, gotową... nie wiem do czego, kocham — ale nie wierzę...

— W co nie wierzysz? spytałem.

Karol zadrżał gorączkowo i mówił:

— Nie wierzę najprzód w jej miłość, powtóre w szczęście. — Nie, nie, nie, w możebność szczęścia wierzę, jak to, gdyby ona mię kochała, to byłbym tak szczęśliwy, słuchaj Danielu, byłbym tak szczęśliwy...

Znowu usiadł i schował twarz w dłonie. Po chwili powstał, przeszedł się parę razy gwałtownym krokiem po pokoju, a potem stanął przedemną i patrząc mi w oczy powiedział:

— Słuchaj mię Danielu, nie mam nikogo na świecie komu mógłbym się zwierzyć z moich boleści, od kogobym zdołał zasięgnąć rady. Ludzie mi inaczej dziś wyglądają, nie mogę znosić widoku szczęścia i radości, lękam się tych którzy byli moimi przyjaciołmi, dla wszystkich jestem niechętny, podejrzliwy, zazdrosny, staję się złym człowiekiem. Ty jeden ze swoją obojętnością dla świata jesteś mi dziś bliższym niż wszyscy dawniejsi przyjaciele moi. Czy zechcesz być mi dziś doradzcą? powiernikiem?

W głosie Karola, kiedy wymawiał te ostatnie słowa, było tyle prośby, że odmówić nie mogłem, chociaż uczułem już popęd do spazmatycznego poziewania.

— Wysłuchać mogę, odrzekłem, ale poradzić zapewne

nie zdołam; wolę ci to powiedzieć z góry. Jakkolwiek bądź opowiedz mi swoje przejścia.

Karol usiadł przy mnie i zaczął mówić z początku powoli, potem szybciej i gwałtowniej.

— Kochałem Amelję, i jak wiesz, przez lat kilka starałem się o jej rękę. Wiele przeszkód nas dzieliło. Rodzice pragnęli dla niej bogatego męża, ona była bardzo młodą, więc zupełnie zależną od rodziców; ja byłem ubogi, więc musiałem pierwej zdobyć stanowisko, żeby módz później po nią rękę wyciągnąć. Nakoniec zdobyłem stanowisko. Naraz widnokrąg raju roztworzył się przedemną, zdawało się, że nie będę mógł pomieścić w piersi tyle szczęścia, wiele miało spłynąć do niej. Nic już na drodze nie stało do naszego skojarzenia się; rodzice już zgadzali się, ona mi była tak przychylną, ona mię kochała wtedy, tak, tylko tem się jeszcze pocieszam, że ona mię przynajmniej wtedy kochała. Nakoniec pewien ranek majowy połączył nas dwoje. Słuchaj, jabym wtedy może oszalał ze szczęścia, gdyby już nie pewne złe przeczucia, co jak ciemne obłoki przeciągały na tle złotej jutrzenki szczęścia.

Uśmiechnąłem się w duchu słysząc jak szaleniec mówi o obawie szaleństwa. Nie przerywałem mu jednak swojemi uwagami.

— Zdawało mi się już wtedy, że mię zamało kocha, że mię nie kocha tak, jak ja ją kochałem, wszystkiemi siłami duszy, wszystkiemi pragnieniami serca. Byłem może za wymagający, ale innym być nie mogłem. Trzy miesiące pożycia małżeńskiego przepędziłem w nieustannej gorączce, w nieustannem rozważaniu, czy ona

mię kocha, przechodząc kolejno ze stanu błogiego uspokojenia, w stan niepewności i zwątpienia, i kiedym już doszedł do zenitu zwątpienia, jeden jej uśmiech i jedno jej spokojne wejrzenie stawiało mię znowu na gruncie wewnętrznego spokoju, robiło mię znowu szczęśliwym; ach, ale tak na krótko. Przychodziły mi dzikie myśli do głowy, których się wstydzę teraz. Myslałem naprzykład, jakby to było dobrze unieść ją gdzieś bardzo daleko, pozbawić widoku ludzi, z których każdy mógł być złodziejem mojego skarbu i tam dopiero napawać się miłością niczem niewzruszoną. Znajomi i przyjaciele, którzy bywali u mnie wydawali mi się moimi tajemnymi nieprzyjaciołmi, znającymi doskonale wszystkie wewnętrzne burze i zatargi mojego serca i szydzącymi z nich potajemnie. Jeźli dla kogo z nich Amelja była grzeczniejszą niż dla innych, już drżałem z bojaźni, zdawało mi się, że mimowolnie zdradza swoją miłość dla niego. Jeżeli zaś była dla kogokolwiek bardziej obojętną, niż dla innych, to jeszcze więcej się lękałem, bom ją posądzał o podstępność. Podejrzenia moje zwracały się na rozmaite przedmioty, do rozmaitych osób, gmatwały się z sobą, przeczyły sobie, rozrywały mię na części i obezsilały. Nakoniec...

Karol zamilkł na chwilę. Czułem że się zbliża katastrofa, więc otoczyłem się jak najgęściej sinemi kłęby dymu cygarowego.

— Raz, mówił z drżączką w głosie, byłem wtedy spokojniejszy niż kiedykolwiek, raz miałem kilku znajomych u siebie. Obawy moje jakiś wiatr szczęśliwy rozniósł jak liście jesienne. Byłem weselszy i rozmowniejszy z gośćmi, tak że Amelja patrzała na mnie z podziwieniem i zdawało mi się, że z radością. Przed wieczerzą rozeszli się goście, został tylko Klemens, dawny znajomy Amelji, związany nawet z jej domem jakiemiś węzłami pokrewieństwa. Miałem go zawsze za przychylnego krewniaka i nic więcej, byłem pewny że ona jest dlań obojętną. Tego wieczora, kiedym odprowadził gości na ganek i powracał do pokoju, w którym zostawiłem Amelję i Klemensa, jakiś zły duch mi szepnął, zły czy dobry już tego nie wiem, coś mi szepnęło, żeby się cichaczem podkraść pode drzwi tego pokoju i podpatrzeć ich samotnych razem. Zgasiłem lampę i długim kurytarzem pocichu na palcach skradałem się do drzwi. To dziwna, jak ja byłem prawie pewny tego co ujrzę. Drzwi były nieco uchylone, zatopiłem chciwie oczy wewnątrz pokoju, alem nic nie ujrzał, bo światło lampy płonącej na stole olśniło mię. Oni siedzieli za stołem na kanapie przykryci zasłoną światła. Ale w tej samej chwili prawie rozdarłem wzrokiem jak sztyletem zasłonę blasku i ujrzałem, wiesz co ujrzałem? Ona miała głowę na jego ramieniu...

Karol urwał. Nastąpiło krótkie milczenie.

— Co się ze mną wtedy stało, począł mówić dalej, nie pamiętam dobrze. Dostałem zapewne zawrotu głowy i padłem u progu drzwi, tłukąc z brzękiem lampę, którą trzymałem w ręce. Przez kilka dni leżałem chory. Zaraz po wyzdrowieniu miałem jej wszystko opowiedzieć i... nie wiedziałem co dalej zrobić, wiedziałem tylko, że tak dłużej zostać nie może. Wyzdrowiałem, już może dwadzieścia razy zabierałem się jej wypowiedzieć

Miejska Biblioteka Publiczna
KSIĄŻNICA DOLNOŚLĄSKA im. Łukasza Gornickiego

wszystko, byłem gotów nawet zerwać z nią, i kiedy przyszło do słowa, nie ośmieliłem się i czuję, że już się nie ośmielę. Jestem pewny, że jeźli jej to teraz opowiem, ona się tylko zaśmieje i powie: byłeś w gorączce mój drogi, nic dziwnego, że ci się coś podobnego przywidziało. Jeźli mi tak odpowie, już jestem zabity. Nie będę jej wierzył i sobie nie będę wierzył. Będę rozerwany, rozdarty, będę łachmanem, który już chyba na śmiecisko wyrzucić. Nosiłem się z tą tajemnicą, z tym gadem w piersi przez całe dwa tygodnie; dłużej nie mogłem wytrzymać; musiałem znaleźć powiernika i doradzcę, a wreszcie... sekundanta. Z koła moich znajomych ciebie naprzód wybrałem.

— Więc pojedynek? spytałem.

— Czy sądzisz, że nie ma innej rady?

— Mówiłem ci z góry, mój drogi, że rady ci dać nie potrafię. Moja rada byłaby... ale wolę ci o niej nie mówić, bo w tej chwili wyglądałaby na szyderstwo. Jakiejkolwiek pomocy zażądasz odemnie, jeźli ta leży w zakresie sił moich, będziesz ją miał. Tylko ci radzić nie będę.

— Ha, niech więc będzie pojedynek. Nienawidzę pojedynków, ale innego wyjścia nie widzę. Czego ja chcę, doprawdy nie wiem, bo nie śmierci przeciwnika. Chcę jakiejś krwi, jakiegoś bólu, jakiejś rany, na którą ona powinna zwrócić oczy i powiedzieć sobie: ja jestem przyczyną tego. Więc jesteś mi sekundantem?

Schyliłem głowę na znak potwierdzenia. Karol dał mi jeszcze kilka potrzebnych wskazówek względem

czasu i miejsca i wyszedł. Ja sam zostałem w nowej swojej roli sekundanta.

Te odwiedziny rzuciły mi straszny ciężar na serce. Zdawało mi się, że już przez samo słuchanie tej historyi szaleństw, zostałem mimowolnym ich uczestnikiem.

Czego ten człowiek chce od żony? Przetworzył ją we własnej wyobraźni na jakąś boginię, co zejść raczyła na ziemię, ażeby się dać ukochać takiemu jak on poecie, i później narzeka na nią, że nie jest taką w istocie, jak ją sobie wymarzył. Jestże to jej wina? Na co sam siebie przed tem oszukiwał, lub czemu raz już wszedłszy na błędną drogę dalej nią nie idzie? Kto tu winien, jeźli nie on, jeźli nie jego szaleństwo, nie jego zaślepienie?

Takie myśli przychodziły mi do głowy po odejściu Karola. Był on pyszną illustracją do moich teoryj małżeństwa. Małżeństwo według mnie jest jedną z najcięższych form niewoli. Ludziom niewolniczych usposobień może ono dawać pewne roskosze okupione zupełną utratą swobodnego życia, swobodnego ruchu. U ludzi gorączkowych małżeństwo jest powrozem, który przy najmniejszem targnięciu wpija się w ciało i rozkrwawia. Dla ludzi takich jak ja, którzy sami nie wiedzą po co żyją na świecie, choć się ciągle o to pytają siebie, małżeństwo jest ogniwem od zagadkowej ciemnej, rozdźwięcznej teraźniejszości do takiej samej przyszłości. Kto zechce rzucić takie ogniwo? Po co? Dla czego? Na co pomnażać rodzaj ludzki jeszcze większą ilością szaleńców, szarlatanów i przeżuwaczy, do których sam siebie

zaliczam? Matuzal żył bardzo długo, ale uważał życie swoje za chwilę bardzo ulotną, dla której nie warto było poświęcać wielu zabiegów i trudów. Matuzal to był porządny człowiek; zgadzam się z nim zupełnie i dla tego myślę, że jeźli warto co tworzyć, to tylko dla wiecznego istnienia.

A tym czasem po jutrze mamy pojedynek. Pragnę, ażebym co prędzej mógł się pozbyć tego ciężaru z głowy, i oddać się znów spokojnie moim książkom i rozmyślaniom.

III.

9. sierpnia.

Dziś rano był pojedynek. Zaszedłem już tak daleko w zapisywaniu swoich wrażeń i rozmyślań, że nie mogę powstrzymać się od opisania całego wypadku i towarzyszących mu okoliczności. Tem bardziej winienem zapisać wrażenia moje z dnia dzisiejszego, iż były one nader dziwacznej natury, i prawie pewien jestem, że za dni parę będę się wstydził tych wrażeń w najlepsze.

Już od samego świtu dzisiaj byłem wyrzucony ze zwyczajnej kolei dziennej. Zwykle sypiam do godziny jedenastej lub dwunastej, kładę się bowiem spać dość późno. Dzisiaj gwoli pojedynkowi wstałem o godzinie trzeciej z rana i muszę się przyznać, że byłem tak zły, jakim już dawno siebie nie pamiętam. Byłem zły,

rozumie się na siebie, że się wdałem w to całe głupstwo, ale cofnąć się było niepodobna. Wkrótce nadszedł Karol z drugim sekundantem, który był zarazem i doktorem. Poznałem go dnia poprzedniego, wioząc razem z nim wyzwanie przeciwnikowi Karola, panu Klemensowi. Dość mi się podobał mój towarzysz sekundant i chętnie go powitałem. Należał on do ludzi, których niezbędną atmosferą była wesołość; gdzie jej nie zastawał, tam ją umiał wydobyć. Nie była to wesołość płaska, ciężka i gburowata, o którą wcale nietrudno, szczególnie u nas w Polsce, ale przeciwnie bardzo lekka, swobodna i miła. Sam dźwięk głosu jego był niezmiernie przyjemny i pociągający. Nie bawiąc siedliśmy do fiakra, który nas zawiózł do poblizkiego lasku, o godzinę drogi od miasta odległego. Pod laskiem wysiedliśmy i udaliśmy się pieszo na wyznaczone miejsce. Był to ranek sierpniowy, chłodny, pełen rosy. Już nie pamiętam, kiedy znajdowałem się w podobnem miejscu o podobnej porze i dla tego ów ranek miał dla mnie urok nowości. Oddałem się chętnie wrażeniom i w tym celu pozostałem z tyłu, puszczając naprzód towarzyszy. Powietrze było pełne przedsłonecznego blasku i jakiejś niezrównanej pogody. Drzewa stały nieruchomie, jakby zapatrzone w pogodny szafir nieba. Po ciemno-zielonych liściach, jak łzy po cichej twarzy, spływały tylko jak kryształ czyste krople rosy i zawisając na końcu liścia zapalały się od pierwszych promieni słońca. Zmięszany zapach ziół, prawdziwy oddech lasu napełniał powietrze. Wszystko to zrobiło mi wielką przyjemność. Ta harmonijna cisza drzew i pogoda powietrza wydała mi się tak

piękną i mądrą, że oddałbym był za nią wszystkie ludzkie hałasy. Dziwiłem się, iż mogłem zerwać wszelki z nią związek, zagrzebać się w murach miasta i żyć życiem móla, albo szczura. Przyznam się, że na chwilę byłem nawet trochę upokorzony. Tak coś, jeźli mam mówić wygodnym językiem porównań, tak coś jakbym się znalazł nieprzygotowany niespodzianie przed majestatem pięknej kobiety, więc królowej, bo pięknej, i nie wiedział jak ją przywitać i chciał tylko przepraszać za to, żem jej nie znał dotąd. Tem więcej nieznośnymi wydali mi się ludzie, kiedym stanął na wyznaczonem miejscu walki. Ujrzałem wówczas całą ich niższość wobec przyrody, wobec tych drzew spokojnych, tych krzaków cichych i traw drzemiących. Coś podobnego musiało przyjść na myśl doktorowi, bo zbliżywszy się do mnie, rzekł właściwym sobie swobodnym tonem:

— Czy to nie świętokradztwo obierać sobie przybytek ciszy i pokoju na miejsce pojedynku?

— Myślałem właśnie o tem samem, odpowiedziałem. A myśląc o tem, widziałem całą wyższość roślinnego świata nad zwierzęcym, a przedewszystkiem nad ludzkim.

— A gdybyś pan znalazł ludzi, co żyją jak rośliny? rzekł doktór wesoło się uśmiechając. Czy nie znałeś pan ludzi z gatunku roślin?

— Nie, odpowiedziałem dotknięty trochę myślą, która się ukrywała pod słowami doktora, znałem tylko ludzi z obrzydłego gatunku zwierzokrzewów. Ale takich ludzi jak te drzewa i kwiaty leśne nie znałem na nieszczęście. Może niegdyś nad brzegami świętego Gangesu,

w poświęconych lasach Indyi znajdowały się podobne istoty; dzisiaj już świst i klekot parowych statków angielskich musiał je ztamtąd wypłoszyć.

— Rozumiem pana. Dzisiejsze Sakuntale chodzą już zapewne w krynolinach. Ale pocieszmy się, bo może bardzo prędko, przy pierwszym nowiu mody, nasze panie wystąpią w stroju Sakuntali.

Roześmiałem się. Podeszliśmy do Karola, który stał nieopodal pod drzewem zagłębiony w gorączkowem rozmyślaniu; zdradzał to wyraz jego twarzy. Zwrócił się do nas i powiedział prędko do mnie: Danielu, jak zginę, zaniesiesz o tem wiadomość Amelji. Tylko spiesz się, żeby cię kto nie uprzedził; chciałbym, żeby z ust twoich przyjęła tę wiadomość, i żebyś ty zebrał jej pierwsze wrażenie na wiadomość o mojej śmierci. Robię cię swoim spadkobiercą, oddaję ci to, coby najdroższem było dla mnie, gdybym mógł zginąć, ale żyć przeto.

— Wymagania są za trudne, zauważał doktor i dla tego zapewne będą spełnionemi tylko w swej ostatniej połowie. Obiecałem mu dopełnić życzenia. Wkrótce zjawił się Klemens ze swoimi sekundantami. Klemensa mało znałem, a z tego wrażenia, jakie zrobiła na mnie jego powierzchowność, sądzę, iż musi należeć do tak zwanych ludzi praktycznych, mocno oddanych rzemiosłu, to jest pracy dla celów, o którychby można powiedzieć, iż niewiadomo, jestli praca dla nich, czy też one dla pracy istnieją. Jego sekundanci jeszcze mniej mnie obchodzili. Odmierzono kroki i przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. Była wielka cisza i nadawała uroczystą barwę tej tragi-komedji. Nie miałem ochoty przerywać

tej ciszy, a i doktor nawet był bardzo poważnie nastrojonym i wesoły wyraz jego twarzy znikł pod obłokiem zadumy. Nareszcie wszystkie przygotowania dopełnionemi zostały. Przeciwnicy stanęli naprzeciwko siebie. Klemens miał pierwszy strzał. Wydawał się dość spokojnym, co stanowiło bijącą sprzeczność z Karolem, który był mocno rozdrażniony. Ja stałem o kilka kroków z boku pod drzewem, więcej jako widz niż uczestnik tego dramatu, zostawiając chętnie doktorowi rolę pierwszego sekundanta. Na dane hasło Klemens wystrzelił — widziałem, że ręka panowała dobrze nad narzędziem i nie drżała, a kula ugodziła Karola w prawe ramię, tak iż wypuścił pistolet z ręki. Był to strzał bardzo dowcipny, bo odjął przeciwnikowi możebność odwetu, i nie narażał strzelającego na odpowiedzialność, jaką pociąga za sobą zabójstwo, chociażby w pojedynku. Poznałem w tym strzale rękę praktycznego człowieka. Podbiegliśmy do Karola, który zbladł silnie i oparłszy się o ramię doktora rzekł: chodźmy ztąd, jużem skończył.

Tak się skończyło to widowisko. Klemens i jego sekundanci ofiarowali nam swoją pomoc w opatrzeniu rany, lecz po grzecznej odmowie doktora udali się trochę zakłopotani w drogę do siebie. Doktor zabrał się już był do opatrzenia rany i zbadania jak daleko ugrzęzła kula, ale przyszło mu na myśl, że lepiej jest na prędce zaprowadzić rannego do pobliskiej chaty leśniczego, gdzie zupełnie wygodnie będzie można dokonać operacji. Karol był osłabiony, tak że musieliśmy go wspierać,

ale po kilkunastu minutach drogi stanęliśmy szczęśliwie przed chatką leśniczego.

Była to wybielona, o słomianej strzesze chałupa, dość mile wyglądająca wpośród leśnej zieloności. Na prawo miała spory kawał ogrodu warzywnego, na którym stało kilka drzew owocowych obficie obrodzonych. Nie wiem dla czego te drzewa przypomniały mi moje dzieciństwo i ich widok sprawił mi pewną przyjemność. Przypomniałem sobie, jak to niegdyś przemawiały do mnie te czerwone jabłuszka wyglądające z pośród liści zielonych i wabiły do siebie, jaką roskoszą napawał mię widok dojrzałych, złotych, soczystych gruszek, pod których ciężarem uginająca się gałąź schylała się ku ziemi jakby umyślnie, ażebym łatwiej mógł się dostać do niej. Miałem później dużo czerwonych jabłek i złotych gruszek, co rosły na innych drzewach, najczęściej na wierzbie, ale nigdy tak szczerze nie byłem wesoły, jak kiedy dzieckiem chodziłem po ogrodzie rodzicielskim i przyglądałem się owocom dojrzałym. Zapisuję te przypomnienia, bo miałem wczoraj tak dużo wrażeń dziwacznych, że ich jeszcze dziś uporządkować i ocenić nie umiem i dopiero po niejakim czasie może je będę mógł w ich całości zrozumieć psychicznie.

Wchodząc do chaty wnieśliśmy do niej przestrach i podziwienie. W izbie, do której weszliśmy z sieni, obszernej, pełnej jeszcze zmierzchu porannego, pod małem kwadratowem oknem, przez które zaglądała już cała w złocie i promieniach jutrzenka, siedziała na ławce dziewczyna w spodniczce jakiejś z koszulą na piersiach jeszcze w nieładzie porannym roschrzestaną.

Dziewczyna czesała włosy, które obfitemi falami złotemi spadały jej na ramiona. Kiedy ujrzała nas wchodzących, wypuściła grzebień z ręki i Jezus Marya krzyknąwszy, rzuciła się na wysoki przypiecek po lewej stronie drzwi za piecem umieszczony. To rzucenie się jej było tak nagłe i zwinne, iż nie mogłem sobie zdać sprawy ze zjawiska. Jużcić skrzydeł u rąk nie miała, chociaż falująca za nią spodniczka robiła wrażenie jakiegoś skrzydlatego lotu. Może to była wina tego tła, jakie dawał zmierzch poranny, iż tak cudownie oryginalnem wydało mi się całe to zjawisko.

Podstąpiliśmy na środek izby. Dziewczyna umilkła na przypiecku i szelestem nawet nie zdradzała tam swego istnienia. Ale zanim mieliśmy czas zwrócić się do kogo i uspokoić dziewczynę, otwarły się drzwi na prawo od komory i przez szczelinę ukazała się głowa starej kobiety. — A to kto taki? zapytała głosem, w którym przebijała się niepewność i obawa.

— A któżby to miał być, odpowiedział doktor wesołym głosem, jak nie poczciwi ludzie, którym się zdarzył wypadek i którzy potrzebują schronienia na parę godzin. Toć i zaszli do poczciwych ludzi i myślą, że ich nie wypędzą.

Swobodny, otwarty ton doktora i prawdziwie ludowy sposób wyrażenia się zjednał nam całkiem kobietę, która była gospodynią domu. A niechże mię Pan Bóg broni, żebym was miała wypędzać. Zaraz ja ubiorę się i tam przyjdę. — Hela!

To wołanie zwrócone było do dziewczyny, co się ukrywała na przypiecku. Nie odezwała się na głos

ATENEUM

matki natychmiast, tylko twarz zalęknioną wychyliła z za pieca, patrząc przed siebie jak sarna, co staje u brzegu źródła, nachyla się ku wodzie, lecz w tej samej chwili trącona obawą ogląda się trwożnie dokoła. Matka po raz drugi zawołała: Hela! Hela! czyś ty już znowu zasnęła? i wtedy dziewczyna zsunęła się z pieca na szeroką ławę co stała pod nim i zawstydzona, zarumieniona, drżąca, z rozplecionemi włosami, ze spuszczonemi oczyma stanęła przed nami jak posąg dziewczęcego wstydu. Wschodzące w tej chwili słońce objęło ją swemi różowo-złotemi promieniami i doprawdy wydało mi się wówczas dziewczę tak czarująco pięknem, żem się zląkł swego wrażenia i spojrzałem ukradkiem na doktora, jakbym mógł w jego twarzy znaleźć tłumaczenie dla tego zjawiska i swego wrażenia. Doktor był mile zapatrzony w cudowną postać dziewczyny, a uśmiech zadowolenia i jakby (może mi się wydało) wesołej złośliwości wałęsał mu się po ustach. Kiedy stojące na tapczanie dziewczę nie śmiało iść naprzód, do matki, bo myśmy je oddzielali od drzwi wiodących do komory, doktor podszedł ku dziewczęciu i rzekł mu swoim słodkim i przekonywającym głosem: Helu, was wołają! czemu nie idziecie? a może się nas boicie, żebyśmy was nie zjedli? a toż spojrzcież na nas, że ani pazurów jak u niedźwiedzia, ani kłów jak u wilka nie mamy.

Dziewczyna roześmiała się i podniosła duże szafirowe oczy. Było to dla mnie znowu nowe zjawisko. Rozwinięte jej wargi różowe błysnęły dwoma rzędami perłowych lśniących ząbków, a szafirowe oczy przemawiały

wyrazem nieporównanej słodyczy. Doprawdy nie wiem, co się wtedy ze mną działo, i dziś jeszcze, kiedy przypominam sobie to wrażenie, nie czuję się dość uspokojonym. Zapomniałem, gdzie jestem, po co tam jestem, co się dzieje z Karolem, o którego dbać powinien byłem, zdawało mi się chwilowo że to jakiś sen bardzo miły, więc po co się przebudzać, więc lepiej jak najdłużej w nim pozostać.

Matka, która słyszała przemowę doktora do Heli, odezwała się: To czegoż się boisz Helu, kiedy ludzie są dobrzy. Idź do szafy, poczęstuj panów nalewką, zanim ja tam przyjdę; niech daremnie nie czekają. Niech panowie wybaczą, że dziewczyna taka płochliwa, bo to nigdy świata nie widziało.

Wzmianka o nalewce otrzeźwiła mię trochę. Już prawie pewny byłem, że za chwilę czarodziejska dziewczyna zamieni się w gminną niezgrabną szynkarkę, kiedy Hela z tak instynktowym wdziękiem ruchów podstąpiła do szafy, żem znowu w jakiś czar zaczął zapadać. Otworzyła szafę, wyjęła z niej butelkę napełnioną czerwonym płynem i podniósłszy ją w górę nad głowę patrzała przez nią do okna, a potem odwróciwszy się ku nam, rzekła już dość śmiało: a może wy wino wolicie?

Ja nic jej na to nie odpowiedziałem, bo muszę się przyznać, iż byłem całą siłą wzroku i uwagi zapatrzony w jej postać zachwycającą. Dziewczyna musiała uczuć uporczywość mojego wzroku, bo kiedy podniosła oczy i spotkała się z mojemi, zaczerwieniła się mocno i odwróciła się do szafy, szukając tam niby czegoś.

Doktor, który jak mi się zdaje, zostawał także pod pewnym wpływem uroku, jaki Hela na mnie wywarła, jakby otrząsając się z niego i przypominając sobie swoje obowiązki, rzekł prędko do Heli: „Dziękujemy wam, moja najmilsza, ale myśmy nie przyszli tu po to, żeby pić albo jeść. Jest tu człowiek, który zranił sobie rękę, ja jestem doktor i muszę mu tę rękę opatrzeć. Pozwolicie nam tylko na godzinę rozłożyć się w izbie i to już będzie wszystko. Zresztą jeźli macie wino czerwone, to dajcie pół kieliszka rannemu.

Dziewczyna spojrzała trwożliwie na Karola, który siedział na ławie obok drzwi i był dość blady. Podstąpiła do niego z nalanym kieliszkiem i podając mu wino, patrzała z wyrazem głębokiego przerażenia na szmaty krwią zbroczone. Wreszcie ukazała się matka, i przepraszając nas, że zaraz wyjść nie mogła, prosiła żebyśmy się rozgościli jak w domu. Doktor opowiedział jej rzecz całą w sposób przystępny i na przyrządzonej ławie zabrał się zaraz do operacji. Musiałem wyjść nareszcie z mojej hallucynacji i zabrałem się do pomocy doktorowi. Współczująca nam bardzo gospodyni dostarczała wszystkiego, co się okazywało niezbędnem przy operacji. Hela gdzieś znikła. Byłem kontent z tego, jednak pragnąłem koniecznie obaczyć ją raz jeszcze przed odjazdem. — Operacya odbyła się dość ciężko, kula bowiem ugrzęzła głębiej, aniżeli się zdawało. — Przed końcem operacji Karol zemdlał i chociaż go zaraz ocuciliśmy, był jednak tak osłabiony, że o natychmiastowem przewiezieniu go do miasta nie mogło być mowy, tem bardziej, że droga była dość nierówną. — Poczciwa

nasza gospodyni zrozumiała odrazu że Karol musi pozostać jakiś czas w jej domku i ofiarowała doktorowi swoją alkowę na pomieszkanie dla chorego. Doktor przystał na to, Karolowi ta myśl bardzo się podobała. Ja byłem z niej dziwnie rad, i zarazem nierad, czułem jakby jakiś spisek wydarzeń na moją spokojność. Po chwilce zastanowienia zaśmiałem się z tego chwilowego rozładu, a jednak nie zdołałem powrócić do zupełnej obojętności i pozostała mi radość jakaś wewnętrzna.

Karolowi natychmiast usłano wygodne łoże w alkowie. Doktor miał go odwiedzić nad wieczorem, ja obiecałem przyjechać na drugi dzień. Pożegnaliśmy się z gospodynią, Heli nie było w chacie. Ta obojętność jej dla nas trochę mię ubodła, a przynajmniej zastanowiła. Ale kiedy wyszliśmy z chaty i puściliśmy się ścieżką, co nas zaprowadzić miała do miejsca, gdzie nasze konie czekały, ukazała się przed nami Hela z podołkiem pełnym wyśmienitych gruszek i jabłek. — Szła ścieżką naprzeciwko nas, i gdyśmy się spotkali, nic nie mówiąc, otwarła podołek. Nic już w niej z dawniejszego zalęknienia nie pozostało. Miała wprawdzie oczy spuszczone, ale to może bardziej przed słońcem, które wprost przed nią świeciło, niźli przed naszym wzrokiem. — Włosy miała w warkocz splecione i owinięte do koła głowy, a z poza warkocza wyglądało parę leśnych dzwonków i jedna dzika różyczka. Czysta koszula, uchwycona w pasie spódniczką, oblana słońcem lśniła rażącą białością i uwydatniała cudownie młodą pierś dziewiczą. Przy tej koszuli szyja i twarz

dziewczyny wydawały się jeszcze bardziej ogorzałemi, a ogorzałość ta miała jakiś złotawy połysk.

Schyliłem się ku podołkowi i wybrałem jedno z piękniejszych jabłek. — Przyznam się otwarcie, że towarzystwo doktora było mi wtedy zbytecznem i wolałbym, żeby mię jednego spotkała ta gościnność dziewczęcia. Doktor wziął gruszkę, uśmiechnął się i zaczął mówić do dziewczyny:

— O dziewczyno, jesteś bardzo gościnna — powiedz, czy uczono cię kiedy Pisma świętego, jak to Pan Bóg świat stworzył, a na końcu chłopca, a jeszcze potem dziewczynę, i dał im mieszkanie w swoim ogrodzie i... co potem? Wiesz co potem było?

Dziewczyna ciekawie patrzała na doktora. — Nie, powiedziała, tego mi ojciec nie opowiadał.

— Potem zakazał pan Bóg jeść jabłek z jednego drzewa, z jednego tylko drzewa. — Dziewczyna narwała tych jabłek, sama jadła i dała ich chłopcu, a pan Bóg rozgniewał się i wypędził ich ze swego ogrodu.

— A na cóż dziewczyna rwała? spytała Hela.

— A! bo jabłka były bardzo smaczne, przynajmniej tak wyglądały. — Ach i wąż był jeszcze, który ją namówił do tego; o wężu zapomniałem zupełnie.

— Wąż był, a to ja rozumiem, powiedziała. — Ten wąż był zły, prawda?

— Był bardzo zły. — Ale te jabłka, Helu, któremi nas częstujesz, nie są ci przez węża wskazane? Ja jeszcze wziąłem gruszkę, ale ten pan... i pokazał ręką na mnie.

Dziewczyna spojrzała na mnie i spłonęła. — Byłem

zły na doktora. — Bądź zdrowa, Helu, dziękujemy ci, powiedziałem do dziewczyny i wziąwszy doktora pod rękę pociągnąłem go z sobą.

Kilka kroków szliśmy w milczeniu, nakoniec doktor przemówił: „Wszak prawda, żeś pan znalazł Sakuntalę?“

— Tak, odrzekłem, a przynajmniej bardzo łudzące podobieństwo.

— A zawsze wiara w złudzenie. — Ta dziewczyna powinna była przekonać pana, że jest tem, czem się być zdaje, to jest kwiatem.

Wsiedliśmy do powozu i odjechali do miasta. — Wróciłem do swego szarego pokoju i nie mogłem nic robić — wyszedłem na ulicę — ludzie zgniewali mię bardziej niż kiedy — zabrałem się więc do opisania dzisiejszych moich porankowych wrażeń — będę się kiedyś bawił niemi serdecznie.

VI.

11. sierpnia.

Dziwna, dziwna jakaś faza życia rozpoczyna się we mnie. — Jakaś nieznana mi dotąd rozkosz przypływa do piersi, ale czuję, że to rozkosz chwilowa, że to jest fala, która dla tego się wspina, żeby tem większą próżnię zostawić po sobie. — Jednak idę naprzód, nie chcę opierać się wrażeniom, będę je tylko zapisywał, żebym mógł jak na skale nadbrzeżnej zarysować wysokość wspinającej się fali i zmierzyć w ten sposób głębokość opuszczenia się mego na dół.

Wczoraj według obietnicy odwiedziłem Karola w chatce leśniczego. Dzień był ładny, udałem się więc pieszo w drogę — w drodze, idąc krokiem wolnym, rozbierałem wrażenia dnia poprzedniego i byłem ciekawy jednej rzeczy: czy wrażenia wczorajsze miały jednodniowe przyczyny, czy jednem słowem Hela wyda mi się dzisiaj taką, jaką mi się wczoraj wydała. — Na wstępie przechadzki byłem prawie pewny, iż zjawisko wczorajsze, dzisiaj się nie powtórzy, w miarę jednak zbliżania się do lasu, pewność ta coraz to ustępowała, i kiedym po dwugodzinnej przechadzce ujrzał biały domek i drzewa owocowe, wszystko razem tak radośnie uśmiechnięte, kiedym oto stanął przed drzwiami domku, byłem już porządnie rozdrażniony.

Ale Heli w chacie nie było. Powitał mię za to jej ojciec leśniczy, którego wczoraj nie widzieliśmy zupełnie, bo już był się udał na jakąś leśną wycieczkę.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, suchy, z wyrazem wielkiego pokoju i siły na twarzy. — Przywitał mię bardzo uprzejmie, i na zapytanie moje, jak się ma chory, odpowiedział, iż zdaje się, że się ma lepiej, ale myśli tu jeszcze przepędzić jakiś czas w ich chacie.

— Nie ma dla mnie większej przyjemności, jak pomódz komukolwiek, tem bardziej choremu, dodał z wyrazem poważnej szczerości, i dla tego niech pański przyjaciel będzie pewny, że tu nam ani trochę nie zawadza.

Te słowa, które w innych ustach zrobiłyby na mnie wrażenie samochwalstwa i zdawkowej grzeczności

tu były powiedziane tak po prostu i poważnie, że mię odrazu zjednały dla mówiącego.

Poszedłem do Karola. — Karol istotnie czuł się trochę lepiej po przejściu gorączki, która go całą noc trapiła. Przywitał mię z wielką radością i zapytał jakby z utęsknieniem: co tam słychać? Nie wiedziałem co odpowiedzieć, bo zrozumiałem o co mu chodzi, a mianowicie o wiadomość jaką o żonie. Pocieszałem go tylko przypuszczeniem, iż, dowiedziawszy się, że leży ranny w chatce leśniczego, pośpieszy go zapewne odwiedzić. Na tę myśl rumieńce oblały chorego. Nie mówił mi dla czego dłużej pragnie pozostać w tej chatce, ale poznałem, że mu chodzi o to, by żona postawiła pierwszy krok na drodze pojednania się, ażeby skruszona jego postępkiem przybyła go przebłagać.

Po półgodzinnej rozmowie z Karolem, wyniosłem się do wielkiej izby, party ciekawością obaczenia Heli, poznania jej warunków życia i przeszłości. Heli jeszcze nie było, ale matka siedziała na tapczanie i zajęta była kwaszeniem ogórków. Ujrzałem wyborną sposobność do zawiązania rozmowy, i zapaliwszy cygaro, usiadłem naprzeciw gospodyni, na ławie pod okienkiem, w tem samem miejscu, gdzie Helę po raz pierwszy ujrzałem. Gospodyni, (Antoniną przez męża zwana), przepraszała mię, iż przy mnie oddaje się kwaszeniu ogórków, ale ja starałem się ją przekonać, że widok tego zajęcia nie tylko mi nie jest przykry, ale i owszem sprawia mi pewną przyjemność. Uspokoiwszy w ten sposób gospodynię, zadałem jej kilka pytań, jak dawno są tutaj, gdzie przed tem byli, czem się trudnili, i... chciałem

także zapytać szczegółowo o Helę, ale spuściłem się już na wielomowność kobiecą i nie postawiłem tego pytania.

— Bo to widzi pan, tak mi zaczęła opowiadać, myśmy i tutejsi i nietutejsi. — Mój mąż jest z dawna tutejszy, bo tutaj się rodził i wychował i służył przy lesie, kiedy był jeszcze kawalerem. — A ja sama jestem z Litwy, od puszczy, i tameśmy się poznali i pobrali.— Jakeśmy się pobrali, więc ja przyjechałam z nim razem w te strony i tu aż trzy lata mieszkałam i byłabym dłużej mieszkała, żeby nie mój mąż, który jest bardzo hardy. — Służył on tutaj u jednego pana, nie w tym lesie, a w innym, i jakoś mu zawsze dobrze było, bo już to człowiek jest, jak ogień do pracy. — Ale jak umarł stary rządca, a nowego przyjęto, więc ten nowy zaczął bardzo źle na mego męża patrzeć, i raz jakoś tak ni ztąd ni zowąd zaczął go bardzo łajać. A mój mąż, że jest bardzo hardy, więc nie chciał tego znieść i zaraz przychodzi do mnie i mówi: pojedziemy ztąd!— Co? dokąd? ja jego pytam. — Pojedziemy ztąd, tak, i tak było. — Pojadę, mówi, w wasze strony, tam mniej świata, ale więcej Boga. — A ja się bardzo ucieszyłam, bo już mi czasem tęskno było do naszej puszczy, choć prawdę mówiąc, to tam takiej wesołości niema jak tutaj. — Pojechaliśmy do nas, to jest tam do puszczy i tam mój mąż dostał miejsce. Ale to miejsce, pożal się Boże, było bardzo głębokie; do kościoła i to do małej kapliczki było aż cztery mile, a żeby tak do miasta, to ani myśleć pojechać. — Ale było tam kilku takich leśnych jak mój mąż, a wszystko

ludzie dobrzy, to i dobrze nam było i coś my tam przemieszkali lat więcej jak dziesięć, a może nawet będzie ze dwanaście. — Aż oto ostatniej zimy spotkał się mój człowiek ze swoim dawnym znajomym Antonim, leśniczym z Oborowa, nie wiem czy pan zna jego, i ten leśniczy zaczął bardzo namawiać męża, żeby w te strony powrócił, że mu się będzie lepiej działo, a i to że zawsze świat większy, to trzeba żeby nasza Hela zobaczyła. — A już to prawda, że nasza dziewczyna oprócz lasu nic nie widziała, bośmy w maleństwie ją ztąd wywieźli, a choć i ja, jak byłam młoda to tylko że się w lesie obracałam, ale przecie zawsze widziałam więcej niż ona. — Mój mąż myślał nad tem całą zimę, i byłby się może jeszcze z miejsca nie ruszał, aż jakoś pod Wielkanoc napisał do niego pan tutejszy, któremu mówił o nim ten Antoni, napisał oto tak: wiem, że jesteś człowiek sprawny i uczciwy, przyjeżdżaj do mnie, bo potrzebuję leśniczego. Krzywdy mieć nie będziesz, dam ci chatę, ogród i ordynarję, i jeszcze tam co może. — Jak to mój przeczytał, to już nie było co robić, tylko jechać; i zaraz w maju, że to był koniec służby, pojechaliśmy.

— Więc wy tu od bardzo niedawna jesteście — spytałem.

— A już trzy miesiące, chwała Bogu. Z początku to nam przykro było dosyć, bo to już lasu takiego człowiek nie znajdzie, jak tam u nas. — Ale już dzisiaj trochę się oswoiło. — Mamy dobrego pana, z ludźmi się obchodzi pobożnie, a sam już staruszek, u pana

Boga siedzi przed progiem, niechaj mu Pan Bóg da żywot najdłuższy.

— A jak się wasz pan nazywa?

— Nazywa się Chocimski — żona już dawno umarła, ale ma syna, tylko że syn nie mieszka z ojcem.

— To ojciec musi być lepszy od syna? — powiedziałem.

— A syn nie dobry? spytała trwożliwie kobieta.

— Tak ludzie mówią, a to co mówią nie zawsze się sprawdza, ale zawsze lepiej wiedzieć co oni mówią.

Te słowa wprawiły kobietę w zadumę. — Istotnie słyszałem o młodym Chocimskim, jako o szalbierzu i niegodziwcu wedle ogólnie ludzkiej terminologii, i dla tego ostrzegłem leśną rodzinę.

Wkrótce nadbiegła Hela, i spostrzegłszy mię, stanęła na progu zadziwiona. Teraz, kiedy miałem przeszłość jej w ręku, wydała mi się zupełnem, niepokalanem dzieckiem natury. — Wrażenie jakie zrobiła na mnie, zjawiając się na progu, nie było mniej silnem od poprzedzających. — Była trochę zadyszana od biegu, chciała wpaść swobodnie do izby, niespodziewając się zastać obcego człowieka, i zastawszy mnie, stanęła jak osadzona na miejscu, a potem uśmiechnęła się, jak gdyby do dobrze już znajomego. — Dwa żywe rumieńce kwitły na obu stronach jej twarzy, i była cała jak różyczka rozwinięta do słońca i zapachem swoim dysząca. Przystąpiła potem do matki i zaczęła jej pomagać w zajęciu gospodarskiem. — Jej obecność wprawiała mię w dziwny stan upojenia, z którego już nie starałem się wydobyć. Upiłem się, zgoda na to, lecz po co się

sztucznie wytrzeźwiać, jeżeli napój był tak słodki, a upojenie tak rozkoszne.

Matka wyszła na chwilę z izby i zostaliśmy sami. To sam na sam nie wywarło na Heli najmniejszego zakłopotania. Pewien wyraz wstydliwości i to wstydliwości pierwotnej, niepodrabianej zalegał ciągle jej śliczną twarzyczkę, ale po wyjściu matki nie spotęgował się wcale. Siedziała naprzeciwko mnie zajęta robotą i milczała. Po chwili milczenia zapytałem:

— I jakże wam, Helu, w tych stronach?

Dziewczyna spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

— Ja nie wiem sama, odrzekła, czasem mnie dobrze tutaj, a czasem smutno.

— A dla czegoż ci smutno? spytałem.

— Czasem pomyślę sobie o puszczy, o mojej sarnie co była swojska i taka dobra, że ją każdy kochał, szkoda, że jej pan nie widział, a znów o naszej dawnej chacie pomyślę i smutno się zrobi.

— Ale wam tu jest dobrze?

— Dobrze, ino że kraj jest bardzo cudzy, a ludzi jest tak dużo!

— Czy to źle z ludźmi?

— Albo ja mówię że źle? Ja tak lubię ludzi!

— A jednak kiedyśmy tu pierwszy raz weszli, toś się tak przestraszyła?

Dziewczyna spłonęła na przypomnienie tej chwili.

— Bo mnie się wydało... ja sama nie wiem co. Ale teraz nie boję się.

Powiedziała to tak naiwnie i spojrzała tak słodko, że uczułem jak fala roskoszy zalała mi całe piersi,

ale w tej samej chwili weszła matka do izby i wróciła mi moją przytomność.

Może w godzinę potem zjawił się leśniczy i rodzina zabrała się do objadu. Rozumie się, byłem także zaproszony na objad i jak najspieszniej przyjąłem to zaproszenie. Przed zabraniem się do jadła wszyscy troje przeżegnali się i ja przez chwilę nie wiedziałem, co mam robić, ale zawahałem się i już nie mogłem zmusić się do przeżegnania. Hela i matka spojrzały na mnie zdziwionemi oczyma, na szczęście leśniczy wyrwał mię z zakłopotania zawiązując rozmowę.

Byłem bardzo ciekawy poznać wewnętrzne życie tego człowieka. Wyraz spokoju spoczywający na jego twarzy imponował mi bardzo, tem bardziej, że nie miał w sobie żadnej przymieszki idiotyzmu. Zapytałem go, czy ma wiele pracy i czy jest z niej zadowolony.

— Cały dzień pracuję, odpowiedział, ale wiele pracy nie mam. Nieraz mi ludzie mówili, że ja za wiele pracuję, niby więcej, niż służba wymaga, ale ja tego nie rozumiem, jak to można za wiele pracować. Jak mi czasem przyszło w domu posiedzieć dzień cały, że to miałem rękę albo nogę skaleczoną, to już mi tak nie miło było, że nie wiedziałem co robić. A to nasza praca nie jest ciężka, więcej chodzić i patrzeć, jak rękami. A zresztą, dodał z uśmiechem, który tak dziwnie odbijał od pewnej surowości w twarzy, i ja czasem lubię popróżnować. Naprzykład w zimie, wieczorem, kiedy mróz tęgi na dworze, że skrzypnie pod nogami, to lubię wracać do chaty, a jeszcze ze zwierzyną do tego, i lubię posiedzieć przy ciepłym piecu i jaką bajkę

dziewczynie opowiedzieć. A i stara lubi słuchać i kontenta, powiedział rzucając okiem na Antoninę, bo już to kobiety stworzone do tego, żeby siedzieć na miejscu i próżnować, a bajek dla nich nigdy nie ma dosyć.

— A to już ze mnie zrobił próżniaczkę, powiedziała Antonina z pewnym dąsem, który nic gniewu nie miał w sobie. Jak to się ludziom zawsze wydaje, że jak kobiety siedzą w domu, to nic nie robią. A tymczasem, jak kto chce pracować, to znajdzie robotę od rana do nocy. A to krowy wydoić, a to zgotować jeść, a to stół się prosi żeby go wymyć, a ściany się proszą żeby wybielić, a coś uszyć, a coś wyprać. Chciałabym ja, dodała, patrząc wesoło w oczy mężowi, żebyś ty się kiedy ubrał w spodnicę i został na jaki dzień w domu, otóż byś się dowiedział, czy jest co do roboty.

Hela roześmiała się serdecznie i my wszyscy za nią chórem. Takiej szczerej, naiwnej wesołości dawno już nie pamiętałem; w tem kole rodzinnem było mi dobrze, swobodnie, jakbym zstąpił do mego dzieciństwa i wyciągał na nowo zapomniane zabawki, a zabawki wszystkie cieszyły mię jak dawniej. Hela siedziała naprzeciwko mnie i częstowała potrawami i prosiła wzrokiem. Przedewszystkiem uderzała mię, zadziwiała i upajała ta dziwna harmonja rodzinna, jaka panowała w chatce leśniczego. Małżeństwo, rodzina było zawsze dla mnie ciężarem, zwalonym na kilkoro pleców, z których każde starało się jak najmniej dźwigać. Tutaj przeciwnie widziałem, iż szczęście wypływa jedynie

z rodzinnego stosunku, z wielkiej miłości trojga istot dla siebie.

Kiedyśmy tak wesołą prowadzili rozmowę, kiedy i ja się rozgadałem i podchwyciwszy miejscowy ton rozmowy opowiadałem o różnych ludziach, o różnych obyczajach na świecie, a Hela pilnie patrzała na mnie i uważnie słuchała słów moich, z przyległej komory dał się słyszeć jęk głęboki, a później cichsze stękania. Był to jęk Karola. Rozmowa nasza, jako nić targnięta, urwała się nagle. Powstaliśmy od stołu i pospieszyli do chorego. Leżał w silnej gorączce, która się coraz zwiększała i wymagała nieopóźnionej pomocy lekarskiej. Koni nie było, nie wiedzieliśmy co robić, już miałem iść pieszo do miasta, kiedy nadjechał pan Józef, nasz doktór, sekundant, i powitaliśmy go wszyscy z radością.

Ku wieczorowi, kiedy już słońce zataczało się za widnokrąg, wracałem do domu. Doktora wraz z jego końmi zostawiłem był jeszcze w chacie, sam wracałem pieszo. Wychodząc z chaty nie mogłem się pożegnać z Helą; nie było jej tam, musiała być zajętą wieczornem gospodarstwem. Spodziewałem się ją spotkać może na ścieżce ogrodowej, ale i tam jej nie było. Udałem się więc dalej kręconą ścieżką w las, trochę zasmucony, a jednak pełen jakiejś tajemnej, wewnętrznej radości, której nie chciałem nawet rozumem usprawiedliwiać, bo wiedziałem, że robota byłaby daremną. Było to jakby przypuszczenie, że są na świecie rzeczy, których mógłbym pozazdrościć, do których pragnąłbym wspiąć się; było to jakby przeczucie, że szczęście nie

leży w obojętności dla wszystkiego, ale przeciwnie we wszechmiłości.

V.

16. sierpnia.

Już widzę, że te notatki moich wrażeń i przygód układają się w jakąś powieść. Tego jeszcze brakowało, ażebym został powieściopisarzem i stanął w szeregu ludzi, nad którymi albo litowałem się, albo których bardzo nie lubiłem. A wszystko to zawdzięczam Karolowi, który mię wmięszał do swojej sprawy i wyrwał ze zwykłego trybu życia.

Wczoraj, kiedy wróciłem do domu z objadu, powiedział mi służący, że jakaś pani przyjeżdżała do mnie i chciała się koniecznie widzieć ze mną. Zadziwiło mię to niepomału, ale przypuszczałem jeszcze, że to w skutek nieporozumienia pod względem osoby i nazwiska miały miejsce te odwiedziny, i że już się nie powtórzą. Nie miałem takich stosunków ze światem kobiecym, któreby mogły usprawiedliwić nagłe odwiedziny jakiejś nieznajomej pani. Byłem trochę ciekawy, lecz wkrótce zapomniałem o przedmiocie ciekawości, i właśnie wtedy, kiedym już zupełnie spokojnie oddawał się książce nawpół leżąc w fotelu, otwarły się drzwi i stanęła w nich postać kobiety, a za nią dziwnie ciekawa i uśmiechnięta postać mojego Łukasza.

Powstałem z siedzenia; kobieta się zawahała

u progu i nie podchodząc bliżej, spytała mię, czy jestem Danielem W.? Na potwierdzającą odpowiedź, podstąpiła na środek pokoju, obejrzała się na drzwi, w których dotąd jeszcze stał zaciekawiony Łukasz, i rzekła: Mam z panem do pomówienia sam na sam.

Spojrzałem gniewnie na Łukasza, którego już nazbyt parafiańska ciekawość obrażała mię prawie. Zamknął drzwi natychmiast i zostaliśmy sami. Podałem jej fotel, na którem usiadła z pewnem znużeniem. Stanąłem obok koło okna i oparty o jego ramy czekałem, żeby sama rozpoczęła rozmowę, z której się miałem dowiedzieć o powodzie tych dziwnych odwiedzin. Miałem czas już obejrzeć tę moją nieznaną panią, i przekonałem się, że musiała być jeszcze dość młodą i że była wcale przystojną. Twarz miała bladą i pociągłą, w wycięciu ust jakiś wyraz goryczy, niesmaku czy przesytu. Była przytem słusznego wzrostu, chód miała lekki i płynny, w ruchach i stroju wielką elegancyą. Duży szal perski owijał jej kibić i wcale dobrze odbijał od bladej cery i ciemnych w pukle ułożonych włosów. Jednem słowem poznałem w niej od razu jednę z władczyń salonowych, panią woskowanego i lakierowanego świata.

— Zadziwia pana i gorszy może — rzekła mi jednostajnym prawie głosem i nie patrząc na mnie — ta wizyta tak nagła i niezupełnie stosowna. Dla tego muszę mu zaraz podać jej naglącą przyczynę. Wszakto pan byłeś sekundantem Karola?

— Tak, pani.

— Mojego męża...

Skłoniłem się na tę nawiasową rekomendacją.

— Nie wiedząc od kilku dni, co się dzieje z Karolem, niespokojna o niego — mówiła to nadzwyczaj spokojnie i powoli — udaję się do pana z prośbą, ażebyś mi zechciał dać potrzebne skazówki.

— Raczy pani zażądać?...

— Naprzód, gdzie jest Karol?

— W Chocimkowskim lesie, w domku leśniczego... Trudno mu bylo przejechać do miasta.

— Jest więc bardzo chory? — spytała, spozierając mi w oczy.

— Rana nie jest niebezpieczną, ale dość ciężką.

— I wyleczenie nie tak prędko nastąpi?

— Tak mi się zdaje.

— Czy chciałbyś pan być tak grzecznym i zawieść mię do tej chatki, która mi jest zupełnie nieznaną i do której nie trafiłabym zapewne sama?

— W każdej chwili! Czy mam zaraz posłać po karetę?

— Powóz mój czeka na dole. Jeśli pan tak łaskaw, możemy zaraz pojechać.

Wychodząc z pokoju, podałem jej rękę i sprowadziłem ze schodów. Łukasz, którego ciekawość nie została zaspokojoną, nie mógł przyjść do siebie i otwarłszy drzwi przed nami, stał w nich długo jeszcze i patrzał na nas schodzących. Bałem się, żeby nie zachorował z ciekawości.

Wsiedlismy do małej, ale ładnej parokonnej karety; wskazałem woźnicy dokąd ma jechać. Pókiśmy jechali po bruku, stuk powozu i hałas miejski pozwalał

nam obojgu milczeć; ale gdy nagle koła zjechały w piasek, ocknęliśmy się w cichości, która na mnie przynajmniej niemile zaciężyła, bo zdawała się wymagać rozmowy, do prowadzenia której — a cóż dopiero do wszczęcia! — nie byłem wcale usposobiony.

Moja towarzyszka siedziała nieruchomie, z głową opartą o poduszki, z okiem utkwionem gdzieś przed siebie, z wyrazem jakiegoś znużenia i niezadowolenia, co zdradzały przedewszystkiem dziwnie piękne usta tej kobiety. Gdyśmy już byli za miastem, zwróciła się nieco ku mnie i rzekła właściwym sobie tonem znudzenia i apatji:

— Panie Danielu, pan mię musisz bardzo przeklinać w duchu.

— Nie, pani — odrzekłem spokojnie.

Usta kobiety zadrgały mimowolnie wesołym uśmiechem, lecz natychmiast powróciły do dawniejszego wyrązu. Ten uśmiech trwał zaledwie sekundę.

— Wyrwałam pana od jego zajęć, od książek...

— Powrócę do nich niebawem. Zresztą straty nie ma żadnej.

— Tak pan sądzi?

— Tak, pani. Nie jestem ani dziennikarzem, ani profesorem, ani autorem.

— Jednak, o ile słyszałam, książki pan cenisz bardzo wysoko.

— Bezwątpienia, jestto najmilsza rozrywka moja.

— Pan je uważa za rozrywkę?

— Tak, pani. Nudne książki uważam za jednę z plag rodu ludzkiego.

— Więc pan same powieści czytuje?

— Właśnie powieści nigdy nie czytam. Nie znam nic nudniejszego od powieści, chyba dramata pisane przez nie — Szekspirów.

— Więc powieści mają być tak nudne?

— Dla mnie. Podoba mi się określenie powieści przez jednego z moich znajomych, który mi kiedyś powiedział: „Mazgaj wymaluje mazgaja, i to się nazywa powieść.“

Moja pani poruszyła ustami do apatycznego uśmiechu.

— Lecz jeżeli powieści nudzą, cóż może zajmować? — spytała. — Zapewne historja?

— Więc pani szczerze kładzie różnicę pomiędzy historją a powieścią? — zapytałem poważnie.

Kobieta spojrzała na mnie z uwagą.

— Pan zatem nie widzi żadnej różnicy pomiędzy niemi?

— Tak, pani.

— Historja więc nudzi pana zarówno z powieścią?

— Tak, pani. Prawie tak samo mię nudzi. To nie dowodzi jednak, żebym jej czasami nie czytał. Czasami nawet pozwalam sobie powieść przeczytać, ale to w sposób wyjątkowy i wyjątkową powieść.

— Jakiegoż rodzaju książki stanowią rozrywkę pańską?... Zapewne nie matematyczne?

— Przeciwnie, pani; matematyczne i przyrodnicze.

Kobieta znów spojrzała na mnie z uwagą. Zdawało mi się, że mię o kłamstwo posądza.

— Rozrywka bardzo jest dziwną.

— Taką się innym wydaje... Rzecz gustu...

— Pan nie dokończyłeś zdania, jak mi się zdaje.

— Tak, pani.

— A więc rzecz gustu i...

— I stopnia szaleństwa.

Brwi mojej towarzyszki ściągnęły się na chwilę, jakby dla tego, żeby dać odpór zuchwałemu słowu; ale natychmiast rozbiegły się napowrót i twarz nie zdradzała już zakłopotania.

— Ja bardzo dobrze rozumiem pana.

— I podziela pani moje zdanie?

— Nawet... trochę... ale matematyki nie znoszę.

Kiedyśmy stanęli przed chatką leśniczego, wysiadłem pierwszy z powozu i poszedłem sam do Karola, aby go uprzedzić o przybyciu żony, która ten mój krok zrozumiała dobrze i do mego powrotu pozostała w karecie.

Karol na wiadomość o żonie zapłonął cały, a potem pobladł i dostał nerwowego drżenia.

— Słuchaj, ty tu przyjdziesz z nią razem? — rzekł do mnie drżącym głosem.

— Sądzę — odpowiedziałem — że właściwiej będzie, jeśli nie będę obecnym waszemu przywitaniu.

— Bądź, bądź; ja cię o to proszę, zaklinam; bądź tu ciągle przy mnie, póki ona nie odjedzie. Zaklinam cię. Widzisz, ja chcę odwagi czerpać w twojej obecności; ja nie dowierzam sobie.

Trudno mu było odmówić. Wróciłem do powozu i podając rękę pani Amelii, zapytałem, czy chce, żebym ją odprowadził aż do łoża chorego.

— Proszę pana o to — powiedziała, i poszliśmy.

Kiedyśmy weszli do komory, Karol siedział na posłaniu, oparty o poduszki; ręce jego drżały konwulsyjnie. Błyszczące, nieco zapadnięte oczy wlepił w postać żony, która umiała dziwnie panować nad sobą i żadnym prawie ruchem nie zdradzała pomięszania.

Moje położenie jako świadka niezmiernie mi ciężyło. Puszczając rękę Amelii, chciałem odejść, i już miałem się ku drzwiom, kiedy Karol zawołał na mnie:

— Danielu, zostań!... proszę cię o to.

— Zostań pan! — rzekła Amelia, chwytając mię za rękę; a zwróciwszy się do Karola, dodała:

— Temu panu zawdzięczam, że tu jestem; od niego dopiero dowiedziałam się gdzie jesteś. Pozwól się zapytać, w jakim celu ukrywałeś miejsce swego pobytu? Nie pytam już o dalsze rzeczy.

— A! nie pytasz o dalsze rzeczy! — zawołał Karol, podnosząc się na łóżku — nie pytasz o dalsze rzeczy!... I po cóżbyś miała pytać o to, co sama wiesz lepiej odemnie?!...

Głos Karola był gorączkowy i drżący. Policzki pałały chorobliwemi rumieńcami. Twarz Amelii pokryła się lekkim rumieńcem; ale ten znikł wkrótce niepostrzeżenie, osunął się jak lekka przejrzysta zasłona. Pozostała znowu twarz blada, z dawniejszym wyrazem obojętności i znużenia...

— Cierpisz gorączkę — powiedziała — nie chciałabym ci jej przysparzać widokiem swoim. Dla tej samej przyczyny gotowa jestem odłożyć na później rozmowę naszą, taką rozmowę, któraby nas mogła postawić na

wyraźnej stopie względem siebie. Odkładam ją do chwili kiedy będziesz zdrowszym.

— Taka rozmowa może mię uleczyć; mów zaraz, mów zaraz. Jestem ciekawy, do jakiego stopnia spotęgujesz obłudę swoją; jakie dasz objaśnienia; jakie wybierzesz zaklęcia; ha, wreszcie jakiemi wyrzutami mnie obarczysz. Wszak przyjechałaś po to, żeby mi robić wyrzuty; nieprawdaż?... tylko po to przyjechałaś?

— Mylisz się; przyjechałam, żeby ci zrobić propozycją, która nas jedynie, jak mi się zdaje, zdoła pogodzić.

— Propozycją?... Czego?

— Rozłączenia się, rozejścia się w różne drogi; jednem słowem rozwodu.

Karol, podniósłszy się na lewej ręce, słuchał tych słów z gorączkową ciekawością. Dosłuchawszy ostatniego wyrazu, padł z głuchym jękiem na poduszki.

Widziałem, że w oczach Amelii łzy błysnęły. Ta chłodna, znudzona kobieta musiała się przejąć na chwilę całą boleścią serca, które się tak fatalnie rzuciło jej pod nogi. Odwróciła nieco głowę odemnie, ażebym nie spostrzegł jej wzruszenia, i stała czas jakiś nieruchoma i milcząca. Parę minut trwało ciężkie, gniotące milczenie. Nakoniec podeszła bliżej do Karola i zaczęła mu mówić cichszym i przekonywującym głosem:

— Że to ja jestem bezpośrednią przyczyną twojego nieszczęścia, o tem wiem doskonale, i nie myśl, żebym to chciała utaić. To szczere przyznanie się niechaj ci będzie cząstką wynagrodzenia za to, za co ci w całości wynagrodzić nie zdołam. Ale posuwając szczerość dalej,

muszę ci powiedzieć, że już dalej w parze iść nie możemy; że, jeżeli było błędem nasze małżeństwo, to jeszcze większym byłoby błędem pozostawiać w niem nadal. Nie możemy być szczęśliwymi razem; może nie będziemy tak nieszczęśliwi osobno.

Karol milczał, łzy mu płynęły obficie z oczu. Nie mogłem znieść dłużej tej sceny i wyszedłem z komory. W wielkiej izbie pod piecem stała Hela i bawiła się w najlepsze z kotkiem, udając palcem myszkę i zniewalając kotka do łapania tej mniemanej myszki. Twarz jej pogodna, jasna, radośnie uśmiechnięta, przeraziła mię prawie po widoku tamtych twarzy bladych i boleścią lub goryczą ściętych. Kiedy mię ujrzała, uśmiechnęła się wesoło i rzekła:

— A, tak dawno nie byliście u nas.

Powiedziałem Heli, że nie mogę ich zbyt często odwiedzać.

— A wyście teraz przyjechali tak ładnie; widziałam wasze konie. Ta pani, co tak ślicznie ubrana, to wasza siostra?...

— Nie, Helu; to żona tamtego pana chorego.

— To żona?... Pewno daleko mieszka, kiedy dopiero teraz przyjechała do niego.

— Dość daleko.

Wkrótce ukazała się Amelja i podchodząc ku mnie powiedziała zniżonym głosem:

— Chciałabym natychmiast odjechać. Raczysz mi pan towarzyszyć?

Zawahałem się. Nie chciało mi się porzucać Heli i chorego Karola, którego zdrowie musiało się pogorszyć

po odwiedzinach żony. Nie chciałem znowu w niczem ubliżyć Amelii, której otwartość, szczerość i ufność dla mnie nie mogły nie zjednać mnie dla niej. Chwila wahania była krótką. Na znak zupełnej powolności jej żądaniu podałem jej rękę.

Już trzymałem ramię Amelii przy mojem ramieniu, kiedy ta szepnęła mi po cichu, wskazując na Helę:

— Co to za dziewczyna?

— Córka gospodarza tej chaty, leśniczego.

— Prześliczny pączek!... Jak się dziecko nazywasz? — rzekła do Heli.

— Kto taki? — zapytała Hela pomieszana.

— Ty, ty, dziewczyno... Czy już nie chcesz być dzieckiem?

— Pani zapytuje, jak cię nazywają? — dodałem.

— Ach, pani pyta, jak mnie nazywają?... Hela, pani.

— Bywaj zdrowa, Helu! bądź jak najdłużej dzieckiem... Chodźmy — rzekła do mnie. — Ale może pan zechcesz tu zostać?

— Obiecałem towarzyszyć pani, a nic mnie w tej chwili nie zmusza do zostania. Jestem więc na jej...

— Więc jedźmy!

Odprowadziłem Amelję do powozu, a sam powróciłem na chwilę do Karola, żeby go pożegnać. Oddech miał ciężki, gorączka wzmogła się niesłychanie; był więc jeszcze jeden więcej powód, żebym wracał natychmiast do miasta, a mianowicie potrzeba nagląca sprowadzenia mu doktora.

Karol wyciągnął do mnie wchodzącego rękę i rzekł szepcącym głosem:

— Jeżeli przeżyję to, co dzisiaj cierpię, Danielu... jeżeli przeżyję, to...

— Przeżyjesz! — odpowiedziałem mu, poruszony tym stanem cierpiącego. — Przeżyjesz i po przejściu tego bólu odrodzisz się zupełnie nowym człowiekiem. Czy lepszym, nie wiem; ale szczęśliwszym i spokojniejszym, to pewna!

Wielkiego sensu w tych moich słowach nie było, jak we wszelkich słowach pociechy tylko na własnych żądaniach opartej. Dla tego nie odważałem się nigdy nikogo pocieszać, i teraz dziwiłem się swojej bezczelności i odwadze. Na Karolu jednak te słowa zrobiły dobre wrażenie. Uścisnął mi dłoń silnie i szepnął:

— Danielu, dobry jesteś!

Pożegnałem go i powróciłem spiesznie do Amelii. Była trochę niespokojna i drżąca, choć uważałem, że starała się panować nad sobą i udawać zupełny spokój. Konie ruszyły. Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu; nareszcie Amelja nagle zwróciła się ku mnie i rzekła:

— Jak mi się zdaje, jesteś pan we wszystko wtajemniczony; jesteś jednym z najszczerszych przyjaciół Karola, a moją ufność dzisiaj pozyskałeś najzupełniej. Może to się dziwnem wydać, że w tak krótkim przeciągu czasu zdołałam pana poznać najzupełniej, a jeżeli nie poznać, to go pojąć przynajmniej. Dziwnie to wygląda, ale tak jest w istocie. Ponieważ po poznaniu pana chodzi mi o jego zdanie, chcę go zatem wtajemniczyć w całą tę smutną historją. Jako przyjaciel Karola i pośrednik w tej sprawie, może pan będziesz mógł z tego skorzystać dla uspokojenia Karola.

Podziękowałem jej za zaufanie ku mojej osobie i dobre o mnie mniemanie; ale było mi trochę niewygodnie w tej nowej roli spowiednika. Wykręcić się od tej roli niepodobna było bez obrażenia kobiety; musiałem więc przyjąć na siebie ten ciężar, i już byłem przygotowany do długiej sceny wynurzań się i zwierzeń, kiedy Amelja po chwilce milczenia i jakby odgadując moje myśli rzekła:

— Dla powodów bardzo zrozumiałych pragnę tę spowiedź odbyć pisemnie, tem bardziej że chodzi mi o to, żebyś pan ten list mój po przeczytaniu wręczył Karolowi.

Byłem rad bardzo z tego obrotu rzeczy i podziwiałem śmiałość i spokój tej kobiety, umiejącej tak zręcznie obchodzić się z drażliwemi sprawami; umiejącej tak spokojnie i z godnością mówić o rzeczach, których się dotknąć nawet lękają kobiety.

Kiedyśmy zajechali do jej domu, powiedziała mi, że nie zaprasza mnie w tej chwili do siebie, bo wie, że mam się udać po lekarza. Ofiarowała mi ku temu swoje konie i prosiła, żebym ją zechciał kiedy odwiedzić. Podziękowałem za konie, ale ich nie przyjąłem w skutek jakiegoś niewyraźnego skrupułu i przyrzekłem ją niebawem odwiedzić. Mogę powiedzieć, że mi się nie tyle podobała, ile mnie zaciekawiła i zajęła. Dla tego też muszę ją poznać bliżej.

VI.

18. sierpnia.

Dzisiaj odebrałem zapowiedziany list Amelii. Odgadłem po zapachu, po wypieszczonem piśmie, że wyszedł z ręki kobiety, znającej doskonale wszystkie ozdoby i przyjemności życia powszedniego. Łukasz musiał się także domyśleć autorki, a może się dowiedział o niej od posłańca, bo kiedy mi dziś rano przy kawie ten list oddawał, to zrobił minę tak zabawnie poważną, tak pełną komicznego uszanowania dla mniemanej tajemnicy, że zacząłem śmiać się i zapytałem: czy mu się czasem jakie nieszczęście nie przytrafiło.

Muszę wyznać, że z niemałą ciekawością zabrałem się do czytania wonnych ćwiarteczek pani Amelii. Co też ta kobieta powie o sobie? Jak się wywikła z oskarżeń, których nie zna, ale których domyślać się musi? Przeczytałem list i dałem w duchu najlepsze świadectwo o dowcipie pani. Nie wiem, czy chciała w tym liście oskarżyć raczej męża, niźli uniewinnić siebie, ale to wiem, że list zjednał mnie dla niej swoją dziwną śmiałością, szlachetną jakąś bezczelnością, która mnie zawsze podbija. List ten zawiera krótką historję małżeństwa, jaka się u nas na każdym kroku powtarza, choć nie wszędzie dochodzi do tak dramatycznych rozmiarów.

Oto jest ów list. Przepisałem go sobie jako dokument historyczny, wymownie świadczący przeciwko teorji szczęścia małżeńskiego.

„Są sprawy na świecie, na które nie ma żadnego trybunału; do takich spodziewam się, należy sprawa moja z Karolem. Gdybym chciała być więcej dumną, niźli nią jestem w istocie, mogłabym na wszystkie wyrzuty, skargi, narzekania i potwarze odpowiadać milczeniem; gdyby mi los Karola był zupełnie obojętnym, uczyniłabym to samo. Ale, że tak nie jest, więc chętnie piszę, tem chętniej, że, jak mi się zdaje, obie strony znalazły w panu najstosowniejszego pośrednika i sędziego. Będzie to wyjątkowy trybunał dla sprawy takiej jak nasza, a za cały wyrok będzie sąd pański o naszym wzajemnym stosunku, sąd, który pan wypowiesz Karolowi i który mnie raczysz przedstawić, jeśli to uznasz za dobre. Chodzi mi tu najwięcej o Karola, chodzi mi o to, żeby mu głos przychylny a bezstronny przedstawił całą rzecz w świetle właściwem. Rozstać się musimy, wiem o tem i pragnę tego, ale niemniej pragnę, żebyśmy rozstając się mogli wyrównać nasz rachunek moralny, a jeżeli zupełne wyrównanie nastąpić nie może, żeby obie strony wiedziały jaki dług moralny i po czyjej stronie spoczywa.

A teraz opowiem panu małą powiastkę, dość nieciekawą; choć wiem, że pan masz wstręt do powieści, sądzę jednak, że przez życzliwość dla Karola zechcesz ją przeczytać z uwagą.

Byłam jedynaczką u moich rodziców. Kochali mię niezmiernie i dzisiaj jeszcze żyjący ojciec mój kocha mię tak, że często przykro mi się robi na myśl, w jak małej części potrafię mu się za jego miłość odpłacić mojem przywiązaniem. Dogadzano mi we wszystkiem,

zgadywano myśli moje, byłam panią w domu, rozrządzającą wszystkiem.

Wprawdzie nie było tak bardzo czem rozrządzać, ojciec mój odziedziczył dość szczupłą fortunę. a przedsiębiorstwa nie bardzo mu się jakoś wiodły. Mimo to nic nie szczędzono, aby mi dać jak najświetniejsze wychowanie. Do tańca, muzyki, śpiewu, języków miałam osobnych nauczycieli. Dobrzy rodzice już w piętnastym roku wozili mię na bale, aby się popisać ze swoją jedynaczką. Wystąpiłam więc na świat dość wcześnie; dość wcześnie przyzwyczaiłam się do szeregu wielbicieli, z którego szczycić się nie mam wcale ani powodu, ani ochoty, zawcześnie jednem słowem zaczęłam poznawać ludzi i mieć dla nich coś trochę z lekkiej pogardy. Czy miałam słuszność, czując się wyższą od nich, nie wiem, ale czułam, że dalecy byli od jakichś niewyraźnych ideałów mojej duszy.

Poznałam Karola i podobał mi się bardzo. Był zupełnie niepodobnym do tych, których spotykałam wszędzie na balach i po salonach. Tamci wprawdzie mniej więcej w takt tańczyli, a Karol tańczyć nie umiał i nigdy nie tańczył, tamci ustrojeni byli zawsze wytwornie i według najnowszej mody, a Karol ubierał się tak tylko, aby nie gorszyć sukniami swojemi innych, a o modzie nic nie wiedział, ale prócz tej wyższości tamtych nad Karolem, wszelka zresztą różnica przy ich porównaniu wypadała na korzyść Karola. Nie mogłam nie dostrzedz o jak wiele wyższą była jego naturalna życzliwość, i nieśmiałe, niezręczne może, ale pełne prostoty obejście się, od wyuczonej elegancji i pretensjonalnych ruchów młodzieży, od tego wszystkiego co stanowi istną fortyfikację salonową, poza którą głupstwo i nicość rade szukają schronienia.

Byłam szczerze życzliwą Karolowi; Karol mnie kochał i to było jego nieszczęście. Wiem, że patrzał na mnie jak na istotę wybraną i przeznaczoną dla siebie i w tem się ogromnie pomylił. Rodzice moi czekali na to, aby jaki książę lub hrabia zjawił się po moję rękę, ale, rozumie się, doczekać się tego nie mogli. Tymczasem przyjmowali Karola życzliwie, bo ja go życzliwie przyjmowałam, ale nie dawali wyraźnej zachęty, aby starał się o moją rękę. Zresztą on sam, nie mając żadnego samodzielnego stanowiska, nie chciał nigdy z wyraźnem żądaniem wystąpić. Tak trwało lat kilka i przez tych lat kilka był mi Karol dobrym towarzyszem, z którym lubiłam prowadzić rozmowy, przynoszące pokarm dla umysłu, przed którym lubiłam wyśmiewać się z próżni salonowej. Karola dziwiło trochę i niejednego to może zadziwi, że ja śmiejąc się i szydząc z ortodoksji salonowej, byłam wierną zawsze jej przepisom; ale właśnie ta sprzeczność we mnie najwięcej mię bawiła; zdawało mi się, że dopiero idąc równo z najwyższemi wymaganiami świata, mogę się z nich wyśmiewać najswobodniej. Ozdoby zresztą lubiłam i lubię wszędzie i zawsze, jeżeli tylko są prawdziwemi ozdobami.

Czułam prawdziwą wdzięczność dla Karola za to, że chętnie, niczem nie zrażając się, wyświadczał mi wiele drobnych przysług; wiedziałam, że gotów był do

największej ofiary dla mnie, wiedziałam zresztą, że nikt więcej od niego nie mógłby mnie kochać.

Schlebiała mi taka miłość, ale wypłacić się z niej nie mogłam, i to jest cała moja wina, że nie dość pamiętałam o tem. Karol uzyskał nareszcie dawno oczekiwaną przez siebie posadę i już swobodnie mógł oświadczyć się o moją rękę. Oświadczył się. Wspomniałam już panu, że rodzice pragnęli dla mnie jakiegoś nadzwyczajnego męża, ojciec więc, który mi już wtedy tylko został, nie bardzo był rad oświadczynom Karola; ale naprzód żaden nadzwyczajny mąż się nie zjawiał, a powtóre nie byłam już dzieckiem, i ojciec nie chciałby był w żaden sposób krępować mego postanowienia. Nie było więc z tej strony przeszkody.

Gdybym znała naówczas gorączkowy i drażliwy charakter Karola tak, jak go poznałam potem, gdybym znała była lepiej swoje usposobienie, wymagające koniecznie spokojnej, niczem niezamąconej sfery, byłabym odmówiła prośbie Karola. Byłoby to przykrością i cierpieniem dla nas obojga, ale cierpieniem chwilowem, któreby oszczędziło wiele cierpień większych, co potem nadejść musiały. Stało się inaczej. Przyjęłam prośbę Karola z jak największą ufnością w przyszłość i niebawem odbył się nasz ślub.

Nie powiedziałam panu dotychczas — że kochałam Karola, jak również nie wypowiedziałam nigdy tego sakramentalnego słowa przed Karolem i śmiałam się z niego, kiedy mię prosił o to słowo. A przecież kochałam Karola, ale kochałam po swojemu; bez gwałtu, uniesień, gorączki, bez tego wszystkiego, co jedni

nazywają rozkoszą, inni męczarnią miłości. Inaczej kochać nie umiałam, inaczej, jestem pewna, nie potrafię nigdy nikogo pokochać. Być może, że ludzie tego nie nazwaliby miłością, ale przecież to nie moja wina, żem nie była nigdy skłonna do uniesień.

Kochałam w Karolu człowieka prawego — szczerego, wykształconego i myślącego; kilkoletnia bliska znajomość nasza nadawała uczuciu temu trwałość, pewność i swobodę. Z wielu, nie powiem wad, ale omyłek towarzyskich starałam się poprawić Karola, i to mi się udało. Karol zaczynał dbać więcej o swoją powierzchowność, zaczynał naginać się do wymagań salonu. Było to wszystko przed ślubem. Nie przeczuwałam jaka dziwna i gwałtowna zmiana zajdzie w charakterze Karola po ślubie.

Pamiętam, że już w parę tygodni po naszem pobraniu się dostrzegłam w Karolu pierwszych znaków jakiegoś niepokoju, jakiejś tajemnej gorączki, co później napełnić miała całą jego istotę. Nie chciałam zrywać moich znajomości, nie czułam się nigdy skłonną do zamykania się w domu, w parę tygodni więc po ślubie zaproponowałam Karolowi, abyśmy stosownie do przyjętego zwyczaju zrobili kilka wizyt. Karol nie przeczył mi, ale uważałam, że przyjął propozycję z dziwnem pomięszaniem jakiemś, z którego nie mogłam jeszcze zdać sobie sprawy. Pojechaliśmy więc do kilku domów w odwiedziny i rozumie się, musieliśmy następnie otworzyć nasz salonik. Bawiono się u nas zawsze bardzo dobrze; przypisywano to mojej organizatorskiej zdolności, i istotnie, ośmielam się tu pochwalić przed panem,

starałam się zawsze grupować koło siebie towarzystwo, któreby tworzyło pewną znośną harmonję, jak w muzyce bowiem fałszywy akord, tak samo razi mię niedobrane towarzystwo.

Tajemny niepokój Karola wzrastał ciągle i szybko. Pytałam go parę razy z podziwieniem o powód widocznych znaków tajemnego wzruszenia, ale zbył mię niezręcznem jakiem tłumaczeniem. Zaczęło mię to gniewać trochę; zaczął mię razić ten brak spokoju i powagi w mężczyźnie, zmienność ciągła w humorze Karola, choć mi się nie dawała uczuć żadnem przykrzejszem od niego słowem, to przecież męczyła mię niezmiernie. Wkrótce odgadłam znaczenie tego niepokoju, była to zazdrość, była to obawa o mnie, a raczej o siebie, aby mu kto serca mojego nie wydarł.

Możeby inna kobieta na mojem miejscu szczęśliwą czuła się z tej zazdrości męża, ja byłam zgryzioną i rozgniewaną. Zazdrość mężowska Karola nie schlebiała mi wcale, bo i przedtem byłam aż nadto pewną, że mnie kochał szczerze, gorączkowe zaś objawy tego uczucia, zupełna nieumiejętność panowania nad sobą i skutkiem tego ciągły brak taktu i spokoju w obejściu się, wszystko to drażniło mię tylko, psuło mi pogodę życia i niechętnie usposabiało dla chwilowych wylewów miłości, dla chwilowych uniesień Karola, które z niezrozumiałych prawie dla mnie powstawały pobudek, i których powstrzymać Karol nigdy nie umiał.

Tak spędziliśmy kilka miodowych miesięcy. Zdawało mi się, że zachowując jak największy spokój, że udając, iż się nie domyślam nawet tajemnej gorączki

jego, najwłaściwiej oddziaływać będę na uspokojenie Karola. Zresztą inaczej nie umiałabym postępować. Powtarzać przysięgi i zaklęcia, sączyć łzy z oczu, bawić się jednem słowem w sielankę nie umiałam nigdy i czułam wstręt do tego.

Zdawało mi się nawet, że takie zachowanie się moje zaczynało wreszcie korzystnie wpływać na Karola, kiedy zaszedł drobny wypadek, który wywołał całą katastrofę. Wieczorem kiedyś mieliśmy gości u siebie, jak to się często zdarzało, i między innemi był mój daleki krewny, Klemens, oddawna, od dzieciństwa prawie, zaprzyjaźniony ze mną.

Wiedziałam, że podejrzenia Karola były często najdziwaczniejsze, ale nie przypuszczałam nigdy, aby mógł zwrócić podejrzliwość swoję na mój stosunek do Klemensa. Tak się zdarzyło, że kiedy inni goście wychodzili, Klemens pozostał jeszcze, a ponieważ Karol odprowadzał odchodzących gości z lampą przez długi kurytarz do bramy, zostałam więc w salonie sam na sam z Klemensem. Nie pamiętam o czem mówiliśmy, ale wiem, że nagle urwała się nasza rozmowa i czas jakiś zapanowała cisza; słyszeliśmy oddalone kroki wracającego Karola. Drzwi od salonu były trochę otwarte i przechylona na kanapie w stronę od światła mogłam dostrzedz światełko zbliżającej się lampy. Nagle zmilkły kroki wracającego, dostrzegłam, jak znikło światełko lampy i byłam zdziwiona tem zjawiskiem, nie mogąc jeszcze w pierwszej chwili zdać sobie z niego sprawy. Ale głośniejszy krok jeden Karola pod drzwiami, wśród ciszy jaka panowała w pokoju, błyskawicą oznajmił mi

wszystko: Karol chciał nas podpatrzeć. Do wybuchów gniewu niezdolną byłam nigdy, tym razem jednak ta podejrzliwość śmieszna, niespodziana i niczem nieusprawiedliwiona, doprowadziła mię do uniesienia. W jednem mgnieniu oka przechyliłam się w przeciwną stronę i położyłam głowę na ramieniu Klemensa, zdziwionego zapewne, zgorszonego i nieumiejącego sobie zdać sprawy z tego, co się dzieje. Co czynię, nie wiedziałam, powtarzam, był to krok uniesienia; w tej chwili przestałam być panią siebie. Była to gorączka, niczem nie powstrzymana chęć ukarania Karola za jego podejrzliwość; była to gwałtowna chęć wywołania jakiejś burzy, któraby oczyściła z wszelkich podejrzeń nasz wzajemny stosunek. Nie przeczuwałam, że ta burza tak strasznym piorunem uderzy w Karola.

Wszystko to trwało krótką chwilę, którą zakończył głuchy stuk padającego ciała i brzęk tłuczonej lampy. Rzuciliśmy się ku drzwiom i znaleźliśmy za drzwiami bezprzytomnego Karola. Byłam przerażona, zła, gniewna, rozżalona; po raz pierwszy w życiu doznawałam tak przykrych wrażeń. Nie wiedziałam, czy gniewać się mam więcej na Karola, czy ubolewać nad nim. W tej chwili byłam już pewna, że rozłączyć się musimy koniecznie.

Przez kilka dni Karol leżał chory. Gdy przyszedł do zdrowia, nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć, jak zacząć? Bałam się, aby go nie wprowadzić w rozdrażnienie, a przedewszystkiem bałam się, aby mi nie zarzucił kłamstwa. Czułam się zawsze obrażoną w głębi i dla tego czekałam, aby pierwszy mówić zaczął. On

milczał i ja milczałam, choć to milczenie było dla mnie ciężarem niesłychanym. Wreszcie stało się to, co pan znasz dokładniej odemnie, odbył się pojedynek, któremu przeszkodzić nie miałam możności, bo nic nie wiedziałam o nim.

Taką jest cała historja. Kończę list bo i tak już musiałam znudzić pana. Niech pan powtórzy Karolowi, że moja wina leży w tem, żem się dała ukochać człowiekowi, którego miłości stosownie odpowiedzieć nie umiałam. Kochałam go swoim sposobem; więcej i inaczej kochać nikogo zapewne nie potrafię. Po tem, co się stało, rozłączyć się musimy koniecznie. Harmonja nie może być już przywróconą naszemu pożyciu; Karol się nie zmieni, ja się także nie zmienię.

Amelja.

Zakończenie jest lapidarne. W Post scriptum uwiadamiała mię ta kamienna pani, jak ją nazwał doktor, z którym niedawno mówiłem o niej, że przejeżdża do ojca, że Karol spokojnie zatem może powrócić do swego mieszkania.

Odczytawszy list parę razy, nie siliłem się bardzo nad dociekaniem, czy wszystko w nim jest prawdą niepodrabianą, czy ta spowiedź nie miała pewnych restrykcji — w których jak przy każdej spowiedzi, znaleźć by można właściwy klucz do zrozumienia ludzkich uczuć i postępków. Praca byłaby zbyteczną, gdy było rzeczą widoczną, że taki mąż jak Karol i taka żona jak Amelja nie mogą żyć razem, nie nastręczając sobie ciągle powodów do nieustannych cierpień i przykrości. Zresztą

wszystko w liście miało takie cechy prawdopodobieństwa, że postanowiłem wierzyć wszystkiemu najzupełniej.

Potrzeba było teraz udać się z listem do Karola.— Cieszyłem się, że przynajmniej jednę znajdzie dla siebie w tym liście pociechę, a mianowicie tę pewność, że Amelja nie myślała go zdradzić. Siadłem do fiakra i pojechałem, zaprzątnięty myślą o tem, co mam odpowiadać Karolowi na jego wezwanie o radę, jak ma sobie teraz postąpić. Był to, przyznam się, ciężki obowiązek, który przyjmowałem już z góry na siebie przez wzgląd na chorego i istotnie cierpiącego człowieka.

Zbliżywszy się do chaty leśnego, ujrzałem Helę na progu stojącą. Była jakby zamyśloną, jakaś powaga patrzała z jej twarzy. Przywitała mię zapytaniem: Czy wiecie co się stało?

— Cóż takiego?

— Nasz pan umarł.

— Jaki pan? — zapytałem prędko.

— Nasz pan z Chocimkowa. Pozawczoraj położył się spać najzdrowszy; wczoraj rano już się nie obudził.

— I żałujesz go bardzo?

— Dobry był dla mnie bardzo; jak był tu kiedyś, to całował mnie i nazywał córką.

— Więc go żałujesz?

— A to żal jak dobry człowiek umiera; i to tak prędko. Tu był zdrów, a tu już nie żyje.

— A wiesz ty Helu, że wszyscy ludzie umrzeć muszą? zapytałem dziewczynę.

Hela spojrzała na mnie swemi dużemi, szafirowemi oczyma, z których dziwna jakaś powaga przemawiała —

twarzyczka jej okryła się większem jeszcze zamyśleniem. Prześliczną była dziewczyna, powiedziałbym majestatyczną z tą swoją surowością w twarzy i oczach. Nad tą nieuchyloną koniecznością bytu ludzkiego zapewne nigdy się nie zastanowiła i dziś po raz pierwszy może spoglądała jej w twarz niezamglonymi oczami.

Jakby w odpowiedź na moje pytanie powiedziała po chwili: Tym najlepiej pewno umierać — których wszyscy żałują.

— A temu, zapytałem znowu, zachwycony słowami dziewczyny i jej cudownem zamyśleniem, w którem te słowa wymawiała, a temu, którego już nazajutrz nie będzie nikt żałował, a o którym na trzeci dzień po śmierci nie będzie nikt pamiętał?

Dziewczyna zwróciła znowu na mnie niebieskie oczy, i tym razem dostrzegłem, że były łzą przesunięte. Nie mogłem zrozumieć, jak i po co się tamte łzy wzięły, ale wiem, że było jej prześlicznie z niemi. Nie chciałem jednak korzystać dłużej z tego widoku i zanim mi dała odpowiedź, zapytałem ją znowu:

— A wasz gość, pan Karol, jak się miewa?

To zapytanie wyrwało ją z zamyślenia.— Zdrowszy, chwała Bogu, powiedziała mi. Doktor mówił, że już prędko zdrów będzie zupełnie.

— I może jutro jeszcze odjedzie do domu — dodałem.

— A to nam smutno będzie, myśmy się bardzo przyzwyczaili, ten pan taki dobry, zaczął mnie uczyć liter; mówił — że to nie ładnie, żebym ja nie umiała czytać.

— A chcesz się uczyć, Helu? — zapytałem z ciekawością.

— Chcę, bobym się mogła z książki modlić.

— Oprócz modlitwy, można jeszcze z książek dużo rzeczy ciekawych i dobrych wyczytać. Potrzeba, Helu, żebyś się uczyła.

— Żebym to ja sama mogła się nauczyć. Tylko, że ojciec mówi, że mnie się na nic nie zda czytanie.

Ten ojciec ma słuszność, pomyślałem w duchu. Ale widząc, że dziewczyna ma wielką ochotę do nauki, powiedziałem:

— Zobaczymy, Helu, może się ojciec przekona. A teraz trzeba iść do chorego; zagadałem się z tobą.

Dziewczyna uśmiechnęła się na to, ale w słodkim jej uśmiechu była jeszcze jakby resztka smutku, wywołanego mojemi poprzedniemi pytaniami, które mi się, jak teraz widzę, nie wiedzieć po co wyrwały, chyba po to, żeby mię dziewczyna mogła czarować potem swojemi łzami i swoim uśmiechem.

Poszedłem do izdebki Karola. Leżał jeszcze był dość osłabiony, ale było to osłabienie, następujące zawsze po ostatniem wysileniu gorączki. Twarz miał ściągniętą, wychudłą, znać było, że w tych kilku dniach musiał wiele przecierpieć, ale te ślady cierpienia nakrywała jakaś łagodna rezygnacja. Z radością powitał mnie i wzrokiem zapytywał, co z sobą przynoszę; wiedział zapewne od żony, że otrzyma list od niej przez moje ręce.

— No Karolu, powiedziałem mu, przynoszę ci list od żony, pisany wprawdzie do mnie, ale przeznaczony dla

ciebie. List ten, sądzę, uznasz za bardzo pomyślny dla siebie, bo w całem świetle okazuje niewinność twojej żony, wolałbym ci go jednak nie czytać teraz i nie narażać cię na wzruszenia, które mogą szkodzić twemu zdrowiu.

— Nie, Danielu, to nic nie szkodzi, odpowiedział mi. Jestem teraz bardzo spokojny. Przecierpiałem bardzo wiele; większych cierpień mieć zapewnie nie mogę i ta myśl — żem przeniósł tak wiele, dodaje mi siły. Daj mi, przeczytam list... albo raczej sam mi go przeczytaj, wszak nic nie opuścisz.

Musiałem spełnić i to drobne poświęcenie. Kiedym skończył czytać, spojrzałem na Karola: łzy mu biegły z oczu. Chwycił mię za rękę, uścisnął ją z nadzwyczajną mocą i rzekł: Wszystko co napisała, musi być prawdą. Dziękuję ci, Danielu. Teraz widzę, wiele mojej winy było w tem wszystkiem.

Zadziwiony byłem tą nagłą zmianą w uczuciach Karola, chociaż mogłem nie dziwić się, znając jego charakter. Oparty o poduszki siedział jakiś czas w zamyśleniu, a potem przemówił:

— Jeżeli byłem istotnie winny, wszak zapłaciłem za to krwią swoją! Czemuż mi nie chce darować winy?

— Nie jestem adwokatem twojej żony, odpowiedziałem, ale przypomnę ci treść jej listu: nie ma ona pretensyj do ciebie, tylko nie wierzy, ażeby dwa charaktery, tak różne jak wasze, mogły żyć razem, nie dręcząc siebie ustawicznie.

— Wierzę teraz, że ona nie kocha innego, ale i mnie nie kocha także, powiedział smutniejszym głosem —

a po chwili dodał: Czyż ona jednak winna, że mnie kochać nie może? Czyż nie jest to raczej moją winą? Danielu, ty się z nią będziesz widział?

— Grzeczność mi nakazuje odwiedzić ją, lub przynajmniej napisać list do niej po widzeniu się z tobą.

— Jak się z nią zobaczysz, powiedz jej, że przebaczam wszystko i proś, żeby mnie także wszystko przebaczyła.

— Potrzeba, żebyś powrócił wreście do domu, powiedziałem mu.

— To będzie najprzykrzej. Ale wrócić trzeba. Dziś jeszcze nie, jutro. Poprosisz doktora, żeby przyjechał po mnie.

Karol był ciągle zamyślony; widocznie rozważał w myśli usłyszaną treść listu. Rozmowa się nam jakoś nie bardzo kleiła, więc zabawiwszy niespełna godzinę, zabrałem się do odjazdu. Karol prosił mię, żebym mu zostawił list żony; zostawiłem mu i jestem pewny, że po moim odjeździe odczytywał go do późnej nocy. Ten list powinien być wielką lekcją dla Karola i cieszyłbym się bardzo, gdyby ta lekcja stanowczy wpływ wywarła na niego.

*

* *

Pożegnawszy Karola, wychodziłem z domku leśnego nie bez chęci ujrzeć jeszcze raz Helę, której już nadal nie miałem tak często oglądać. Zastałem Helę i matkę przed domem; siedziały na przyzbie i szyły. Antonina

miała oczy zapłakane; płakała po tym, którego zapewne zaledwie kilka razy w życiu widziała, o którym słyszała tylko, że jest dobrym dla sług i podwładnych. Gniewała mię zawsze ta obfitość łez u kobiet i spychała je w moich oczach do rzędu nieznośnych dzieci, które płaczą naprzód dla tego, że się gdzieś łbem o klamkę uderzyły, a powtóre i przedewszystkiem dla tego, że na nie patrzą starsi i że ich płacz słysząc, żałować je będą i pieścić. Ale w zapłakanych oczach Antoniny był żal taki pogodny, cichy, nienatrętny, że nie tylko nie obudzał wstrętu, ale i owszem miał w sobie coś przyjemnego.

Usiadłem koło szyjących na przyzbie; zaczęliśmy rozmawiać o śmierci Chocimskiego. Matka i córka uwiadomiły mię, że udają się jutro na pogrzeb do Chocimkowa, że zobaczą tam zapewne młodego pana, który ma być jutro na pogrzebie i zamieszka podobno w Chocimkowie Ja zaś uwiadomiłem kobiety, że Karol już napewne opuszcza ich jutro. Hela spojrzała na mnie wzrokiem, który jakby czegoś chciał i o coś pytał; ale czego chciał i o co pytał, nie wiem. Antonina zaś powiedziała:

— Dał nam Pan Bóg gości i znajomych, a teraz zabiera. — Smutno nam będzie, że już was nigdy nie obaczymy.

— Dla czego nigdy? zapytałem, dotknięty trochę temi słowami. Wszak z miasta tu niedaleko. — Jak tylko się gniewać nie będziecie, to nieraz przechadzką do was tu zajrzę. Hela mnie poczęstuje kwaśnem mlekiem, opowie mi jaką bajeczkę. Szkoda, że Hela nie

umie czytać, bobym jej przyniósł nie raz ciekawą książkę.

Hela słuchała pilnie słów moich, a Antonina powiedziała: — Dobrzeby było, żeby się dziewczyna czytać nauczyła. Mogłaby mi czasem głośno jaką litanję odczytać, albo i książkę ciekawą, szczególnie w niedzielę, kiedy dzień długi, a żadnej roboty nie ma. Ale ktoby ją uczył? Ojciec nie ma czasu, a ja nie umiem. W mieście to możnaby znaleźć kogo, żeby uczył, ale na wsi, a do tego w lesie, to już nie ma żadnego sposobu.

Przychodziła mi dziwna chętka ofiarowania się Heli na nauczyciela; juściż czasu miałem tyle, że mogłem co dni parę pieszo, czy powozem zrobić wycieczkę do lasu Chocimkowskiego i poświęcić jaką godzinę nauczaniu Heli. Czułem, że byłby to dla mnie na jakiś czas przynajmniej bardzo miły obowiązek, odkrywać cały świat wiedzy przed umysłem świeżym, niepokalanym przesądami i zaćmieniami towarzyskiemi i śledzić za ruchem jego wrażeń. Ale szaleństwo tej myśli tak było jawne, że się jej sam przed sobą natychmiast zawstydziłem i nic nie odpowiedziałem Antoninie na jej słowa.

Wkrótce zmrok zaczął padać; pożegnałem leśną rodzinę i powracałem do domu, znowu niespokojny, rozstrojony, zły nawet. Obudzały się we mnie pragnienia, których zaspokoić, którym zadość uczynić nie mogłem — jak dzieci od ojca, wyciągały ręce do mnie, żądając pokarmu: kiedyś mię stworzył, daj mi jeść! Za cały pokarm mogłem im dać kamień do ugryzienia.

W tem usposobieniu powitałem moje cztery ściany. Zachciało mi się opisać wrażenia dzisiejsze i oto je opisałem.

VII.

24. sierpnia.

Czuję jakby knujący się w powietrzu spisek na moją spokojność; gdyby los, który szaleńcy nazywają najwyższem bóstwem, nie był głupszym, a jeśli chcecie niewinniejszym od nowo narodzonego dziecięcia, to posądziłbym go o chęć wypłatania mi psoty.

Już więcej jak od dwóch tygodni, jeszcze od tego pojedynku Karola czuję, że jestem wyrzucony ze zwykłego koryta mojego. Rozlałem się na prawo i na lewo i trudno mi teraz powrócić do mojego ciasnego, ale głębokiego łożyska; wmięszałem się w sprawy ludzkie i trudno mi się z nich wydobyć.

Wyobraźnia moja, którą starałem się trzymać zawsze w milczącej uległości przed rozumem, narażona teraz na częstsze drażnienie, zaczyna się zrywać, targać, i tem zrywaniem się swojem narusza niezbędnie moją równowagę umysłową. Wyobraźnia jest najsłabszą stroną tej fortecy, jaką bywa człowiek, kiedy chodzi o jego zdobycie. Stosownie do okoliczności, zaniepokoić ją, rozdrażnić albo przekupić podchlebstwem i olśnić sztucznym blaskiem, a z pewnością wniesie niepokój, popłoch i nieporządek pomiędzy sprzymierzone siły umysłu, zapanuje

nad niemi i wyda człowieka — fortecę ze wszystką bronią i amunicją nieprzyjacielowi. Nie wiem, czy mam takiego nieprzyjaciela, musiałbym przypuszczać, że istnieje jakieś bóstwo figlarne, którego zadaniem jest wprowadzac ludzi w obłęd, i które właśnie czyha na moją spokojność, ale wiem, że od niejakiego czasu wyobraźnia moja jest często wystawioną na pokusy, z któremi walczyć muszę, przywołując na pomoc całą armję rozumu.

Pozawczoraj byłem u pani Amelii, która od kilku dni przeniosła się już na mieszkanie do ojca. Ponieważ rozmowa nasza nie mogła znosić obecności niewtajemniczonych w sprawę, posłałem więc był przedtem Łukasza z biletem wizytowym do Amelii, zapytując, kiedy pozwoli odwiedzić siebie. Naznaczyła mi tego samego dnia godzinę ósmą wieczorem. Stawiłem się jak najpunktualniej. Zastałem ją wraz z ojcem w małym salóniku, nadzwyczaj gustownie urządzonym; siedziała przy fortepianie i z niezwykłą biegłością grała jakieś Allegro z Mendelsohna. Usłyszawszy wchodzącego podniosła się szybko z taboreta i powitawszy, przedstawiła mię ojcu. Ten ojciec wydał mi się istotą bardzo ograniczoną; dostrzegłem pewnej protekcyjności w sposobie obchodzenia się z nim córki.

Podano natychmiast herbatę; dzięki temu napojowi rozmowa nie była tak uciążliwą. Amelja przeczuwając zapewne, że nie cierpię zdawkowej rozmowy, do której zresztą jestem bezwzględnie niezdolny, wzięła na siebie cały jej ciężar, najczęściej u ojca zasięgając potocznych wiadomości, a mnie tylko robiąc prawie niemym jej

świadkiem. Miałem sposobność przez ten czas przypatrzeć się mojej gospodyni, która mi dziś piękniejszą się wydała, niż przedtem. Jej cera blada przy świetle wieczornem miała przytępiony blask marmuru; duże, czarne oczy skupiały w sobie całe życie tej bladej twarzy, a we wzroku jej było coś wyzywającego i poskramiającego zarazem. Piękne, misternie wycięte usta, rzadko kiedy i to jakby z przymusu uśmiechem okraszone, miały w samem wycięciu swojem jakby znak pogardy czy dumy. Miała przytem ręce, któreby mogły służyć za wzór dla najwybredniejszego rzeźbiarza, a umiała je pokazywać tak zręcznie, że nikt nie mógł być pewnym, czy robi to świadomie, czyli nieumyślnie.

Zaręczam, że poeta na mojem miejscu przyrównałby ją do Diany łowczyni; ja zajęty byłem zestawieniem treści jej listu z twarzą i sprawdzeniem w ten sposób wiarogodności pierwszego. Muszę przyznać, że to nie była wcale łatwa robota, odczytać i wniknąć w istotne znaczenie tej twarzy, która była jakby piękną, klasyczną maską, wiecznie nieruchomą i ożywioną tylko dwojgiem dużych oczu, nadto mądrych, aby chciały wypowiedzieć wszystko, co znaczą.

Kiedym już opisał jej twarz, dla dopełnienia portretu podam i strój cały. Miała czarną morową suknię z wyłogami popielatego koloru; we włosach perły; srebrny, pięknie wyrabiany grzebień wznosił się jak zamek na zwiniętym w tyle i wysoko osadzonym warkoczu. To wysokie podczesanie z tyłu pozwalało oglądać szyję o wzorowie pięknej linji; szyja u dołu zamkniętą była w szeroki koronkowy kołnierzyk, spięty dużą

srebrną klamrą z djamentami; djamenty świeciły także w czarnych misternie wyrabianych kolczykach.

Prawie natychmiast po herbacie ojciec wyniósł się z salonu, aby załatwić jakąś nagłą sprawę, którą, jestem pewny, przygotowała dlań, jeśli nie wymyśliła córka. Zostaliśmy sami. Zostawiłem jej przywilej rozpoczęcia poufnej rozmowy, z którego też natychmiast skorzystała.

— Czytałeś pan mój list? — spytała.

— Czytałem dwa razy.

— I wręczyłeś go pan Karolowi?

— Tak, pani.

Uważałem, że pani chciała już otworzyć usta, aby mi zadać nowe pytanie, ale się powstrzymała. Pospieszyłem z odpowiedzią na niewymówione pytanie.

— Karol po przeczytaniu listu pani, powiedział mi, że wszystko, cokolwiekby miał do przebaczenia żonie — przebacza, i prosi, aby i ona mu także wszystko przebaczyła.

Pani Amelja widocznie nie była przygotowaną na taką odpowiedź; na twarz jej wybiegł żywszy rumieniec, który ją bardzo przyozdobił, ale który musiał być natrętnym świadkiem jej wewnętrznego poruszenia. Sądziłem tak po oczach pani, które starały się być chłodnemi i spokojnemi, jak nigdy, zrównoważyć świadectwo nieposkromionego rumieńca.

Po chwili była już panią siebie i rzekła:

— To bardzo szczęśliwie; nie chciałabym się rozstawać z Karolem w gniewie i namiętnem rozdrażnieniu. Ale jeśli Karol pod przebaczeniem rozumie dalsze

wspólne pożycie nasze, to nie będę mogła zadość mu uczynić. Wspólnie żyć razem dalej nie możemy.

Zdawało mi się, że chciała coś dalej mówić, czekałem chwilę, a potem powiedziałem:

— Zdaje mi się, że Karol tak zrozumiał przebaczenie, jak to pani powiedziała.

Kobieta spojrzała na mnie — a raczej uderzyła mię oczami z taką siłą i natarczywością, że nic nie wiedziałem, co mam zrobić z tym jej wzrokiem, czułem tylko, że ma już na ustach jakieś niezwykłe słowa. To też powiedziała wkrótce.

— Żądając połączenia się ze mną, Karol żądałby tylko nieszczęścia. Dotychczas nie znałam siebie dokładnie, dotychczas natura moja tak starannie była kołysaną i usypianą, że sądziłam, iż nic jej nigdy z granic spokoju i chłodnej rozwagi nie wyrwie. Teraz od niedawna czuję jak wiele zmieniło się we mnie; czuję, jak się obudzają jakieś fatalne prądy we mnie, z któremi nie umiem dać sobie rady, które nie potrzebowałyby czekać na dłuższe drażnienie, aby wybuchnąć nad głową tego, który nie będzie umiał zdać sobie z nich sprawy, a tem mniej oddziaływać na nie siłą swego charakteru.

Mówiąca coraz więcej obudzała we mnie ciekawości i zajęcia. Mogła to być komedja grana przez nią ku mojej uciesze, ale komedja potężna, która wtedy bywa, kiedy przybierana rola odpowiada doskonale chwilowemu usposobieniu artysty. To też Amelja czuła to, co mówiła; jej głos i wzrok szedł w ściśniętej kolumnie z treścią słów; blada twarz marmurowa płonęła ogniem niezwykłej

dumy i energji; w zaciśniętych ustach był wyraz goryczy i pogardy. Istotnie ta twarz, tak zwykle chłodna, znużona i obojętna, teraz nagle ożywiona wyrazem tajonych w sercu uczuć, wydała mi się nadzwyczaj piękną; zapatrzyłem się w nią z większą nieoględnością, niż obojętnemu człowiekowi przystawało.

Twarz ta znowu przybrała swój zwykły wyraz.

— Powiedz pan teraz, co pan myślisz o nas?

— Myślę, odpowiedziałem, że wszelkie małżeństwo jest przykrem więzieniem, i że więzienie, w którem osadzono panią z Karolem, miało jeszcze osobne tortury, które obie strony wzajem sobie w najlepszej chęci zadawały.

— To prawda, rzekła w zamyśleniu, i powiedz pan, kto temu winien?

— Kto temu winien? powtórzyłem jej słowa, jest to najtrudniejsze pytanie, jakie mi pani zadać mogła. Kto winien wszystkiemu? kto winien temu, że nie można być naraz mądrym i szczęśliwym? Kto winien wszystkim nędzom, wszystkim zbrodniom, wszystkim ułomnościom na świecie?

— Kto taki? zapytała niecierpliwie kobieta.

— Nikt, pani, i to jest najgorzej. Naiwni obwiniają o to społeczeństwo, jak gdyby społeczeństwo zamierzało sobie z góry plan jakikolwiek. Społeczeństwo tak rośnie i rozwija się jak drzewo, a nie znałem drzewa, któreby zapowiadało jak ma rość i jak się rozwijać. Zależy to od wiatrów, wilgoci, słońca, gruntu. A czy wiatr winien, że wieje w tę lub ową stronę?

— Wiatr niewinien, odpowiedziała machinalnie w zamyśleniu pani Amelja, a po małej chwili milczenia rzekła: Nigdy mi się świat nie wydawał tak małym, jak teraz, nigdy ludzie tak nędznymi, jak dzisiaj. Miewałam nieraz chętkę zdobywać sobie niewolników, dziś i tej chętki nie czuję. Z tych ludzi, których znam, którzy mnie otaczają, nie możnaby mieć nawet dobrych niewolników. A przecież sądzę, dodała, że mogą być inni ludzie, że muszą być, a przynajmniej musieli być gdzieś i kiedyś...

— Jacyż to ludzie? spytałem dość zaciekawiony.

— Ludzie rozumu, śmiałej ręki i stanowczej woli. Ludzie, którzy nie lamentują nad małą stratą, ludzie, którzy umieją rządzić, walczyć, tryumfować i ginąć, którzy zdolni są dokonać wielkich zbrodni, nie popełniając drobnych podłości, jednem słowem wielkie charaktery.

— Wspaniałe oszusty, chciało mi się dodać, ale nie dodałem, widząc z jakiem przejęciem mówiła kobieta o swoich ideałach. Do tych ideałów mąż jej nie był podobny ani trochę; nadziei dla niego nie było żadnej.

W milczeniu słuchałem tych wynurzeń, a pani rzekła po chwili: Dziwne to jest wszystko, co panu mówię, może niezgodne z treścią listu, który pan czytałeś; ale, powtarzam, zaszły we mnie dziwne zmiany, wyrzuconą zostałam z mojej równowagi. Jestem, jestem... prawie nieszczęśliwą. Nie mówię tego ojcu, nie powiedziałabym tego nikomu na świecie, mówię to tylko panu.

Wymawiając te słowa, nie patrzała na mnie, ale

po chwili zwróciła ku mnie oczy wymowne wielkim żalem. Nie mogę zaprzeczyć, że widok tych prześlicznych oczu, jak i całe wynurzenie ostatnie wprawiły mię w pewne pomięszanie. Wydobyłem się jednak prędko z niego, i zapytałem:

— Dla czegoż mi to pani mówi?

— Chciałam to właśnie panu powiedzieć. Do innych ludzi pan jesteś tak mało podobny, tak wyżej od nich stojący w mojem przekonaniu, że byłabym bardzo szczęśliwą, gdybym mogła w panu zyskać przyjaciela. Jestem odważną, jestem natrętną, wiem o tem, ale wiem także, że pan się zwykłą grzecznością krępować nie będziesz i nie skorzystasz z ofiary mu przedłożonej, jeśli ta ofiara będzie dlań uciążliwą.

Tym razem pani Amelja pomyliła się; grzeczność mię krępowała, jak nigdy, a prócz tego w oczach mówiącej były niebezpieczne więzy, którym wprawdzie starałem się jak najmniej ulegać. Potrzeba było mówić, powiedziałem:

— Ofiarę pani mogę tylko przyjąć z wdzięcznością, i nie wiedząc, czy się stosownie potrafię odpłacić.

— Ja panu powiem jak. Z dzisiejszym dniem nie zakończysz pan znajomości ze mną. Odwiedzisz mię pan znowu, kiedy mu chęć przyjdzie, będziesz pan zawsze miłym gościem. Ja zaś zobowiązuję się nigdy już więcej pochwał panu nie mówić.

Uśmiechnąłem się na tę przenikliwość kobiecą i powiedziałem: Najlepiej będzie, jeśli za to wezwanie podziękuję przy następnych odwiedzinach. Podziękowanie moje wówczas swobodniejszem będzie i nie tak uroczystem.

A teraz, dodałem, mam do pani małą prośbę: niech mi wolno będzie nie odbierać Karolowi choćby najsłabszej tylko, jaką może mieć, nadziei, że się państwo kiedyś jeszcze możecie połączyć. Dla niego taka nitka nadziei, chociażby bardzo wątła, niezbędną jest, aby mógł wrócić do jakiej takiej równowagi umysłu, aby nie wpadł w melancholję, czego się mogę obawiać. Ta nitka urwie się potem, ale on stać już będzie na nogach.

— Uważasz pan, że to dlań potrzebne, więc i owszem, odpowiedziała mi z pewną goryczą.

Wkrótce zjawił się ojciec i rozmowa musiała inny wziąść obrot. Przed dziesiątą jeszcze pożegnałem córkę i ojca i powróciłem do siebie.

Trudno mi istotnie zdać sobie sprawę z tej postaci kobiecej. Kamienna pani jakieś wulkaniczne zdradzała własności. Czy to wyższa komedja? Czy to pół prawdy, a pół komedji, jak w większej części objawów uczucia ludzkiego?

Nie mogłem nie widzieć i nie uważać, że pani Amelja pragnie mi się podobać; ale czegoż może chcieć odemnie? Jużcić nie chce mieć we mnie jednego z niewolników, o których mówiła, ani tem mniej jednego z bohaterów, o których mówiła także. Mógłżem obudzić w niej zajęcie? Śmieszna myśl, która mi schlebia, chociaż się z niej śmieję.

VIII.

19. września.

Już miesiąc prawie, jakem nie zaglądał do moich pamiętników. Czy mam je dalej pisać? Doprawdy, waham się, stawiąc te litery. Czy warto stawiać przed sobą zwierciadło, w którem się nic prócz własnego szaleństwa nie obaczy? Czyż nie dość popełniać szaleństwa, czyż trzeba być jeszcze ich historykiem, ażeby broń Boże, nie znikły szybko ich ślady? Ale już zaczynam przychodzić do przekonania, że trudno żyć, nie biorąc udziału w szaleństwach życia, a nawet nie przedsiębiorąc ich na własną rękę. Trzeźwość w życiu jest jak na biesiadzie: daremnie zaklina ktoś gospodarza i gości, aby mu nie nalewali wina i do ust nie przytykali, bo ani mu przyjemne picie, ani na zdrowie mu pójdzie; gospodarz i goście podochoceni nie wierzą temu, niezdolni już innych usposobień prócz własnych pojmować, i potęgują natarczywość swoją coraz bardziej, aż przełamią opór wzdrygającego się biesiadnika. A gdy ten opór przełamany, już zapraszać potem nie bardzo potrzeba; co goście zaczęli, wino kończy i biesiadnika pijanego wynoszą do domu. Chciał być trzeźwym, trzeba mu było zostać w domu, a nie przychodzić na ucztę. Na uczcie trzeźwym długo być nie można: tak samo w życiu. Znajdą się natrętni, którzy skorzystają z chwilowej słabości trzeźwego człowieka, i wciągną go w jakieś szaleństwo, a potem to szaleństwo samo prowadzi

go już dalej i dalej do coraz to nowych i coraz grubszych szaleństw. Dobrze jeszcze jeśli w tej drodze trzeźwość zapakowano do tłomoka, aby jej zażyć na popasie między jednem szaleństwem a drugiem.

Szalonym być potrzeba, trudno inaczej, chcąc chodzić po ziemi. Starać się można jedynie o to, aby z popełnianych szaleństw żadne nie wkładało ciężkiej odpowiedzialności na całe życie. Prawdziwie trzeźwi, to są ci spokojni lokatorowie trumien.

Ale ponieważ trzeźwość prawdziwa nam nie ucieknie, to może i dobrze być przedtem trochę szalonym. Czy ja wiem? Czuję w sobie chętkę żartowania z mojej filozofii obojętności i opiszę dzieje upłynionego miesiąca. Przeczuwam już, że znajdzie się jakiś szczur literacki, co zrobi kiedyś z tych pamiętników powieść pełną efektu, powyrzucawszy, rozumie się, miejsca najlepsze, a poprzylepiawszy natomiast własne sentencje i dorobiwszy do tego podlewę moralną. Cieszę się tylko, że tej potrawy sam kosztować nie będę.

Po powrocie Karola do miasta nie miałem już powodu zaglądać do leśnej rodziny, przychodziła mi ona jednak często na pamięć. Ta ich dziwna pogoda rodzinna odzywała mi się w pamięci, jak się odzywa w uchu miła jakaś zwrotka, przypadkiem zasłyszana i tem większe zostawiająca wrażenie. Ta harmonja wśród moich dysonansów, to jest przy moich pojęciach o małżeństwie i rodzinie, jak zresztą o wszelkich stosunkach ludzkich była czemś, co mię dziwiło, co mi się podobało, ale co też i gniewało mię czasem, przypuszczałem bowiem, że jest ona jednem ze złudzeń niezdartych

z oczu, że dość ją wziąć pod mikroskop, dość ją zresztą tylko na dłuższą próbę wystawić, aby przeszła w krzyczący dysonans.

Nie wiem dla czego bardziej, czy żeby sprawdzić to przypuszczenie, czy też dla przyjemności obaczenia leśnej rodziny i swojej Sakuntali jak ją doktor nazywa, wybrałem się w jakie dni dziesięć po powrocie Karola do lasku Chocimkowskiego. Wziąłem z sobą strzelbę, nie dla tego, żebym miał polować, bo bez potrzeby pozbawiać życia zwierzęta, które go lepiej zapewne umieją używać od ludzi, wydaje mi się niemiłą zabawką, ale, że lubię się czasem zabawić w opatrzność w powietrznym świecie ptastwa i strzelam do jastrzębi krążących nad upatrzoną zdobyczą. Wziąłem także elementarz i kilkanaście sztychów z udatnemi obrazkami z życia zwierząt i dzieci. Był to podarek dla Heli.

Tak objuczony wyruszyłem z domu. Był chłodny ranek wrześniowy, pełny owej naszej pogody jesiennej, która w brew przysłowiu umie być stalszą od innych. Kiedym się ujrzał za miastem, w pośród pól zżętych, żółtą ściernią najeżonych i ujętych w ciemno-zielone ramy lasu, kiedy mię ujęły w koło łagodne promienie słońca, owiało świeże i zdrowe powietrze wiejskie, bardzo byłem rad z mojej wycieczki, uczułem się zdrowym i silnym, jakim już dawno siebie nie pamiętałem; byłem wesoły, jak student na wakacjach. Zaczynałem żyć nie samym mózgiem, ale całem ciałem, wszystkiemi jego nerwami. Żałowałem, że niemam kogoś przy sobie, z kimbym mógł pożartować, a nawet poswawolić,

żałowałem, żem nie wyciągnął z sobą na przechadzkę doktora.

Zbliżywszy się do domku leśnego, ujrzałem przed domkiem uwiązanego do drzewa wierzchowca. Koń był mocno zgrzany, ktoś z wielkim pędem musiał tu zajechać. Ciekawość mię wielka wzięła, kto to być może. Wszedłszy do sieni posłyszałem głośny płacz Heli: stanąłem jak wryty, a potem z cicha zbliżyłem się do drzwi. Hela płakała, do płaczu mięszając słowa: czego pan chce odemnie? com ja panu zawiniła? Męzki głos coś na to odpowiadał.

Szarpnąłem drzwi, ale były zamknięte z wewnątrz. Uderzyłem pięścią w drzwi kilka razy. Wykrzyk radosny Heli odpowiedział temu uderzeniu; wkrótce głos męzki zapytał gniewnie: kto tam do krocset... czego tu chcesz?

— Otwieraj, rzekłem prędko i to krótkie wezwanie skłoniło pytającego do otworzenia drzwi. Wszedłem do izby.

Hela, ujrzawszy mię, z radosnym okrzykiem rzuciła się ku mnie i zawiesiła mi na szyi: widziała we mnie obrońcę.

Jakiego doznałem wrażenia, uczuwszy ten słodki ciężar na sobie, opisać teraz nie potrafię. Moja teorja obojętności oderwała się odemnie i odleciała gdzieś daleko: byłem szalony od stóp do głowy, byłem skończony szaleniec. Zrobiło mi się ciemno w oczach, wsparłem się na strzelbie, którą trzymałem w ręku.

Ta nieprzytomność jednak trwała bardzo krótko. Posadziłem Helę, drżącą jeszcze ze strachu, na ławce

pod ścianą, i zwróciłem się do napastnika, którego nie miałem czasu jeszcze obejrzeć. Był to mężczyzna lat może dwudziestu kilku, który w kawiarnianym świecie mógł uchodzić za przystojnego, mimo dość idjotycznego wyrazu twarzy. W zaczerwienionych oczach jego był gniew i pomięszanie.

— Kto pan jesteś? zapytał mię głosem drżącym ze złości, ale mu nic nie odpowiedziałem, tylko patrzałem czas jakiś na niego, co go zdawało się najbardziej gniewać. Potem zwróciłem się do Heli:

— Kto to taki?

— To nasz pan, rzekła, drżąc jak w febrze. Nowy...

— Gdzie ojciec i matka?

— Ojciec, jak zawsze w lesie; matkę zawołali do dworu, żeby wzięła bieliznę do szycia.

Wiedziałem wszystko co mi potrzeba, zwróciłem się znowu do nowego pana, który wrzasnął do mnie całą potęgą rozstrojonego głosu: coś za jeden? jak śmiesz polować w moim lesie?

Gniew przeciwnika przywrócił mi całą przytomność. Potem o tem, odpowiedziałem — ale czy pan wiesz debrze kim jesteś? zapytałem.

Oczy przeciwnika zaświeciły mi gniewem w odpowiedź.

— Jesteś łotrem, mój panie, któremu warto oto tę kulę przepędzić przez uda, powiedziałem, wskazując na strzelbę.

Argument z dokumentem zdawał się wymownie przemawiać do Chocimkowskiego pana. Spojrzał on tak komicznie z podełba na moją strzelbę, że mi się już

śmiać zachciało, i byłbym niezdolny już do dalszej rozprawy, gdyby nie widok drżącej ciągle z przerażenia Heli. Patrzała ona kolejno to na mnie, to na Chocimskiego swemi dużemi niebieskiemi oczami, które trwoga zdawała się rozszerzać. Widok Heli był ostrogą dla mego obudzenia.

— Kulą, jak kulą, rzekłem, ale kolbą po grzbiecie. toby się panu słusznie należało.

Mój przeciwnik czuł całą wyższość moją, jaką mi broń przydawała, której zresztą w izbie użyć stosownie nie mogłem, i wyłącznie chyba tylko jako ręczną. Chciał wyjść z tego niewygodnego położenia, wyprostował się, wyjął kartę wizytową z kieszeni, rzucił ją na stół, i powiedział:

— Nie chcę się wdawać w grubijańskie rozmowy. Rozprawimy się.

To powiedziawszy zabierał się ku wyjściu i podchodził ku drzwiom, przed któremi stałem.

— Nie podchodź pan, krzyknąłem, mam jeszcze parę słów do powiedzenia na dalszej mecie.

Chocimski zatrzymał się.

— Dam panu naprzód moją kartę wizytową, połóż ją Helu na stole, a potem mam panu oświadczyć, że drzwi są zamknięte, sam je pan zamknąłeś, drzwiami pan wyjść nie masz prawa. Jeżeli się pan uprzesz i zechcesz wyjść koniecznie drzwiami, to ci przeszkadzać nie będę, ale zaręczam panu uroczyście, że w takim razie wyjdę za panem i strzelę, kiedy będziesz wsiadał na konia. Patrz pan, tę broń trzymam dobrze i pan mi jej z rąk

nie wyrwiesz, nie radzę kusić się o to, a czy celnie strzelam nieradbym pana o tem przekonać.

— Którędyż wyjdę? na wpół nieprzytomny powiedział Chocimski.

— Oknem. Helu, otwórz okienko.

Posłuszna i zalękła dziewczyna zrobiła co kazałem. Chocimski przez chwilę patrzał na mnie błędnemi oczyma; odpowiadałem mu spokojnym wzrokiem. Potem z duszoną wściekłością powiedział: dobrze! i rzucił się do okna. Za chwilę był już za oknem i wołał do nas:

— Poczekajcie! ja wam pokażę!

— Panie Chocimski, zawołałem doń, wychylając się przez okno, ostrożnym bądź, nie chwytaj się niegodziwych środków, bo i tak mógłbyś mieć proces kryminalny.

Wyobrażam sobie, że te słowa nie wpłynęły na uspokojenie upokorzonego, mogły go jednak zastraszyć i powstrzymać od wyrządzenia jakiej krwawej obelgi leśnej rodzinie.

Zostałem sam z Helą, oddychając jeszcze popełnionem szaleństwem, jeszcze nie zdając sobie z niego dokładnej sprawy. Dziewczyna patrzała na mnie dziwnemi oczami, pełnemi uwielbienia. W mojem szaleństwie widziała nadzwyczajne bohaterstwo, a przecież bohaterstwo moje polegało głównie na tem, że miałem dubeltówkę, której tamten nie miał i że tamten był tak głupi, że się zląkł słów moich, chociaż jak teraz przypominam sobie usposobienie swoje w owej chwili, to byłem gotów strzelić, gdyby nie usłuchał żądania.

Jak opętany pobiegł do konia i puścił się cwałem.

Hela drżała ciągle jak w febrze, czasem tylko zaśmiała się z radości, wywołanej zapewne tą doraźną sprawiedliwością, jaką jej przed chwilą wymierzyłem. Naraz twarz jej okryła się przerażeniem.

— Ach, jak on tu powróci!

— Nie bój się Helu, nie odejdę ztąd, aż przyjdą rodzice. Powiedz mi, kiedy on cię poznał?

— Zobaczył mnie na pogrzebie nieboszczyka pana. Zawołał zaraz matkę i chciał, żeby mię matka oddała do dworu za klucznicę.

— A matka?

— Gdzieby mnie matka oddała. Wołał potem ojca, ojciec także nie chciał, i był zły bardzo na młodego pana.

— A potem cię nie widział?

— Potem raz tu przyjeżdżał, zdaje się trzy dni temu; chodził ciągle z ojcem, oglądał las, a potem do nas zaszedł, ale nie bawił długo.

Powoli zacząłem rozważać następstwa tego, co się stało. Dobrze jeszcze, jeżeli cała złość Chocimskiego za doznane upokorzenie zwróci się ku mnie. Pojedynek nie był mi wcale miłą rozprawą, ale pojedynek rozstrzyga się w czterdziestu ośmiu godzinach, i cała przykrość zatem nie trwa długo. Obawiałem się gorszych rzeczy, obawiałem się, że Chocimski zawstydzony wobec leśnej rodziny, będzie się mścił na niej za swój wstyd, pozbawiając ją natychmiast utrzymania i wypędzając z leśnego domku. W takim razie czułbym się do pewnego stopnia odpowiedzialnym za przyszły los rodziny,

musiałbym znaleźć jakąś posadę dla ojca Heli, a przed znalezieniem zapewnić mu jakieś utrzymanie. Z drugiej strony widziałem, iż rodzina nie mogla w żadnym razie pozostać w służbie u takiego pana, jakim był młody Chocimski. Zmniejszało to moją odpowiedzialność za jej przyszłe losy, ale całkowicie tej odpowiedzialności nie uchylało.

Potrzeba, żebym był szczery, i żebym się przyznał, że to co było obawą moją, było mi zarazem pewną tajemną radością. Myśl, że będę zmuszony zająć się losem Heli, sprawiała mi radość. Była to radość bardzo mętna i bardzo pokrewna z tylko co dokonanem szaleństwem.

Oddałem Heli elementarz i ryciny, które dla niej przyniosłem. Dziewczyna chciała mię ucałować w rękę za ten podarek, ale ją powstrzymałem, mówiąc, że ludzie niepowinni całować siebie po rękach, i że ten, który coś darowuje ma taką samą, jeśli nie większą przyjemność, jak i ten, co odbiera podarunek.

— Czyście wy wzięli jaką zapłatę za to, żeście tu chorego trzymali? czy was kto za to całował w ręce? zapytałem w końcu.

— To prawda że nie, odpowiedziała Hela w widocznem zamyśleniu nad tem, co usłyszała odemnie.

Niebawem powróciła matka z dworu, a ja opowiedziałem jej wszystko co się zdarzyło. Przerażona kobieta nie wiedziała jak mi dziękować i znowu się powtórzyła scena z całowaniem rąk. Zaczęliśmy się naradzać, co teraz począć? Antonina mówiła, że jak się tylko mąż jej dowie o tem, co zaszło, natychmiast

porzuci służbę, może nawet scenę jaką wyprawi nowemu panu.

— A będzież miał żyć z czego, zapytałem, jak porzuci służbę?

Antonina zalała się łzami.

— Jest trochę, ale na długo nie wystarczy, powiedziała. Trzebaż nam było nieszczęścia? trzebaż nam było wyjeżdżać z puszczy? Tak tam spokojnie było. A ludzie...

I płacz zatamował jej słowa.

— Nie ma co płakać, powiedziałem, tak jakoś uradzimy, że nie będziecie mieli potrzeby żałować waszego wyjazdu z Litwy. Potrzeba tylko, żeby wasz mąż posiedział tu jeszcze dni kilka.

Uradziliśmy, że ojciec Heli nie dowie się zaraz o całej sprawie, ale aż dopiero po kilku dniach, kiedy ja będę miał dość czasu, aby zająć się losem rodziny i znaleźć dla niej jakiś przytułek tymczasowy. Matka zaś przyrzekła strzedz Heli i na krok jej nie puszczać samej, choć już obawa o Helę po scenie, jaką wyprawiłem Chocimskiemu, była zbyteczną.

Powróciwszy do siebie, posłałem Chocimskiemu natychmiast przez najętego posłańca moją kartę wizytową, tej bowiem, którą mu Hela położyła na stole nie zabrał z sobą w skutek pomięszania, w jakie go wprawiłem; i dla tego nie wiedziałby nawet z kim ma mieć do czynienia.

Wstąpiłem tedy w awanturę po uszy, wycofać się z niej nie było podobna, pojedynek był rzeczą nieuni-

knioną, jak i wszystkie jego możliwe następstwa. Wszystko to jednak nie martwiło mię wcale, i owszem byłem ożywiony, wesół, i rad ze swego szaleństwa, jak pierwszy lepszy śmiertelnik. Tego samego dnia jeszcze odwiedziłem mego adwokata i przyjaciela Jerzego i doktora, opowiedziałem im całą przygodę i prosiłem ich, aby mi byli sekundantami. Każdy z nich z podziwieniem patrzał na mnie, kiedy im opowiadałem moje czyny bohaterskie. Doktór, który ze szczególnem zadowoleniem słuchał opowiadania, powiedział mi po wysłuchaniu wszystkiego:

— Panie Danielu, witam w panu rekonwalescenta.

— Co to znaczy? zapytałem.

— Te dziewczęta, mówił doktor, uśmiechając się, mają dziwne lekarstwa, o których medycynie ani się śniło. Sakuntala pańska naprzykład ma widocznie jakieś lekarstwo na chorobę obojętności dla świata. Kto ją wie, co za lekarstwo? zioła leśne...

— Panie konsyljarzu, zawołałem, nie zapominaj pan, że masz do czynienia z najpierwszym awanturnikiem od śmierci Rinaldyniego. Nie radzę zapuszczać się w żarty.

Na drugi dzień rano stawiły się do mnie dwie figury wyfrakowane, mocno pozapinane, z wyostrzonemi minami, jak na wzorowych sekundantów przystało. Małemi półsłówkami chcieli ci panowie dać mi do zrozumienia, że pojedynek musi być okropnie krwawym. Przyjmowałem ich jak najuprzejmiej, ale na uprzejmość moją odpowiadali ponurą jakąś obojętnością. Wskazałem im mieszkanie Jerzego, z którym mieli się ułożyć

o warunki pojedynku. Udali się tam natychmiast, przyciskając mię na pożegnanie wzrokiem chłodnym ale zabójczym.

W godzinę potem Jerzy był u mnie.

— No, powiedział mi, możesz nie pisać testamentu, wielkiego krwi rozlewu nie będzie. Chyba że się kula zabłąka.

Następnie opowiedział mi Jerzy całą scenę układów z sekundantami Chocimskiego, jak ich ponura groza topniała powoli wobec jego uprzejmości i gotowości przyjęcia wszelkich najostrzejszych warunków pojedynku. Stanęło na tem, że mamy się strzelać nazajutrz w tym samym lasku Chocimkowskim o dwadzieścia pięć kroków od siebie, to jest na odległości, z której ludzie mogą trafić do siebie tylko przy nadzwyczajnej wprawie ręki i oka, i przy sporym zapasie zimnej krwi, nie mówiąc już o wzajemnej chęci mordowania się. Po pierwszym strzale z obu stron, jeśli rany nie będzie, mamy się rąbać pałaszami aż do pierwszej krwi.

Miała to więc być komedja pojedynkowa, co się zowie, i wyznam, że wstyd mi było trochę przed samym sobą, trochę przed Jerzym i doktorem, kiedym jechał z nimi nazajutrz na plac pojedynku, że byłem jednym z głównych aktorów tej komedji. Bądź co bądź, muszę być i tutaj szczerym, i powiedzieć, że mimo to rad byłem, iż pojedynek nie grozi żadną katastrofą. Nie mogłem ukryć przed soba, że życie stające zawsze przedemną z twarzą zmęczoną i płową, nabrało dziwnym sposobem od chwili popełnionego szaleństwa jakichś barw żywszych, zaczęło mi się wydawać czemś mniej

godnem pogardy. Dziwna, nieujęta potęga złudzenia kładła na wszystkiem, co mię otaczało, piętno pogody i jakiejś rozumnej potrzeby istnienia. Opanowała mię oddawna już pogrzebana we mnie i zapomniana owa swobodna i prawie nierozumna wesołość, co nie wymaga żadnej żywszej pobudki, prócz towarzystwa dobrych znajomych, aby wyskoczyć żartem, lub wylać się strumieniem śmiechu. To też przez całą drogę do lasku Chocimkowskiego śmieliśmy się i żartowali bardziej podobni do jadących na majówkę, niżeli na pojedynek.

Przybywszy na miejsce zastaliśmy już stronę przeciwną. Sekundanci Chocimkowskiego, już nie tak groźni jak przedtem, zwrócili się do Jerzego, wzywając go aby mię skłonił do przeproszenia Chocimskiego, przez co cała sprawa byłaby zakończoną. Nie mogłem tego żądania nazwać nie umiarkowanem, przecież trudno mi było przystać na to. Stanęliśmy więc u mety i oczekiwali hasła do strzału.

Na dane hasło nie strzeliłem zaraz, ale czekałem na strzał przeciwnika. Nie długo trzeba było czekać; strzelił, a kula jego nic mi nie zrobiwszy, w las poszła siekąc liście i gałęzie. Teraz kolej strzelania przyszła na mnie: strzeliłem w bok.

Zjednało to widocznie Chocimskiego i jego sekundantów, bo przyszli zaraz do mnie ofiarując zgodę. Chciałem się co prędzej wydrzeć z ram tej komedji, przyjąłem zgodę, podałem rękę Chocimskiemu, odmówiłem stanowczo udziału w pojednawczem śniadaniu, i rad że się już wszystko skończyło, zabierałem się z doktorem i Jerzym do powrotu.

— Przecież nie ominiemy domku leśniczego, powiedział doktor, zachodzić tam, należy prawie do ceremonji pojedynku. Przyda się nam także gościnność leśnych mieszkańców; sądzę, że kieliszek gorzalki każdemu się z nas uśmiecha.

Istotnie gorzałka mogła być pożądaną, bo chłodny, wietrzny i wilgotny jesienny ranek, zasępiony chmurami, dawał się nam niemile uczuwać. Nie chciało mi się jednak samemu ciągnąć towarzyszy do gniazdka Heli, nie chciało mi się wystawiać na cudze spostrzeżenia mego stosunku do dziewczyny, stosunku, z którego sam przed sobą nie zdawałem sprawy. Ale żądaniu doktora trudno było odmówić, poszliśmy.

Hela przywitała mię z iskrzącą w oczach radością. W tej czystej naturze obudziłem wdzięczność i płaciła mi ona tem, co miała najdroższego i najpiękniejszego: wzrokiem. Wzrok bowiem jest jakby streszczeniem wszystkich uczuć człowieka, jest to przędza światła z tych uczuć wysnuta. Człowiek głodny, głód będzie miał w oku, człowiek w którym śmierć powoli wspina się do mózgu, śmierć już będzie miał w oczach; każda choroba, boleść i namiętność ludzka gra innemi światłami w oku, i lekarze powinniby z oczu przedewszystkiem poznawać wszelką chorobę wewnętrzną. Z oczu Heli radość i wdzięczność świeciły tak czystym, tak cudownym promieniem, że obdarzony spojrzeniem, przestawałem uważać siebie za dobroczyńcę Heli, a przeciwnie uważałem się za nagrodzonego wyżej miary.

Byłem oczarowany tym wzrokiem, ale mimo to czułem, że towarzysze moi muszą robić nademną

spostrzeżenia, i było mi z tem tak niewygodnie, że po małym odpoczynku zaproponowałem udać się w drogę do domu. Nim jednak towarzysze przystali na mój wniosek, ukazał się we drzwiach leśniczy. Miał twarz tak chmurną, że się aż żona zerwała z ławki i zapytała go niespokojnie: Co ci jest Jędrzeju?

— Nic mi nie jest, odpowiedział tak cierpko, że się aż nam gościom przykro zrobiło, ponieważ nie wiedzieliśmy, czy to nie nasza obecność jest przyczyną tej cierpkości.

— Nic mi nie jest, powtórzył łagodniej, przywitawszy się z nami i postawiwszy strzelbę w kącie izby, ale to jest tylko nam wszystkim, że już tu nie będziemy dłużej.

— Czy widziałeś się z panem? spytała Antonina.

— Nie widziałem się, ale przysyłał ekonoma do mnie z rozkazem, żebym się wyniósł ztąd, bo już inny leśniczy jest na mojem miejscu.

Mówił te słowa powoli i spokojnie, ale czuć było w głosie gniew krępowany. W tej chwili podobał mi się ojciec Heli bardziej niż kiedykolwiek, tyle było szlachetności i spokoju w jego gniewie.

— Pozwólcie, panie Jędrzeju, powiedziałem, że będę wam przyjacielem i dopomogę w czem zdołam.

— Wdzięczny jestem, panie. Będę się dźwigał z biedy sam tak jak w nią wpadłem. Schylać się nie umiem, ktoś się inny schylił i zabrał mi miejsce. Głupstwo się zrobiło z tym wyjazdem z Litwy, ale któż mógł przewidzieć. Trzeba nazad wracać.

Dopiero te słowa Jędrzeja przekonały mię z niemałym

przestrachem moim, do jakiego stopnia obchodzi mię Hela. Myśl, że ojciec może ją zabrać do Litwy i na zawsze z przed oczu mi usunąć, przeraziła mię prawie. Pospieszyłem z zapytaniem:

— A gdybyście w tych stronach znaleźli miejsce inne, lepsze nawet od tego coście tu mieli? Lepiejby przecie nie jechać tak daleko.

— Wątpię ja, czy się tu znajdzie miejsce jakie, gdzieby można było wytrwać dłużej, powiedział Jędrzej z pewną niechęcią. Ludzie tutejsi lubią wiele obiecywać, ale o dotrzymaniu obietnicy nie myślą. To prawda, że jedno łatwiejsze od drugiego, ale spuszczać się na rzeczy niepewne nie można.

— Nie myślcie jednak, powiedział doktor, żeby tu wszyscy ludzie byli podobni do waszego pana. Jest ich wprawdzie dość, ale wydaje się, że jest więcej, tak jak przy młóceniu zboża, wydaje się, że więcej jest plewy niż ziarna, bo ciężkie ziarno na spód idzie, a plewa na wierzchu zostaje. Są i u nas ludzie szczerzy, tylko że siedzą po swoich kątach, a nie zwijają się jak plewa kręcona wiatrem na rzeszocie, więc się ich mało wydaje.

Słowa doktora przemówiły do serca Jędrzejowi.

— Dobrzeście panie powiedzieli. Źle to narzekać na ludzi. Człowiek sam sobie winien zawsze, a chce winę zwalić na drugich. No, ale czasem trudno się upilnować. Stało się, nie ma co narzekać, wrócimy zkądeśmy przyjechali.

Postanowiłem zatrzymać Jędrzeja za jakąkolwiek bądź cenę. — Słuchajcie, powiedziałem mu, a gdybym

wam dzisiaj tu przy świadkach obiecał i zaręczył, że za dwa tygodnie dostaniecie miejsce lepsze od tego, jakieście tu mieli? Myślę, że nie macie powodu nie wierzyć mi? Wszak zostaniecie w takim razie.

Hela i matka słuchały rozmowy naszej z wytężonem zajęciem; zdawało mi się, że myśl powrotu na Litwę nie była im zupełnie przyjemną. Doktor i Jerzy po tych ostatnich słowach spojrzeli na mnie z podziwieniem, a Jędrzej niemniej zdziwiony, powiedział mi głosem szczerej wdzięczności:

— Cóżem wam panie zrobił, że chcecie być moim dobrodziejem. To jużciż pewno, że wracać zkąd się wyjechało po kilku miesiącach, nic nie zarobiwszy a dosyć straciwszy, to tak jak okulawić konia, wioząc prosię na sprzedaż. Wolałbym nie wracać. Jeżeliście łaskawi...

— Dobrze, powiedziałem, zabierając się prędko do wyjścia, aby się uwolnić od podziękowań, jeźli pojutrze nie będę tu u was do południa, przyjdźcie do mnie. Mieszkam przy ulicy R... Nr. 18. Wszak tu jeszcze wolno wam mieszkać przez czas jakiś?

— Tydzień jeszcze, po tygodniu musimy się wynieść.

Jędrzej nie wiedział nic jeszcze o zajściu z Helą, podejrzywał zapewne, że przyczyną wydalenia jego jest to, że nie chciał oddać córki do dworu. Przechodząc koło Antoniny, szepnąłem jej, żeby jeszcze nic nie mówiła mężowi.

*

* *

Wsiadłszy do powozu, jechaliśmy czas jakiś w milczeniu; tak mi się zdawało, jak gdyby towarzysze moi wstydzili się za mnie i dla tego milczeli. Przerwałem milczenie:

— Słuchaj Jerzy, pomożesz mi w wyszukaniu miejsca dla tego poczciwego człowieka?

— Najchętniej, ale pamiętaj o tem, żeś mu obiecał dać posadę lepszą od tej, jaką miał dotąd, i żeś mu naznaczył termin dwutygodniowy.

— Pamiętam o tem, odpowiedziałem, i dla tego wątpię, czy będę mógł mu dotrzymać tak uroczyście danej obietnicy.

Przychodziła mi już nie od tej chwili myśl jedna, której wstydziłem się wyjawić. A przecież była to myśl uporczywa, czas był krótki, odważyłem się.

— Cóżbyś powiedział, gdybym mu dał miejsce u siebie? zapytałem, oczekując wrażenia jakie te słowa wywrą na Jerzego i doktora.

Doktor dość ciekawie spojrzał na mnie; Jerzy zapytał:

— Chcesz wziąść dzierżawę?

Zapytał tak spokojnie, jak gdyby nic dziwnego nie upatrywał w podobnej chęci mojej. Ten spokój jego prawie mię obrażał, zdawało mi się, że ten człowiek przygotowany jest już na moje szaleństwa i postanowił pobłażać mi nieograniczenie.

— Tak, Jerzy, powiedziałem, i nic-że cię to nie dziwi?

— I owszem, odpowiedział, tylko nie okazuję zdziwienia. Czy chcesz bym je okazał?

Te słowa Jerzego, powiedziane najpoważniej, wywarły wesołość w naszem gronie.

— Zaczynam dziwaczeć, mówiłem już swobodniej, znalazłem jak świat szeroki jedną rodzinę, która może być szczęśliwą, jeźli warunki zewnętrzne sprzyjać jej będą i chce mi się jak krzew jakiś rzadki zasadzić ją na gruncie szczęśliwym.

— Myślę, powiedział doktor, że się pan zgodzisz ze mną, że na tym krzewie...

— Chcesz pan mówić o różyczce, przerwałem prędko doktorowi, podoba mi się niemało, i jako dobry ogrodnik już myślę o tem, jak ją pielęgnować. Chcę w tym względzie prosić pana o pomoc.

Doktor nie wiedział, czy żartuję, czy mówię na prawdę.

— Pomoc? ale i owszem.

— Nie przyrzekaj pan tak prędko, bo nie żartuję; chcę dać początki wykształcenia tej dziewczynie, ale nie chciałbym oddawać jej na pensję. Chciałbym, żeby się kształciła wśród jakiegoś ogniska rodzinnego, wiem że pan masz takie ognisko i że dla pana, który straciwszy żonę, masz małe dzieci, Hela by się przydała jako dobry duch, czuwający nad niemi. Nauczycielka ucząca małe dzieci uczyłaby także Helę.

Doktor zaciekawiony na początku słów moich zamyślił się potem. Czy wiesz pan, rzekł wreszcie, że to by się dało zrobić z wielką dla mnie wygodą? Ale, dodał znów swoim tonem, czy Sakuntala nie przestanie być Sakuntalą, kiedy się uczyć zacznie? Czyś pan myślał o tem?

— Przestanie być Sakuntalą, rzekłem, bo nią być dłużej w pośród nas nie potrafi, ale nie stanie się tem, czem by się stała zostawiona na łaskę naszych stosunków społecznych i obyczajowych.

Rad byłem z tak otwartego przedstawienia moich szalonych zamiarów przed przyjaciołmi, pewien przypływ bezczelności pozwolił mi wypowiedzieć to, z czem bym się inaczej długo nosił przed wypowiedzeniem.

Nazajutrz po tej wycieczce pojedynkowej, Jerzy był u mnie. — Czy myślisz naprawdę o dzierżawie? powiedział mi.

— Obietnicy dotrzymać muszę, odpowiedziałem, to jest pierwsza konieczność. Chodzić, kręcić się i wstawiać u rozmaitych panów, aby dali miejsce Jędrzejowi, nie potrafię; to jest drugi pewnik. Wniosek należy do ciebie.

— Dzierżawa ma być długoletnią?

— O! tego nie pragnę, odpowiedzialności za moje dziwactwo nie chce brać dłużej jak na lat parę. Potem zobaczemy, jeśli dzierżawca wypłacać się będzie dostatecznie, to może ją utrzymam nadal.

— Przeglądałem w biurze wywiadowczem spis wsi wystawionych do wydzierżawienia. Między innemi jest tam wieś Rohatycze. Znasz tę wieś dobrze?

Rohatycze znałem doskonale, bo do lat jedynastu mieszkałem tam przy rodzicach. Była to własność mojego ojca, który sprzedał ją następnie, aby oczyścić z długów resztę majątku. Wiedziałem, że ma dobrą ziemię i bujne łąki i pastwiska. Od lat dziecinnych nie widziałem tej wsi, prawie zapomniałem o jej istnieniu,

a kiedy Jerzy mi ją przypomniał, uczepiłem się myśli, aby właśnie tę rodzinną wioskę moją wziąć w dzierżawę. Jakieś dalekie wspomnienia z dzieciństwa żywo odezwały się we mnie i nalegały na wykonanie tej myśli. Powiedziałem mój zawiar Jerzemu. Jerzy nalegał, abym co prędzej pojechał do tej wsi, przekonał się o jej stanie obecnym i zawarł umowę, gdyż ktokolwiek inny mógłby mię uprzedzić. Nie trzeba było jednak nalegać na mnie, bo myśl odwiedzenia miejsc rodzinnych była mi dość przyjemną.

Kiedy nazajutrz przyszedł do mnie leśniczy, mogłem już z nim mówić o warunkach nowego miejsca. Miał zostać moim wszechwładnym rządcą na dzierżawie; spuszczałem się zupełnie na jego uczciwość. Jędrzej nie wiedział, że dla niego tylko brałem dzierżawę, ale i bez tego uważał mię za swego dobroczyńcę i prawie zadziwiony był korzystnemi warunkami nowej posady.

— Słuchajcie Jędrzeju, powiedziałem mu, nie mam rodziny, ani takich krewnych, którzyby mię obchodzili, lub którzyby potrzebowali mojej opieki, jestem sam na świecie, więc cóż dziwnego, że jak spotykam dobrych ludzi, i mogę im dopomódz w niepowodzeniu, to że im pomogę? Wasza prawość i szczerość zjednała mnie. Uczciwość zwykle długo chodzi niepoznana, i często ludzie na nią błotem rzucają, ale następuje wreszcie pora, kiedy się na niej poznają, i wówczas zbiera ona to, co sobie dawno zasłużyła.

Starałem się ugodzić w pojęcia Jędrzeja i zmniejszyć w oczach jego rozmiary mego dobrodziejstwa. Nie mogłem mu przecież mówić, że uczciwość jest na to,

aby ją wyzyskiwano, i tylko w spotkaniu z takiem jak moje dziwactwem może jakikolwiek zysk przynieść. Starałem się mu wskazać, że jego rzetelność jest dla mnie skarbem, na którym się inni poznać nie umieli. Najwięcej zaś chodziło mi o to, aby Jędrzej nie podejrzywał mię o jakieś złe zamiary względem Heli, kiedy mu zaproponuję, aby została w mieście. Propozycji tej nie śmiałem zrobić natychmiast i zostawiłem ją na później.

*

* *

W kilka dni po tem całem zajściu, w przeddzień wyjazdu mojego na wieś otrzymałem kartkę od Amelii; prosiła mię w najpokorniejszych wyrazach, abym ją odwiedził tego wieczora. Miała mi poruczyć jakąś sprawę, której nikt inny nie mógł załatwić. Stawiłem się tedy wieczorem u pani Amelii; znów zastałem ją samą, nie licząc ojca, który ukazał się tylko jak dla parady i znikł potem.

Przy powitaniu przepraszała mię po kilkakroć za swoją śmiałość, że mię wzywa i obarcza swemi sprawami.

— Tem bardziej teraz — rzekła — kiedy pan masz tak wiele zajęcia.

— A toż jakie zajęcie? — spytałem trochę zdziwiony.

— Teraz, kiedy się pan zajmujesz tą poczciwą leśną rodziną. Ale wierz mi pan, moja sprawa dużo czasu nie zajmie.

Amelia, powiedziawszy te słowa, badawczo patrzała na mnie. Wyznam, że byłem trochę zawstydzony; potrzeba było ratować się.

— Ach, więc pani raczysz tak łaskawie zajmować się mną, że nawet...

— Że nawet wiem to, o czem wie całe miasto; — rzekła, opierając głowę z pewnem znudzeniem o poręcz fotelu.

Byłem pobity i przybity temi ostatniemi słowy. Istotnie, czemużby całe miasto nie miało wiedzieć o sprawie, która miała tylu wtajemniczonych, a która mogła służyć za materjał do tylu misternych plotek. Pozostawało mi chyba tylko szczycić się z popełnionej awantury, do czego jednak nie czułem najmniejszego usposobienia.

Czas jakiś trwało bardzo przykre dla mnie milczenie.

— Pozwól pani zapytać siebie — rzekłem wreszcie — w czem mogę być jej pomocnym?

— Ach, to rzecz drobna; powiem panu potem, kiedy będziesz odchodził. Tym sposobem utkwi lepiej w pamięci...

— Zdaje się, że dotychczas nie zasłużyłem sobie u pani na zarzut podobny.

— Nie, nie; to jest tylko środek ostrożności... Więc pan bierzesz dzierżawę?

Zrobiłem wielkie oczy.

— Czy i o tem wie całe miasto? — spytałem.

— Jutro wiedzieć będzie — rzekła. — Pan zaczynasz budzić zajęcie we wszystkich. Biedny Chocimski chodzi

jak okradziony; w salonach pokazują go sobie palcami i wszyscy radziby pana poznać.

— Każdy ma chwile swego tryumfu i sławy; miał je zapewne i Chocimski.

— O, pan nie tylko jesteś odważny, ale i złośliwy.

— Nic dziwnego, pani; złośliwość drzemie pod skrzydłami tryumfu.

— Ta przygoda pańska była wielką niespodzianką.

— Największą dla mnie. Oswoiłem się z nią jednak prędzej niż inni.

— Ach oswoiłeś się pan z nią! Chciałam właśnie zapytać, jak się zachowują pańskie teorje wobec tych czynów pana. Ale jeżeli pan oswoiłeś się...

— Ten się wyraz pani nie podoba? Możemy wziąć inny.

— Nie, nie; niech zostanie. A cóż Hela?

To powiedziawszy, natarła na mnie oczyma tak zuchwale i uporczywie, że uczułem, jak gorące fale krwi spływały mi do twarzy. Wiadomości, któremi poprzednio mię zadziwiła, były tak dokładne, nowe pytanie jej było tak nieokreślone, wzrok tak zuchwale wymowny, że przez chwilę bałem się prawie, żeby nie wiedziała czegoś więcej, niż ja sam wiedzieć mogłem.

— Cóż Hela? — powtórzyłem.

— Cóż Hela? pytam; czy jedzie z rodzicami na wieś, czy zostanie w mieście?

— Ach, nie wiem doprawdy; to należy do rodziców. Być może, że ją oddadzą tu w mieście na naukę; w takim razie nie omieszkam natychmiast panią uwiadomić.

Amelia uśmiechnęła się, ale w oczach gniew blysnął.

— Mam jeden zamiar — rzekła z doskonale udanym spokojem i nie patrząc na mnie — nie wiem, jak się on panu wyda. Potrzebuję takiego dziewczęcia, jak Hela, do szycia, naprawiania i trzymania w porządku bielizny; mam przytem dość czasu wolnego, mogłabym ją trochę uczyć. Myślę pomówić z jej rodzicami i chcę prosić pana, żebyś dobrze usposobił i skłonił ich do oddania mi córki. Raz tylko widziałam tę dziewczynę, ale bardzo mi się podobała; chciałabym jej być użyteczną.

Czułem, że natarczywość kobiety wzrasta; było mi coraz ciężej i nieznośniej.

— Czy to jest sprawa, dla której mnie pani raczyłaś wezwać? — spytałem.

— Nie, panie; tamto drobnostka... pomówimy o niej niebawem, jeźli się pan tak spieszy. Mogę więc spodziewać się, że pan przemówisz za mną do rodziców?

— Najchętniej, boję się tylko, czy już rodzice nie są związani jaką umową.

— Zaręczam panu, że będzie jej u mnie równie dobrze, jeźli nie lepiej, jak u doktora Zarewskiego.

Powiedziała te słowa tak niedbale, że z początku prawie ich nie rozumiałem. Trwało to bardzo krótko; dźwięk został w uchu i świadczył wyraźnie, że pani Amelja wie i o tym zamiarze moim, który chciałem przed nią za pomocą kłamstwa utaić. Tryumf jej był zupełny, to też nie patrzała nawet na mnie. Wysunęła z pod liliowej, fioletowym aksamitem ubranej sukni

takiż liliowy trzewiczek i zdawała się wpatrywać w atłasową różyczkę na trzewiku osadzoną.

— Czy pani zna Józefa Zarewskiego? — spytałem, chcąc wydobyć się z milczenia.

— O, tak, trochę, bardzo niewiele.

— I pannę Joannę?... nauczycielkę?

— Pannę Joannę?... znam trochę.

Teraz już wiedziałem, zkąd pani Amelja czerpała tak dokładne wiadomości.

— Jak się też pani podoba panna Joanna?

Amelja spojrzała na mnie z pewnem zdziwieniem, a potem najspokojniej rzekła:

— Bardzo dobra dziewczyna, bardzo pilna: tylko za mąż nie wyjdzie nigdy, bo jest zanadto uboga i uczciwa. Będzie to bardzo dobra dla Heli przewodniczka... lepsza odemnie. Bądź pan już szczery do reszty i przyznaj, że tak myślisz.

— Przyznaję — powiedziałem — a to jedynie dla tego, że nie będę stał pod pręgierzem ciągłego posądzania, czego przedsmak w tej chwili uczuwam.

— Przepraszam pana bardzo za moją ciekawość. Chciałam zrozumieć ostatnią pańską przygodę, a raczej chciałam zrozumieć pana w tej przygodzie, w której pan byłeś tak niepodobny do tego, co pan sam o sobie mówisz i co inni o panu mówili. Dręczyłam pana trochę; nie mówmy już o tem, bądźmy przyjaciołmi.

To mówiąc, wyciągnęła mi z wdziękiem i pewnym majestatem prześliczną białą, pachnącą i wypieszczoną dłoń. Podała mi ją tak blisko, że mi niezręcznie było uścisnąć ją, i prawie zmuszony byłem ucałować.

A kiedym ucałował i podniósł głowę, spojrzała na mnie pani Amelja takim wzrokiem, żem się już zaczął obawiać o siebie, żebym się nowemu jakiemu nie poddał szaleństwu. Jej oczy błyszczały jakąś tajemniczą wymową, która była zarzewiem dla uśpionych żądz. Chciałem już zerwać się i pożegnać niebezpieczną gospodynię, kiedy się zjawiła kwadratowa postać ojca we drzwiach i przecięła nić niebezpiecznych wrażeń.

Byłto czas, abym się dowiedział o sprawie, do której zostałem wezwany; to też zaraz po przybyciu ojca opowiedziała mi ją pani Amelja z wielkim talentem umiarkowania i oszczędności w słowach. Sprawa była następująca: Amelja, wybierając się z domu mężowskiego, nie chciała zabrać z sobą pięknych świeczników, bransolet i innych sprzętów i ozdób, które dostała w podarunku od męża. Mąż, powróciwszy do domu, spakował to wszystko do pudła i odesłał żonie. Pani Amelja jednak nie chciała tego uważać za swoje; postanowiła odesłać napowrót mężowi to wszystko, co był jej przysłał, i prosiła mię, abym przekonał Karola, że to jest w zwyczaju, iż żona, która się rozstała z mężem, nie korzysta z jego podarunków.

— Sprawi tem pani wielką przykrość Karolowi — powiedziałem.

— Sobie sprawiłabym dwa razy większą przykrość, gdybym te rzeczy zatrzymała.

Obiecałem spełnić to, o co mię prosiła, ale dopiero po powrocie ze wsi, dokąd nazajutrz rano potrzeba mi było jechać; po spełnieniu polecenia przyrzekłem uwiadomić ją o rezultacie.

— Tylko natrętności i niegrzeczności swojej zawdzięczam ciągle pańskie odwiedziny; jeżeli się pan nie poprawisz, to strzeż się; zbałamucę panu Helę, zanim się obejrzysz!

Rozstaliśmy się w bardzo dobrem i swobodnem usposobieniu. Zadziwiła mię i imponowała mi ta kobieta niesłychaną wprawą w przerzucaniu się z jednego usposobienia w drugie. Było coś z wężowego połysku w tej zwinności uczuć kobiety, a zwinność ta była tem jaskrawszą, że tłem usposobienia Amelii było jakby jakieś półznużenie i półdrzemanie uczuć. Nasuwa mi się teraz jedno dość dobrze malujące Amelją porównanie: podobną była do szarego wieczornego nieba, przez które od czasu do czasu przebiega w tysiącznych załomach szydercza i jaskrawa błyskawica.

Nazajutrz rano najętemi końmi i powozem wyruszyłem w drogę do Rohatycz. Żałowałem, że Jędrzeja nie mogłem wziąć z sobą, bo zajęty był sprowadzeniem rodziny do miasta. Jędrzej lepiej zapewne odemnie mógłby zbadać i ocenić dzisiejszy stan tej wioski: ale czekać nie można było bo święty Michał był za pasem. Wyruszyłem więc sam, i kiedym wsiadał do powozu o pół do ósmej rano, mając przed sobą widok całodziennej podróży po drogach niezbyt wygodnych, nie mogłem się powstrzymać od podziwienia dla własnej osoby, która się najdobrowolniej na takie trudy naraża. Jeżeli ja tylko podziwiałem siebie, to Łukasz, którego wziąłem z sobą, uwielbiał mię. Wiedział on, po co jedziemy; i ta myśl, że będziemy czasem wyjeżdżali na wieś; że ze wsi mieć będziemy różne produkta,

których nie trzeba będzie na targu kupować, podobała mu się bardzo.

Nie powiem, żeby podróż moja była przyjemną, mimo że czas był pogodny, droga nie zła i wcale dobre konie. Zanurzyłem się cały w rozmyślania, które mi się jakoś bezładnie plątały i niewytłumaczony niepokój i smutek naprowadzały do głowy. Jechałem — po co? na co? jaki mógł być cel, wziąwszy rzecz poważnie, tych wszystkich moich zabiegów do leśnej rodziny? Czy ta sama rodzina nie wyjdzie gorzej na tem, że dostanie u mnie wprawdzie korzystne miejsce, ale zapewne tylko na lat parę, a potem zmuszoną będzie szukać nowego miejsca i znów się gdzieś przenosić, może aż w rodzinne strony, na Litwę?... Rola moja zaczynała mi się wydawać komiczną, jakąś donkiszoterją, za którą będę musiał zapłacić tysiącem kłopotów. Czasami na tle tych niemiłych rozmyślań stanęła, jak tęcza, wdzięczna i pełna prostoty postać Heli, i na chwilę zapominałem o całym niepokoju, ale tylko na chwilę.

Stanęliśmy przed samym zachodem słońca w Rohatyczach. W wiosce rodzinnej nie dostrzegłem żadnej zmiany, przynajmniej takiej, któraby od razu skakała do oczu. Te same strzechy słomiane, niskie i pleśnią pokryte; ten sam, a przynajmniej taki sam mostek pośród wioski nad strumykiem spływającym w sadzawkę i potem dalej ginącym w rozległych łąkach; te same ogrody wiśniowe dokoła chat; ta sama ulica topolowa prowadząca do dworu; cerkiewka dawniejsza, choć już

bardzo spróchniała i wątła; karczma tylko była już nowa, nieco obszerniejsza i okazalsza od dawnej.

Niepodobna mi opisać wrażeń moich z owej chwili, kiedym przejeżdżał przez wioskę, zdążając do dworu.— Były one niesłychanie dziwne i budzące daleko więcej przykrych i smutnych uczuć niż przyjemnych. Dzieciństwo moje stanęło przedemną z tak wyraźną twarzą, z tak wybitnemi rysami, tak mi się wydało bliskiem, tylko co minionem, że wszystko, cokolwiek było między tym wiekiem niezamąconej naiwności a chwilą obecną, stawało się snem jakimś, a raczej zmorą, bezkształtnem widmem, które gniotło pierś i głowę.

We dworze zastałem dzierżawcę z całą rodziną. Wyszedł on przeciwko mnie na ganek z fajką w zębach i witał z tą ciekawą uprzejmością, którą się odznaczają próżniacy. Wymieniłem mu cel mojego przybycia, i prosiłem, aby mi pozwolił obejrzeć gospodarstwo.

— Ależ nie dziś, na miłość Boga! Jesteś pan zmęczony; potrzeba wypocząć, posilić się, wyspać. Jutro obejrzymy gospodarstwo, które, prawdę mówiąc, jest gałgańskie. Jak się owies nie urodzi, to już amen. O, ja to panu wszystko opowiem; bo dziedzic chce wmówić we wszystkich, że to jest złote jabłko. To jest kwaśne jabłko, panie; jużem się ja nagryzł tego jabłka i nasmakował. Ja to panu wszystko opowiem. Ale przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

— Daniel W.

— Daniel W.! może krewny tego, co był przedtem właścicielem Rohatycz?

— Syn — odpowiedziałem.

— A, to co innego; może pan dobrodziej chce odkupić wioskę? To co innego. Proszę, niechże pan wejdzie do pokoju!

Jak zewnątrz zaledwie mógłem poznać stary dwór mojego ojca, bo w wielu miejscach odrapany z tynku, niektóre okna miał zamurowane; tak i wewnątrz trudno mi było rozpoznać mieszkanie moich rodziców. Inne bowiem było dzisiejszych mieszkańców urządzenie, jeżeli tak się godzi nazwać największy nieład, z każdego kąta wyglądający. Ograniczony, ale gościnny gospodarz, nakarmiwszy mię i napoiwszy, starał się jeszcze przy pomocy swej żony i dwóch córek bawić mię rozmową aż do późnego wieczora. Na usilne nalegania matki, za to bez wszelkiej zachęty odemnie, jedna z panien siadła do fortepianu i zagrała jakąś fantazją Shulhofa. Grała źle, co się zowie; ale wolałem jeszcze tę muzykę aniżeli rozmowę, która coraz bardziej dławić mię zaczynała. Wymówiwszy się wreszcie zmęczeniem drogi całodziennej, udałem się do pokoju, który mi przeznaczono na sypialnią.

Byłto niegdyś sypialny pokój mojej matki. Poznałem go zaraz po drzwiach szklannych do ogrodu i po wielkiej framudza w ścianie naprzeciwko drzwi. Prócz tych szczegółów nic więcej nie przypominało mi pokoju mej matki. Odetchnąłem, uczuwszy się samotnym. Usiadłem na łóżku, wsparłem łokcie na kolanach, a zakrywszy twarz rękami, puściłem wodze wyobraźni. Byłato jakaś wewnętrzna, gwałtowna i niezbędna potrzeba. Z początku obrazy i wspomnienia z dzieciństwa i z lat późniejszych plątały mi się chaotycznie po głowie; głowa moja

podobną była do butelki z płynem, w którym osad w skutek potrząśnienia buja we wszystkich kierunkach i przeźroczysty płyn mętnym czyni. Ale naraz cały ten rozproszony osad dawnych wspomnień i obrazów nagłym, nieujętym sposobem opadł; zrobiło mi się jasno i spokojnie. Ujrzałem się w dawnym pokoju mojej matki. Zdawało mi się, że siedzę na łóżku mojej matki; że nademną spływają wielkie firanki liliowe; że obok stoi klęcznik z krucyfiksem, a na klęczniku leży książka, do nabożeństwa w czarnej oprawie, doskonale znana mi książka, pisana od początku aż do końca własną ręką matki. W kącie około drzwi ujrzałem szafkę dębową, w której apteczka domowa mieściła się obok niektórych specjałów, które były przedmiotem moich pożądliwości dziecięcych. Wielki piec kaflowy uśmiechał się do mnie gładkiemi płytami i zdawał się jako dobry i stary znajomy przypominać mi rozmaite swawole, których sam nie tylko bywał widzem, ale często i teatrem, kiedy chciałem się wdrapać na szczyt jego za pomocą stawiania jednych krzeseł na drugie, a czyniłem to dla zbadania wysokich tajemnic, zamkniętych między czterema gzymsami kaflowemi, zdobiącemi wierzch pieca. Znalazłem na swoich miejscach wszystkie dawniejsze meble: niziutką sofkę, na której siadając, dostawałem nogami do ziemi; krzesełka obite niebieskim z liliowemi kwiatami adamaszkiem; na komodzie stał zegar hebanowy z alabastrowemi słupkami, jako dawny zabytek zajmujący miejsce nie z potrzeby, bo już oddawna nie chodził, a tylko z łaski, naprzeciw niego wisiał ścienny z glinianą twarzą, skromny ale wierny urzędnik

czasu. Ujrzałem nareszcie za komodą naprzeciw łóżka matczynego łóżeczko małe z wysokiemi brzegami, z zasuwaną drabinką z przodu, aby śpiący malec we śnie niespokojnym nie wypadł na ziemię. Było to przecież moje łóżeczko; tutaj zasypiałem pod okiem matki przy blasku lampy stojącej obok jej łóżka. Matka dość długo zawsze czytywała z wieczora, leżąc już w łóżku; ja tymczasem zasypiałem. Ciemności bałem się, i bez matki i bez tej lampy nie mógłbym był zasnąć prędko i spokojnie.

Podziwiam teraz pamięć moją, która po latach siedmnastu potrafiła odtworzyć do najdrobniejszych szczegółów obraz pokoju matki. Siła złudzenia była zbyt wielką, bym nie miał zapomnieć o niej; rozglądałem się po dawnym pokoju, straciwszy pamięć o chwili obecnej, żyjąc w jakimś nieokreślonym czasie. Być może, żebym zadrzemał tak siedząc pochylony, ale krawędź łóżka zaczęła mnie gnieść dotkliwie pod kolanami, ruszyłem się, podniosłem i kiedy rzuciłem okiem na pokój, zdumienie moje i przerażenie było nieslychane. Zdało mi się że wszystkie sprzęty, meble, cała dekoracja dawnego pokoju, tak starannie w wyobraźni mojej ustawiona, w jakimś nieładzie zapada się w ziemię; zdało mi się, że mała sofka, moje łóżeczko w cichym i bystrym pędzie łódki do drzwi uciekają i nikną. Nagie, poplamione ściany patrzały na mnie wzrokiem oszusta, który nie chce się przyznać do tylko co zdjętej maski. Zrobiło mi się niewymownie ciężko, straszno nawet, otworzyłem drzwi do ogrodu, i wyszedłem na świeże powietrze.

Noc była wietrzna, ale księżycowa i jasna, czasami wiatr wypędzał stado białych obłoków, które zakrywały niepełną jeszcze twarz księżyca i nocy niespodzianie blasku ujmowały. Drzewa pożółklym liściem pokryte, były jak klawisze, po których wiatr uganiając z miejsca na miejsce przygrywał kolejno, i wydawały szum ostry, surowy, pewną grozą przejmujący. Między drzewami na trawie jeszcze zielonej wznosiły się jak namioty duchów, jak widma, białe szkielety konopi w wiązkach ustawiane do suszenia na wietrze i słońcu. Oblane światłem księżyca jaśniały czarodziejską białością na ciemnozielonem tle murawy.

Ten widok przywołał mi również wspomnienia wrażeń z dzieciństwa; wspomnienia te jednak nie miały już w sobie nic przykrego. I owszem czarodziejska sfera w jakiej się znalazłem, przejmowała mię pewną niewytłómaczoną rozkoszą, w której skład wchodził nawet zwykły strach dziecinny. Kiedy nagle chowało się światło księżyca, zanurzając ogród w gęstym mroku, a drzewa przez chwilę drzemiące, zrywały się do groźnego szumu, czułem jak przyjemny dreszcz strachu przebiega mi po ciele; a kiedy swawolny reżyser tej dekoracji, wiatr, spędził obłok z księżyca, i wpadała nagle do ogrodu struga srebrnego światła, rozwidniając ciemne przestrzenie i bieląc widma konopiane, niespodzianka czyniła wrażenie, które tylko czarodziejskiem nazwać mogę.

Ta strona wspomnień, którąbym nazwał stroną fantazji dziecinnej, była mi, powtarzam, nadzwyczaj przyjemną. Pomiędzy kilkoletniem dzieckiem a dwu-

dziesięcioletnim człowiekiem nie było tej przepaści, jaką dostrzegałem przy wszelkich innych wspomnieniach. Wszystko się we mnie i dokoła mnie zmieniło, przerodziło, wypaczyło lub zaginęło, tylko natura niezmienną została, i urok jaki wywiera jednakowo na dziecko i na człowieka. W tym uroku, w tym stosunku religijnym do natury znalazłem w sobie kilkoletniego chłopca i było mi dobrze. Wiatr zimny powiał silniej, uczułem zimno, powróciłem do pokoju i położyłem się spać.

Kiedy nazajutrz otwarłem oczy ze snu głębokiego, słońce rzucało mi do pokoju pełne garście światła. Łukasz stał nademną i zachęcał mię do wstawania, gospodarz zaglądał przezedrzwi, chcąc się dowiedzieć czy wstałem. Wstałem zaraz rad i rzeźwy, niewiem czemu mam przypisać, czy słońcu, czy memu dobremu humorowi, że Łukasz który nic nie wziął z Apollina, wydał mi się piękniejszym niż zwykle, a mój gospodarz nie tak ograniczonym jak wczoraj. Zaraz po kawie zabraliśmy się do oglądania inwentarza; z prawdziwem zadowoleniem oglądałem oborę, stodoły, spichlerze, które miały czasowo przynajmniej należeć do mnie. Wszystko to dość opuszczone, bydła i koni folwarcznych było bardzo mało, ale wyznaję, że mię to już mało obchodziło, ponieważ bądź co bądź postanowiłem wziąć Rohatycze w dzierżawę. Zaraz po obiedzie mimo zaprosin gospodarza, abym został jeszcze do dnia następnego, mimo obietnicy, że będziemy grali z którymś z sąsiadów w wista, wybrałem się w drogę do domu. Łukasz przez całą drogę bawił mię spostrzeżeniami i radami swemi.

Droga z powrotem była mi uciążliwszą niż droga z domu, bo musiałem nocować w jakiejś nędznej karczmie, za to tem milszy wydał mi się powrót do miasta.

Zastałem już Helę i jej rodziców na nowem ich mieszkaniu w mieście. Była to czysta i niewielka izdebka na przedmieściu najęta na dni kilka, to jest do wyjazdu Jędrzejostwa na wieś. Poszedłem tam zaraz po przyjeździe, ażeby porozumieć się z Jędrzejem, którego potrzeba było natychmiast wysłać do Rohatycz. Jędrzeja nie zastałem, tylko Antoninę i Helę. Hela siedziała na wysokim kufrze z założonemi na kolanach rękami, smutna i zamyślona. Ujrzawszy mnie wchodzącego, zsunęła się bystro z kufra i powitała pochyleniem głowy z pewnem trwożnem uszanowaniem, jakiego przedtem nie dostrzegałem w powitaniach Heli. Nie mogłem tego z początku zrozumieć, a zajęło mnie to nie mało. Domyśliłem się potem, że to moje nowe stanowisko pana było przyczyną tego onieśmielenia Heli.

— Cóż Helu — zapytałem — jakże ci się miasto podoba, czy chciałabyś tu mieszkać?

Dziewczyna patrzała na mnie z pewnym zakłopotaniem, i nie mogła zebrać się na odpowiedź. Z jej oczu wyglądała tęsknota za wsią, lasem i powietrzem.

— Żal ci lasu, prawda?

Dziewczyna się uśmiechnęła. — To prawda, że mi żal lasu, tu w mieście tak straszno.

— Widzisz Helu, to dla tego, żeś się nie oswoiła. Tak samo tym ludziom, co całe życie w mieście przeżyli, straszno jest kiedy się ockną w lesie. Ale w mieście można się uczyć, a na wsi trudno.

Na wzmiankę o nauce Hela spojrzała mi pilnie w oczy.

— Czy chciałabyś zostać w mieście, żeby się uczyć? spytałem dalej. — Przez rok, przez parę lat można się wiele nauczyć i być wielką pomocą rodzicom. A umiejąc czytać i rozumieć, można się wielu rzeczy ciekawych dowiedzieć; inaczej się wtedy żyje, kiedy się wie więcej, i ludzie inaczej patrzą na tego, który coś umie.

Z wytężoną uwagą słuchała mię Hela, i rzuciwszy tęsknem okiem na matkę, powiedziała głosem, w którym znać było łamanie się uczuć:

— O jabym się tak chciała uczyć...

— Gdybym ją miała pod czyją zostawić opieką, powiedziała Antonina, tobym ją pewno zostawiła w mieście, żeby się choć trochę poduczyła. Sama nic nie umiem, to prawda, ale nie jestem ja taka, jak inne matki, co to mówią: niech jajo nie będzie mędrsze od kury. Niech jajo będzie mądre, to i kurze się ta mądrość przyda. Dziewczynie smutnoby było zostać samej, bo jeszcze to nigdy rodziców nie opuszczało, aleby potęsknila trochę i oswoiła się. A oswoić się trzeba, bo przecież i tak całe życie z rodzicami nie usiedzi.

Rad byłem ze słów Antoniny; była to woda na mój młyn. Znacie doktora Zarewskiego — powiedziałem — żona mu młoda umarła, zostawiając troje małych dzieci. Ma on nauczycielkę, która uczy starszą dziewczynkę i chłopaka, ale potrzeba mu jeszcze do dzieci dziewczyny, któraby ich pilnowała, przestrzegała, czasem bawiła się z niemi. Mówił mi, że radby wziąć Helę i że Hela mogłaby się uczyć przy swojem zajęciu u tej nauczycielki, która jest bardzo dobrą panną, i umie dobrze uczyć. Nie miałaby tam Hela żadnej zapłaty za swoje zajęcie prócz nauki, pokarmu i odzieży. Jeżeli się zgodzicie, jeśli Hela przystanie, to rzecz się prędko zrobi.

Antonina obsypała mię w odpowiedź mnóstwem dziękczynnych wyrazów; Heli świeciły się oczy z zaciekawienia i zajęcia.

— Cóż Helu, zostaniesz w mieście? spytałem.

— Zostanę, powiedziała stanowczym, choć drżącym głosem.

Potrzeba było jeszcze zyskać ojca zezwolenie. Nadszedł on wkrótce i rozpoczął powitanie swoje od dziękczynnych wynurzeń, dopiero teraz bowiem podczas mej niebytności dowiedział się o całej roli, jaką odegrałem w awanturze z Chocimskim. Było mi tych dziękczynień już strasznie dużo, ale musiałem je znosić cierpliwie, nie chcąc zrażać zacnego Jędrzeja, który mniemał, że muszę je zabrać sobie, jako swoją należytość. Miałem nadzieję, że uzyskam za to większą powolność jego na moją propozycję względem Heli. Gdy mu Antonina całą rzecz opowiedziała, zawahał się z odpowiedzią, widocznie nie przygotowany na to co usłyszał i chciał już postanowienie na później odłożyć.

Kiedy mu jednak o ile można najspokojniej przedstawiłem korzyści, jakie ztąd wynikną dla Heli, zgodził się zaraz.

Dopiąłem więc swego. Hela miała zostać w mieście i uczyć się. Jędrzej tego samego dnia jeszcze odjechał do Rohatycz, a Antonina miała za parę tygodni pojechać za nim.

*

* *

Nazajutrz odwiedziłem Karola; zastałem go już zupełnie zdrowego, już nawet ręki nie nosił na temblaku. Rozpytywał się szczegółowo co porabiam, co zamyślam; opowiedziałem mu wszystko, co sam wiedziałem. Wysłuchawszy mię, zamyślił się, a po chwili powiedział:

— Ha, jeśli zechcesz Danielu, możesz być bardzo szczęśliwy.

Rozumiałem do czego zmierzał, ale nie miałem śmiałości przyznać się, że rozumiem.

— Gdybym mógł serce gdzieindziej umieścić, powiedział mi Karol z dawnem namaszczeniem, kładłbym je u stóp najpokorniejszej i najcichszej.

Z kolei ja pytałem Karola o szczegóły obecnego życia.

— Pracuję w biórze jak dawniej, od pięciu do sześciu godzin dziennie. Ale to mi nie wystarcza. Potrzeba mi wiele pracy, żebym nie miał czasu na odpoczynek i refleksje, potrzeba mi przytem innej pracy,

niż ta urzędowa, płatna, obowiązkowa. Noszę się z różnemi myślami; chciałbym wydawać bibliotekę naukową dla ludu, ale na to potrzeba sił zbiorowych, sam nie wystarczę. Chciałbym więc wydać przynajmniej parę dziełek najniezbędniejszych dla oświaty ludowej. Wiem, że to będą rzeczy dalekie od doskonałości, ale powiedz, czy mogę lepiej użyć zbywającego czasu?

Spostrzegłem, że Karol nie przestawał bydź Don-Kiszotem, tylko się zwrócił na inne tory, ale czując, że od niedawna i sam nie byłem wolny od pewnej Donkiszoterji, nie miałem śmiałości obnażyć Karola ze złudzeń jego. Powiedziałem mu jednak:

— Obawiam się, żeby cię nowe zawody nie spotkały, żeby dziełka twoje, owoc myśli twej, pracy i poświęceń, nie stały się balastem księgarskim dla braku czytelników ludowych.

— Nie Danielu, zawód spotkać mię nie może, bo praca moja bez wszelkich pretensji do natychmiastowego powodzenia i rozgłosu. Jest to potrzeba sumienia i serca. Potrzebuję czuć, że jestem komuś pożyteczny. Niechaj wpłynie ta praca moja na oświatę choćby dziesięciu tylko ludzi, już będę zadowolony.

Opowiedziałem Karolowi sprawę, w jakiej wysłała mię do niego Amelja. Nie chciał przystać na zwrot podarków. Niech je rozda ubogim, powiedział w końcu, jeśli nie chce zatrzymać.

Potrzeba było tę odpowiedź zanieść Amelji. Poszedłem do niej nazajutrz o parę godzin wcześniej niż zwykle, aby się wcześnie przed herbatą wynieść. W sa-

loniku zaciemnionym kwiatami dobry już zmrok panował. Amelia siedziała wygodnie w długiem krześle; ujrzawszy mię wchodzącego nie powstała z krzesła, ale wyciągnęła ku mnie rękę, jak się robi bardzo dobremu znajomemu, albo komuś, na kogo się czeka. Przestraszyłem się tego zmroku i tej wyciągniętej ręki, zdało mi się, żem przyszedł na umówioną schadzkę. Przecież cofnąć się nie można było; postąpiłem ku pani Amelji i uścisnąłem jej rękę.

— Niech pan tu siada koło mnie, rzekła, wskazując mi fotel obok stojący. Więc naprzód interes. Cóż Karol?

Powtórzyłem odpowiedź Karola.

— Więc niechże ubodzy przynajmniej skorzystają z zerwania węzłów małżeńskich. Panie Danielu, czy pan mię uważasz za żonę Karola?

Nie rozumiałem pytania ani trochę. — Wybaczy pani, rzekłem, że nie umiem odpowiadać na pytania, których nic a nic nie rozumiem.

— Cóż jest zrozumialszego? Czy pan sądzi, że i dziś po uroczystem rozstaniu się z Karolem nie przestałam należeć do niego, mówiąc urzędowym językiem panującej połowy rodzaju ludzkiego? że i dziś jeszcze mam jakie obowiązki do dopełnienia względem męża? czy też, że jestem zupełnie wolną, jak ptak. Chcę wiedzieć sąd pański o tem. Właśnie rozmyśliwałam nad tem przed przyjściem pana.

— Czyż jestem właściwym sędzią? zapytałem.

— Cóż to pana obchodzić może? Proszą pana, abyś

powiedział swoje t a k lub n i e, dekretu pańskiego nie rozlepią po ulicach.

— Nie — powiedziałem uroczyście.

— To jest, że...

— To jest, że skoro pani przestajesz należeć do Karola, więc pani nie należysz do niego. Zdaje się, że styl mój jest urzędowo-jasny.

— O pan jesteś strasznie urzędowy. Pan jesteś bardzo dziwnym człowiekiem, panie Danielu. Mówisz pan inaczej, robisz pan inaczej; raz pan jesteś takim, znowu innym, a zawsze niejasnym. Zdaje się, że pan jesteś człowiekiem bez chęci, ale pewniej jeszcze człowiekiem bez uczuć. Że też tacy ludzie mogą chodzić po świecie.

Był to mój portret wcale niepochlebny, choć nie pozbawiony pewnego podobieństwa.

— Czy mam za to podziękować, czy obrazić się?

— I jedno i drugie byłoby zbytecznem. Chciałabym pana zrozumieć, a często nie mogę. — Pańska przeszłość musi zawierać w sobie klucz do tej zagadki, jaką pan dzisiaj jesteś; wdzierać się do tej przeszłości nie mam prawa, przecież ciekawość moja nie może pana obrażać.

— Moja przeszłość, powiedziałem, jest bardzo nieciekawa, zaręczam pani. Zacząłem wcześnie żyć i w przeciągu kilku lat przebiegłem skalę wrażeń, której inni przez całe życie nie przechodzą. — Łuska złudzeń ścierała się szybko z oczu moich i w dwudziestym czwartym roku dobiegłem już był do mety, po za którą dalej się nie idzie. Tam stanąwszy oglądnąłem się

po za siebie i ujrzałem odwrotną stronę dekoracji. — Płócienne morza, gmachy z kartonu i słońce olejem nalane przedstawiło mi się tam w swojej prawdziwej postaci. Miałem rozrywkę patrząc na innych, jak wlokąc się po drodze, którą ja szybko przebiegłem, składali ręce z podziwu na widok tych cudów dekoracyjnych.

— Więc panu już nic się na świecie nie podoba?

— Gdyby tak było, jużbym umarł, a przecież żyję. Mam więc swoje przyjemności, swój sposób zadowolenia, niezdolny jestem tylko do zachwytów.

— Pan nie byłeś dotąd kochany — rzekła mi tonem wielkiego przeświadczenia, zwracając ku mnie oczy, które przez zmrok świeciły blaskiem fosforycznym, pan nie znałeś dotąd istoty, którąby mu całą wolę swoję, jak obrączkę zdjętą z palca złożyła w ręce, a z wolą razem wszystko, co wspaniałe serce i pojętna głowa czuć i myśleć mogą. Kochałeś pan, kochano pana, ale jak kochano? Cóż składano w ofierze za pańską wzajemność? — niewinność gęsią i czułość ślamazarną.

Słuchałem w podziwie słów pani Amelji; zdaje się że zmrok czynił ją zuchwalszą.

— Zkądże pani to może wiedzieć? — zapytałem.

— Powiedziałeś pan: niezdolny jestem do zachwytu; to znaczy, że albos pan zawiedziony w miłości, albo że pan nie kochałeś kobiety, która potrafi odpłacić miłość.

Zuchwałość Amelji podbiła mnie. Milczałem czas jakiś a potem powiedziałem:

— Przypuśćmy, że tak jest; czyż mam się gniewać na siebie? Mamże sobie winę przypisywać? O rzeczach niezależnych odemnie wolę nie myśleć.

— Czasem znów zdaje mi się, powiedziała Amelja tonem dość cierpkim, że pan doprawdy niezdolny jesteś do silniejszej namiętności, — która jedna potrafi ożywić i uszczęśliwić.

— Ja to samo myślę — powiedziałem.

Amelja podniosła się z krzesła, chwyciła za dzwonek i zadzwoniła. Zjawił się lokaj.

— Światła! Zapominacie, że już ciemno?

Za chwilę zjawiły się dwie płonące lampy i napełniwszy światłem salonik, oświetliły twarz pięknej gospodyni. Tkwił na niej wieczny ów jej wyraz znużenia i niezadowolenia. Wkrótce pożegnałem Amelją, i byłem pożegnany przez nią z wykwintną, ale nadzwyczaj chłodną grzecznością. Nie zapraszała mię nadal do siebie, jak to parę razy przedtem czyniła. Byłem rad myśląc, że może się nasz stosunek urwie, choć nie ukrywałem przed sobą, że mię ta kobieta nie przestaje zajmować.

IX.

6. października.

I tak już rok minął od chwili zapisanych tutaj wypadków. Parę razy nawijał mi się ten pamiętnik do ręki, parę razy zaczynałem odczytywać zapisane wraże-

nia, ale rzucałem prędko rękopis, bo nawoływane obrazy wspomnień zamiast przyjemności, jakiś niepokój i udręczenie przynosiły. Jeśli czytać nie mogłem pamiętnika, to tem bardziej nie miałem ochoty prowadzić go dalej. Dziś muszę być spokojniejszy, bo czuję potrzebę pisania.

Trzeba zdać sprawę z ubiegłego roku przynajmniej w kilku słowach. Gospodarstwo moje wiejskie kwitnie dzięki energji i staranności Jędrzeja, który raczej wart być właścicielem Rohatycz, niźli ekonomem ich dzierżawcy. Błąka mi się nieraz po głowie myśl odkupienia tej wioski, może to i zrobię przy jakichś szczęśliwych warunkach, ale dziś jeszcze nic pewnego powiedzieć nie umiem. Hela przez rok zrobiła niesłychane postępy w nauce. Mógłbym pannę Joannę posądzać o jakiś czarodziejski sposób nauczania, gdybym nie wiedział, że to przedewszystkiem zasługa wielkiej pojętności i nadzwyczajnej gorliwości Heli. Trudno się jej było rozstać z rodzicami; scenę pożegnania oblała rzęsistemi łzami i przez kilka dni pierwszych po rozstaniu nie mogła nic jeść z tęsknoty, ale po dwóch tygodniach uspokoiła się zupełnie i z wytężeniem zabrała się do nauki. To też przez rok nauczyła się tyle ile inne dziewczęta przez trzy lub cztery lata zaledwie zdołają się nauczyć. Ja wykładam jej historję i jeografję i trzymam się ściśle godzin oznaczonych, jak gdybym był urzędowym nauczycielem. Zajęcie to istotnie stanowi dziś największą przyjemność moją, i zapełnia mi dużo czasu, bo się przygotowuję do lekcji jak do jakiego publicznego odczytu.

Rozstanie się z rodzicami, zetknięcie z nauką, przejście ze świata bezpośrednich wrażeń w świat wyższych pojęć, było to w życiu Heli ogromnym przełomem, z którego wyszła dziwnie poważna i pełna uwielbienia i trwogi dla tego wszystkiego, ku czemu myśl jej zaczęła się wspinać. Z prawdziwą rozkoszą patrzałem jak ta dusza dziewczęcia, nieuprawną rolą dotąd leżąca, przyjmowała ziarna nowych dla siebie myśli, zdarzeń, czynów i z jaką bujną siłą przeradzała te ziarna w kwiaty i jagody pełne barw najżywszych. Było mi to prawdziwą nagrodą za pracę, która tym sposobem, nie wiem czy dla Heli, czy dla mnie była większem dobrodziejstwem.

Pani Amelja przy Heli jest jak cień przy blasku. Jak w Heli wszystkie uczucia skupiają się, garną się w uczuciu skromności i trwogi dziewczęcej, tak w Amelji wszystkie one zdają się rozbiegać w różne strony, zdają się być w ciągłej niezgodzie, w ciągłej wojnie domowej, i tylko duma kobiety umie je krępować przed oczyma tłumu. W Heli jest spokój skromności i trwogi, Amelja olśniewa spokojem dumy i śmiałości, ale wprawne oko łatwo dostrzeże, że pod tą wystawą spokoju, ukrywa się rozlad i cierpienie.

Panią Amelję po opisanej przed rokiem scenie nie widziałem przez czas dłuższy — może przez parę miesięcy. O oznaczonej godzinie przychodzę raz na lekcję do Heli — był to jeden z pierwszych moich wykładów — i w saloniku, w którym się też nasze lekcje odbywały, zastaję prócz panny Joanny i Heli i panią Amelję. Mogłem być przygotowany na to, że kiedyś

nastąpi podobne spotkanie, byłem przecież wtedy jakby zawstydzony, jakby złapany na gorącym uczynku. Atlas który przyniosłem z sobą, zaciężył mi kamieniem pod pachą. Pani Amelja coś bardzo żywo opowiadała Heli, przywitała mię bardzo swobodnie i z lekka oskarżała o zapomnienie. Potem przeciągając rękę, rzekła mi przyjacielskim głosem:

— Panie Danielu, przyniosłeś pan jakieś album, czy wolno zobaczyć?

— To jest atlas — odpowiedziałem.

— A czemużbym tego nie miała zobaczyć; potrzebuję nawet dobrego atlasu.

Podałem atlas. Pani Amelja przewracała karty z wielką uwagą; było coś złośliwego w tej jej pilności. Zwracając się wreszcie do Heli powiedziała:

— Czy dużo już, Helu, umiesz z jeografji?

Dwa żywe rumieńce wybiegły na twarz Heli.

— Nie, dotychczas bardzo mało umiem — powiedziała.

— Ale już wiesz o pięciu częściach świata?

— Wiem, jak się nazywają.

— Panie Danielu, jakbyś pan nazwał szóstą część świata, gdyby się panu niechcący odkryć ją zdarzyło?

Miałem już na ustach wyraz Modestin, powstrzymałem jednak pierwszy zapęd odpowiedzi i powiedziałem:

— Upraszałbym wówczas panią, abyś najłaskawiej raczyła nowy ląd według upodobania swego zamianować.

— O tobym może nie nazwała według życzenia pańskiego. Ale — dodała — zdaje mi się, że to pora lekcji. Usuńmy się, aby nie przeszkadzać panu Danielowi.

Po lekcji podano herbatę. Pani Amelja była bardzo ożywioną i współubiegała się w dobrym humorze z doktorem, który sypał wybornemi żartami. Hela siedziała razem z nami, obok dzieci, któremi troskliwie zajęta była, karcąc je, lub pomagając w nalewaniu gorącej herbaty na miseczki. Do rozmowy nie mięszała się wcale, choć nieraz wesołe opowiadanie doktora pobudzało ją do uśmiechu. Amelja zaczepiała parę razy Helę, chcąc ją wplątać do rozmowy; Hela odcinała się zawsze jakąś krótką odpowiedzią i nie dała się wciągnąć do dłuższej rozmowy. Podziwiałem instynkt dziewczęcia, który zastępował w niej znajomość życia i takt salonowy.

Zaraz po herbacie pani Amelja zabrała się do wyjścia. Byłem jej naturalnym towarzyszem i wiedziałem, że muszę ją odprowadzić do domu, tem bardziej, że służący, który miał przyjść po nią, nie przyszedł. Nie czekając zatem na wezwanie powstałem i ofiarowałem się jej za towarzysza. Przyjęła grzecznie, pożegnaliśmy się, podałem jej ramię i poszliśmy.

W drodze zapytała mię:

— Dla czego pan pogardzasz moją przyjaźnią? Czy istotnie zasługuję na to?

— Doprawdy nie wiem — odpowiedziałem — na jakiej podstawie może mi pani czynić podobne zarzuty. Biorę to za żart tylko.

— To bardzo wygodnie brać za żart słowa, na które się nie chce odpowiedzieć; ja także tak czynię.

— Przecież tak nie jest, jak pani mniema.

— Jedno z dwojga: albo pan mną pogardzasz, albo się pan mnie boisz.

— O! to drugie jest daleko bliższe prawdy; wstyd mi tylko może przyznać się do tego.

— Przez dwa miesiące nie byłeś pan ani razu u mnie.

— Kto mię zna bliżej, nie może dziwić się temu, że prawie nigdzie nie bywam. Największą tyranją na świecie jest tyranja gościa, który przychodzi zły i nudny, i nie da się niczem rozruszać i ożywić. Takim tyranem nie chciałbym być nawet na chwilę.

— Słowa, słowa. I pan chcesz, żebym temu wierzyła?

— Mamże się przyznać do bojaźni!

— O! niebezpieczeństwo jest gdzie indziej, pan zresztą jesteś dobrze opancerzony.

Taką mniej więcej była wówczas rozmowa nasza, która mię skłoniła do tego, że zacząłem na nowo bywać u pani Amelji. Ta była dla mnie zawsze nadzwyczaj uprzejmą, a kiedy zostawaliśmy sam na sam, nie porzucała jak dawniej drażliwych kwestji, nie zadawała pytań niespodzianych. Wpadała nieraz w zamyślenie, z którem jej było bardzo do twarzy. W ogóle dostrzegałem jakiejś nowej zmiany w usposobieniu tej dziwnej kobiety.

Byłem ciekawy, jakie wrażenie sprawiała na Heli, zapytałem kiedyś dziewczynę:

— Jak ci się podoba pani Amelja?

Hela spojrzała na mnie i już we wzroku jej wyczytałem całą odpowiedź. Nie chciała wręcz powiedzieć nie, nie mogła powiedzieć, że się jej podoba, i nie wiedziała jak się wywinąć z tego kłopotu. Wreszcie powiedziała, okraszając usta uśmiechem:

— Nie bardzo.

Odpowiedź ta nie mało mię ucieszyła, a przecież gdybym chciał sobie jasno zdać sprawę z tej radości, to na jej dnie nie znalazłbym może ani szczypty rozumnego powodu. Czyż mogłem z tego cokolwiek na swoją korzyść wnioskować?

Dziwny ten mój stosunek do Heli, jeżeli mi nastręczał prawie codziennie wiele chwil przyjemnych, to również często dawał powód do przykrych rozmyślań. Co dalej? musiałem zapytywać siebie, i odpowiedzi na to nie było żadnej i było mi nieznośnie, jak człowiekowi, który pracuje i nie wie jaki użytek będzie z tej jego pracy.

A przecież trudno mi dziś nie przyznać, że kocham tę dziewczynę, że jest ona dla mnie płonącą lampą, która strachy smutku odpędza i zmierzch życia okrasza, przecież nie wiem, cobym miał uczynić gdyby mi kto tę lampę wyrwał z dłoni i uniósł.

Kiedy jestem z nią razem, przestaję patrzeć swojemi oczyma, a patrzę jej oczyma, przestaję myśleć swojemi myślami, a myślę z nią razem i czuję to co ona czuje. Ci wielcy ludzie Plutarcha, którzy ją zachwycają i mnie znów zaczęli zachwycać, chociaż tak niedawno urągałem ich wielkości. Kiedy jej niedawno

opowiadałem o bitwie pod Termopilami, a opowiadałem bardzo spokojnie, po większej części słowami Herodota, zaiskrzyły się oczy dziewczynie, zaczęła drżeć nerwowo i wreszcie dwie łzy zachwytu błysnęły jej w oczach. Ukochałem na nowo wówczas bohaterów termopilskich, ukochałem ich tak samo, jak w pierwszej dobie dzieciństwa, kiedy poraz pierwszy o nich usłyszałem.

— Czy tylko w Grecji tak broniono ojczyzny? — spytała mię po lekcji.

— Tylko w Grecji tak szczęśliwie — odpowiedziałem. — I u nas były poświęcenia, ale bezowocne. — Zacząłem mówić o Kościuszce, o nowszych czasach. Dziewczyna posmutniała, a kiedym skończył opowiadać, rzekła:

— Dla czegoż Pan Bóg nie pobłogosławił?

— A któż to może wiedzieć? Czy to Pan Bóg zdaje kiedy sprawę, co dla czego zrobił?

Hela spojrzała na mnie surowo i trwożnie; w słowach moich musiała spostrzedz jakiś brak uszanowania religijnego. Spuściła oczy i milczała.

— A tobie Helu, jak się zdaje? — spytałem, pragnąc jakąś myśl na ten temat wydobyć z Heli.

Podniosła oczy spokojne i uroczyste i tonem, w którym nie było najmniejszego wahania, powiedziała:

— Szlachetnych ludzi, co giną za drugich, Pan Bóg nie może zostawić bez nagrody.

X.

20. marca.

Czy ona może mnie kochać?... oto jest pytanie, które mi się wałęsa teraz po mózgu, jak natrętny żebrak z wyciągniętą dłonią, któremu nikt nic dać nie chce za jego natręctwo. Dla czegożby nie mogła mnie pokochać? pytam siebie i zestawiam jej lata z mojemi i cieszę się, że tak wielkiej przepaści czasu nie ma pomiędzy nami. Lat trzynaście, przecież to nadwyżka wieku męzkiego, często spotykana w szczerze kochających się parach. Niepokój mój często mię prowadzi do zwierciadła, chcę, aby mi źwierciadło jaką dobrą nadzieję podało, ale stanąwszy przed nim tak się śmiesznym sam sobie wydaję, pretensje moje tak godnemi litości, że nieraz zbiera mię chętka wyrzucić za okno tego pocieszyciela — szydercę.

Gdybym przed półtora roku mógł wiedzieć, czem się dziś stanę? Doprawdy nie wiem, czybym się cofnął przed tą przyszłością, to jest, czybym się starał ją wyminąć. Byłem wtedy spokojny, to prawda, ale był to jakiś ciężki spokój ciszy morskiej, jakaś martwość i skrzepłość uczucia, jakiś bezruch dręczący. Dziś mam udręczeń więcej, dziś ciągle jestem niespokojny, zatrwożony, a przecież jest coś w tym niepokoju, w tej gorączce takiego, co chwilami wypłaca całą nagrodę z nadwyżką nawet, za wszystkie poprzedzające udręczenia, i gdyby mi powiedziano: „Możesz wrócić

do dawnego spokoju, do dawnej martwości“, za nic bym nie wrócił.

Wczoraj były imieniny naszego doktora, pana Józefa. Sprosił on kilkunastu znajomych, którzy zaraz po przyjściu swojem zasiedli do kart. Gospodarz, ja, Karol i Jerzy nie graliśmy, tylkośmy się bawili rozmową w towarzystwie panny Joanny i milczącej jak zwykle w trochę liczniejszem gronie Heli. Karol, którego humor od półtora roku znacznie się poprawił, był dość ożywiony. Znalazł on niedawno jakąś pracę, odpowiednią swoim filantropijnym zachciankom i ta praca trzymała go w ciągłem zajęciu i zadowoleniu. Pracą tą było założenie szkółki dla opuszczonych dzieci. Właśnie z powodu wielu zajęć, jakich mu ta praca nastręczała, musiał wcześnie wracać do domu. Po jego odejściu nasze grono rozmawiające jeszcze się bardziej ścieśniło.

— Karol jest dziś w dobrym humorze, powiedział doktor po odejściu jego. Gotów jestem myśleć, że zdoła zupełnie zapomnieć o smutnych przejściach swego małżeńskiego pożycia.

— A jednak jestem pewny, rzekł Jerzy, że każdej chwili, w której mu żona przeciągnie rękę do zgody, przyjmie tę rękę z uszczęśliwieniem i nawróci się do jarzma małżeńskiego.

— I ja tak myślę, dorzucila panna Joanna, podnosząc wzrok od jakiejś roboty, którą zajęta była mimo uroczystości domowej, i uśmiechając się wymownie.

— Czy tak? — powiedział doktor — więc to jarzmo małżeńskie ma być tak słodkie? Dosyć rękę przeciągnąć, aby się natychmiast kark męski pod jarzmo nastawił? My przecież z Danielem tego nie powiemy.

Czułem, że doktor chce wymierzyć atak humoru swego na mnie. Lubię te jego wesołe napaści i przyjmuję chętnie wyzwanie.

— Nieinaczej, odpowiedziałem. Mianuję cię, jako doświadczonego, oskarżycielem małżeństwa wobec trybunału dwóch pań i sprzymierzonego z niemi Jerzego.

Hela zajęta także robotą, podniosła głowę i patrzała na mnie ciekawym wzrokiem.

— A któż będzie obrońcą? — spytał doktor. — Mamyż sądzić winowajcę nie dając mu żadnej obrony? Nie, zamianowałeś swój trybunał bardzo lekkomyślnie. Jerzy w sądzie swoim o Karolu dał się już poznać, jako przychylny małżeństwu, bo uznający nadzwyczajną potęgę szczęścia, jakie ono daje, więc sędzią być nie może.

Jerzy śmiał się z poważnej miny doktora z jaką ten rzecz prowadził.

— Tylkoż cię proszę, oskarżycielu, nie wmawiaj we mnie, czego nie powiedziałem.

— Proszę mi nie przerywać, mówił dalej gospodarz. Nie uznaję także prawomocności sądu mojej kuzynki, która swojem „i ja tak myślę“ z dołączonym do tego dokumentem uśmiechu stanowczo przeszła na stronę małżeństwa. Zostaje tylko.... panna Helena, która może piastować trybunalską władzę i sądzić, bo się dotychczas zupełnie bezstronną okazała.

W żartobliwych słowach doktora był jeden wyraz,

który zabrzmiał dziwnie uszom moim, i tak samo dziwnie brzmieć musiał w uszach Heli, zarumienionej tą apostrofą. Doktor poraz pierwszy nazwał Helę panną Heleną. Siedmnastoletniemu dziewczęciu należał się słusznie już ten tytuł i doktor zapewe poraz pierwszy w liczniejszem gronie zauważał, że niestosownie jest nazywać dorosłej dziewczyny pieszczonem imieniem. Niemniej przeto spadał ten tytuł na Helę z ust doktora niespodzianie; dwa żywe rumieńce wybiegły na twarz Heli, a rozpromienione oczy przemówiły zdziwieniem, trwogą i radością. Ja uczułem pewne zawstydzenie, żem dotąd pozwalał sobie zbyt poufale odzywać się do Heli, na mocy dawnej znajomości, i postanowiłem zmienić odtąd ten tryb poufały.

— Jerzy więc będzie obrońcą, ciągnął dalej doktor. Jerzy jest adwokatem, więc potrafi każdą sprawą przejąć się jak najgłębiej, a cóż dopiero taką, której słuszność sam uznaje.

— Nie mamy prezesa, zawołał Jerzy, nie ma komu przywoływać do porządku. Wzywamy pannę Joannę, aby nam przewodniczyła i zaraz przywołała doktora do porządku.

— Dobrze, kuzynka została prezesem, a ja sam wracam do porządku i ogłaszam otwarcie sądów. Panna Helena jest sądem przysięgłych, a proszę sądzić sprawiedliwie.

— A proszę zrozumiale i jasno wyłuszczać sprawę — powiedziała dość śmiało dziewczyna — to będę sprawiedliwie sądzila.

— Zastrzeżenie bardzo dobre — powiedział doktor —

niechże się Jerzy stara do niego zastosować. Ja rozpoczynam:

Wyobraźcie sobie państwo młodego człowieka, który nie zna żadnych obowiązków, coś tak jak Daniel, który używa nieograniczonej swobody, i może w przeciągu pół roku świat cały objechać, jeżeli mu na to majątek pozwoli, aby przez drugie pół roku zamknąć się w czterech ścianach i w kłębach dymu nowe wyobrażać światy; wyobraźcie sobie państwo człowieka, który śpi, je, chodzi i pije tylko wtedy, kiedy mu się chce, który zatem kilka nocy może spędzić bezsennie, a potem to wszystko razem odeśpi, który widuje się i rozmawia z ludźmi tylko wtedy, kiedy jest w dobrym humorze, który znów często nie widuje się i nie rozmawia z ludźmi, aby sobie nie popsuć dobrego humoru, który... no już nie wiem, co zresztą. Otóż takiego człowieka proszę sobie wyobrazić...

— Jużeśmy sobie wyobrazili, powiedział Jerzy.

— Ale sędzia niech pilnie słucha i uważa — powiedział doktor do Heli, która ciągle zajęta była swoją siatkową robotą.

— Uważam doskonale i słucham — odpowiedziała Hela — robota mi jeszcze pomaga. Jak co ważniejszego, to sobie zaznaczam na siatce...

— Bardzo dobrze, jest i protokół. Otóż kiedyście sobie państwo wyobrazili już tego człowieka, wyobraźcież sobie teraz, że ten człowiek po długiem wahaniu się, po wielu postanowieniach powziętych, odwołanych, na nowo powziętych i na nowo odwołanych, jednem słowem po namyśle dłuższym, niż potrzeba do zrobie-

nia czegoś mądrego, po rozmaitych namowach z prawa, z lewa, z daleka i bliska, nie wiedząc czy dobrze, czy źle robi, ale nudząc się na świecie, a chcąc sobie rozerwać tę nudę jakim sposobem... wyobraźcie sobie państwo, powtarzam, że ten człowiek ożenił się.

Doktor przerwał; uwaga była powszechną, a Hela mimo zaręczenia swego, że lepiej się słucha przy robocie, utkwiła oczy w twarzy mówiącego.

— Ożenił się i wymagał, aby mu odtąd lepiej było na świecie. Rozumie się, że miał prawo wymagać, bo inaczej po cóżby się żenił? Żona go kochała, zdawało mu się, że i on żonę kocha, (i być może, że doprawdy ją kochał) i wyobrażał sobie małżeństwo jako piękny a własny ogród, wysadzony różami i innemi pięknemi kwiatami, a rodzący przytem smakowite owoce, po którym się będzie mógł przechadzać i zrywać do woli najpiękniejsze z kwiatów i kosztować najsmaczniejsze z owoców. Mniejsza o to, że ogród jest ogrodem, to jest, że oddzielony od reszty świata wysokim płotem, a ten płot nastrzępiony kolczastą tarniną, mniejsza o to, że życie odtąd miało być ogrodzonem, kiedy tak przyjemnie było w tem ogrodzeniu. Tak mniemał ten, o którym mówię, w chwili zawierania małżeństwa, uwierzywszy uroczystym, a obłudnym zaręczeniom małżeńskiego świata, chociaż nie jestem pewny, czy nawet podczas wymawiania przysięgi małżeńskiej nie przychodziły mu pewne wątpliwości do głowy.

— Ależ bo jakiegoś dziwnego człowieka przedstawiasz Józefie — wtrąciła panna Joanna.

— W tem sęk — rzekł doktor z miną tajemniczą —

ale niech pan prezes raczy słuchać do końca. Przeszła gorączka ślubnych uroczystości, minęły jakieś tam miodowe dnie, tygodnie, czy miesiące, mniejsza o ścisłą miarę czasu, dość że niedługo po ślubie przyszła chętka młodemu mężowi oderwać się trochę od codziennych drobiazgów życia i puścić myśl wyżej na obszary nauki lub fantazji, a mówiąc po prostu, przyszła mu chętka zasiąść samotnie w swoim pokoju z książką lub z piórem w ręku i oddać się jakiejś pracy umysłowej. Zaledwie zabrał się do tej pracy, zaledwie uczuł całą błogość samotności, kiedy już drzwi się z lekka otwierają i wsuwa się najukochańsza żona, która nie chcąc przeszkadzać mężowi w pracy, podchodzi na paluszkach z tyłu jak najciszej, i dłonie mu swoje na kształt okularów do oczu przykłada, lub jeśli mniej żywa i kochająca, opiera się tylko na jego ramieniu i przez głowę zaziera mu do książki lub rękopisu. Miła to rzecz mieć takie dłonie różowe na oczach, albo taką drugą ładną główkę na ramieniu, ale zaiste nie wtedy, kiedy się rozważa najwyższe zagadnienia ludzkości i kiedy ktoś pragnie samotności, jak wody, jak to podobno jakiś poeta powiedział. Cóż ma wtedy mąż uczynić? Gdyby mu to zrobił jaki figlarz siostrzeniec, lub mała figlarka siostrzenica, przepędziłby zaraz natręta za drzwi, trochę mu może przedtem nakręciwszy uszu; gdyby to był jaki dobry kolega, powiedziałby mu: proszę cię, nie przeszkadzaj mi w tej chwili; ale że to jest najukochańsza żona, więc musi się obrócić ku niej z uśmiechniętą twarzą i udawać uszczęśliwionego. Studjował, przypuśćmy, w tej chwili filozofię, i z alpej-

skich szczytów myśli na świat poglądał, kiedy go żona wita następującą wiadomością:

— Czy wiesz, kazałam przerobić mój kapelusz. Nie widziałeś go z nowemi kwiatami? prawda? Chodź, chodź, to ci pokażę.

Albo inną, naprzykład:

— Czy wiesz, już mamy nową kucharkę!

Albo:

— Chodź, proszę cię, chodź co prędzej, zobacz jak nasza kotka śpi zabawnie...

Na ten ostatni przykład doktora całe nasze grono zaśmiało się głośno. Hela żywo trawiona rozmową, wybuchła śmiechem tak dźwięcznym, że mi się wydał jakąś kaskadą pereł. Sam doktor tylko zachował powagę, która przy żartobliwych słowach tem większą wzbudzała w słuchaczach wesołość.

— Ale, kuzynku, obrażasz kobiety — powiedziała panna Joanna — utrzymując, że nie potrafią o czem innem przemówić do męża.

— Ach, jeżeli przemówią o czem innem, to sto razy gorzej dla niego. Wybrałem jeszcze najlepszy typ kobiety, bo kobietę bez pretensji. Kobieta z pretensjami zanudzi go na śmierć swojemi zakalcowemi poglądami z nauki, albo rumiankową wonią swoich poetycznych usposobień.

Nie będzie mu mówiła o kotce, to prawda, ale za to nie opuści żadnej sposobności, ażeby się popisać jakim jałowym frazesem, nie dawno z książki wyczytanym. O najprostszej rzeczy będzie mówiła górnemi wyrazami, które do rozpaczy doprowadzą biednego męża.

Całe to oskarzenie było tylko przedrzeźnianiem moich pojęć o małżeństwie, pojęć, z któremi nieraz dawniej wynurzałem się przed doktorem, a które jednak od pewnego czasu znacznym uległy we mnie przeobrażeniom. Przedrzeźnianie to było tak zręczne, że nieraz przemawiał doktor zapamiętanemi a usłyszanemi odemnie wyrazami. Prócz mnie i Jerzego nikt tego nie mógł rozumieć.

— I ty to tak mówisz, ty, który miałeś najlepszą żonę, rzekła panna Joanna głosem pełnym wyrzutu. — Gdybym nie była pewna, że to żarty...

Mówiła to głosem, który dowodził, że nie była pewną. Niespodziane przypomnienie żony dziwne wywarło wrażenie na doktorze. Twarz jego, tak z olimpijska spokojna podczas tej całej przemowy, oblekła się naraz wyrazem głębokiej rzewności. Zdawało mi się nawet, żem dostrzegł w oczach jakiegoś łzawego połysku. Trwało to jednak bardzo krótko.

— Któż to chce żartować — zawołał doktor głosem, w którym niepokonana jeszcze drgała rzewność. — Kuzynka jak widzę w żarty chce obrócić całą sprawę, ponieważ szala przechyla się nie na jej stronę. Pana prezesa potrzeba przywołać do porządku. Prześwietny sądzie! — dodał, zwracając się do Heli.

Hela, wsłuchana w poprzedzające słowa doktora, nie wiedziała nawet o co chodzi, i na wezwanie doktora odpowiedziała zapytaniem:

— A czy innych żon nie ma, tylko takie?

— A to już do mnie nie należy — powiedział doktor — niech tam sobie obrońca jak najlepsze, naj-

mędrsze i najmilsze wymyśla żony. Ja jestem oskarżycielem i donoszę, co jest złego w małżeństwie. Otóż przedstawiłem już państwu jeden przyklad ciężkiej niewoli małżeńskiej. Dam jeszcze drugi i sądzę, że to wystarczy. Wyobraźcie sobie państwo nieznośny dzień jesienny ze słotnem niebem nad głową, z błotem na ziemi, z pruszącym od rana do wieczora z regularnością starego biuralisty deszczem i przypuśćcie, że małżeńska para mieszka na wsi, bo przecież więcej jest par małżeńskich na wsi niż w mieście. Owoż ten, który był przed wejściem pod jarzmo małżeńskie tak swobodnym, że gdzie zachciał i pomyślał, tam mógł zaraz pojechać, czyli kopnąć się, mówiąc językiem kawalerskim, czem zachciał, tem się mógł rozerwać, teraz jeżeli nie chce zasłużyć na nazwę złego męża, tyrana, niegodziwca, musi siedzieć pod zmoklą strzechą, patrzeć na zasłonione polą jesienne i sluchać muzyki wiatrów w kominie.

— A sąsiedztwo? — wtrącila żywo panna Joanna.

— Sąsiedztwo schowałem na ostatek, jako cios najstraszniejszy. Żona mówi: pojedźmy do tych a do tych, chcialabym się rozerwać. Więc jadą. Przyjeżdżają przypuśćmy o godzinie piątej, wypada zostać przynajmniej do dziewiątej, trwają zatem odwiedziny mniej więcej godzin cztery. Żadna kara na świecie, nawet u najdzikszych ludów nie trwa tak dlugo, i nie jest przytem tak ciężką. Jeżeli jeszcze ów nieszczęśliwy gra w karty, ha, to przynajmniej jaką taką znajduje ulgę przy zielonym stoliku. Każą mu mlócić wprawdzie kartami, jak cepem, ale milczeć pozwalają

i nie zadają tych mąk wyrafinowanych, co to się rozmową sąsiedzką nazywają. Jeżeli nie gra w karty — skazany jest na powolną śmierć z nudów. Przepis wykonania tej kary jest następujący: Bierze się człowieka najzdrowszego i w najlepszym humorze i przywiązuje się go do fotelu, krzesła lub kanapy wymaganiami towarzyskiej przyzwoitości na godzin kilka. Tak związanego i bezbronnego gospodarz i gospodyni zaczynają dręczyć rozmaitemi pytaniami, co mają dla nieszczęśliwego znaczenie inkwizycyjnych obcęgów. Zmuszają one gościa do mówienia o rzeczach, które go ani trochę nie obchodzą i wzbudzają w nim gwałtowną chęć poziewania, której atoli, broń Boże, nie ma prawa zadość uczynić. Po takich czterech godzinach ów, który był najzdrowszym i w najlepszym humorze przed odwiedzinami, powraca teraz do domu na pół obumarly. Żona jego tymczasem jest wcale zadowoloną z wizyty i chwaląc gościnność sąsiadów, obiecuje sobie bywać tam często — rozumie się, z mężem. — Zdaje mi się, że po tych dwóch obrazach męki małżeńskiej, nie pozostaje mi nic innego, jak wezwać prześwietny sąd, aby sprawiedliwemi usteczkami swojemi potępił jak najsurowiej małżeństwo, przez wzgląd na widoczne w niem pokrzywdzenie jednej połowy rodzaju ludzkiego.

Doktor skończył. Hela z podpartą na ręce skronią wsluchana w słowa doktora, uśmiechnęla się i rzekla:

— I dla czegoż ma żona ciągnąć męża tam, gdzie on nie chce, jeżeli go kocha?

— Wysoki sąd wdaje się w zbyteczne badania. Jeżeli żona kocha męża, to przypuszczam, że i mąż kocha

żonę, i właśnie ta miłość wzajemna polega na znoszeniu wzajem sobie wyrządzanych przykrości.

Hela nic na to nie rzekła, ale łatwo można było poznać po jej twarzy, że odpowiedź ta nie trafiła jej do przekonania. Doktor zwrócił się do Jerzego:

— No cóż obrońco. Czy istotnie nie ma nic do powiedzenia na korzyść małżeństwa?

— Dostateczną obroną już będzie, jeżeli powiem, że oskarżyciel nic a nic nie wierzy w swoje oskarżenie. Ale nie poprzestanę na tem i ukażę te same przedstawione już obrazy małżeństwa z innego, właściwego punktu widzenia. Znacie już państwo po części tego jakoby nieszczęśliwego męża. Jest to widocznie próżniak, który ma pretensje do Pana Boga, aby go bawił przez cały dzień boży, i jak tylko się nudzić zaczyna, już narzeka na swoje losy, a widząc, że wszyscy inni dokoła niego, ludzie czynni, zajęci ciągle pracą nie nudzą się i nie narzekają, uważa siebie za wybranego i z góry spogląda na innych. Ożenił się, bo się nudził, tak brzmi oskarżenie małżeństwa, i jak przedtem wymagał od pana Boga i ludzi, ażeby go bawili, tak teraz wymaga tego samego od żony.

— Wybornie, doskonale, zawołała panna Joanna. Hela, widocznie zadowolona ze słów Jerzego, uśmiechała się. Jerzy ciągnął dalej:

— Żona przy mężu jest jak chorągiew na drzewcu; drzewiec pnie się w górę, chorągiew spływa po nim ku ziemi, tak samo jak myśl męska rwie się przebijać ostrzem swojem światy, uczucie kobiece chwyta tę myśl, i żeby się nie stała jałową i błędną sprowadza ją

ku ziemi. Może to niezbyt jasne, a przecież musicie państwo czuć prawdę tego, co mówię. Myśl męska zdaje się tryskać z ziemi, uczucie kobiece jak gdyby nam z nieba spływało. Dla tego muszą się spotkać z sobą i skojarzyć.

— Brawo, brawo — zawołałem. Istotnie porównanie było piękne, choć może nie zupełnie ścisłe.

— Czemże się stanie taki drzewiec, jeśli mu odejmą chorągiew? Oto prostym drągiem, dobrym do połamania i do wrzucenia w piec. W co się obróci chorągiew, jeśli ją ściągną z drzewca? Nie chciałbym nawet mówić; staje się szmatą, jedwabną może, ale bez użytku. A w połączeniu razem są przedmiotem czci.

— Obrońca zaczaił się na nas z tem swojem porównaniem — zawołał doktor — i chciałby nas niem przebić, jak dzidą. Prosimy odrzucić tę broń niedozwoloną, a odpowiadać na moje zarzuty. Pięknemi słówkami możnaby przekupić nasz sąd niedoświadczony, ale na to nie pozwolimy.

— Dobrze, biorę więc waszego dziwaka i daję mu żonę. Żona go kocha, natośmy się zgodzili, on także musi kochać żonę. Przypuśćmy, jak to doktor uczynił, że to jest natura lubiąca się zaciekać w badaniach naukowych i filozoficznych, że to jest trochę mizantrop, lubiący się chować w samotności. Otóż w tych jego bujaniach w teorji, w tem jego chwianiu się nieustannem na morzu zwątpienia, żona mu jest niezbędną kotwicą, która go utrzymuje w równowadze. Ta ręka, która się słodko opiera na jego ramieniu i przerywa mu może mozolną pracę myśli, nie jest dlań wcale ja-

kąś nieznośną przeszkodą, a tylko milem ściągnięciem do świata rzeczywistego. Bez tych węzłów, bez tych łańcuchów myśl ludzka, wybujawszy w górę, stracilaby widok ziemi, nie doszlaby do nieba i stalaby się czemś jałowem, marnem, igraszką prądów powietrznych. A tak przytwierdzona do ziemi słodkiemi a silnemi węzlami, nie może się zerwać i odlecić i jest pożyteczną. Bo przecież, choć wzdychamy ciągle do nieba, musimy pracować dla ziemi.

— Przedtem byla chorągiew, a teraz kotwica — zawołał doktor. — Panno Heleno, czy się to pani podoba?

— Podoba się — odpowiedziala Hela z rozpromienioną twarzą.

— Samotnik bezżenny — mówił dalej Jerzy — nie doczeka się takiej miłej ręki na ramieniu. Przyjaciel mu czasem wprawdzie przerwie tę samotność i wtedy go wita jak pana Boga, a przecież cóż mają wspólnego z sobą, oprócz rozmowy i wspólnych nudów może? A z kochającą żoną wszystko jest wspólne, nawet to ku czemu ona myślą wspiąć się nie zdoła, bo wtedy uczucie swoje tam wysyla. To jest odpowiedź na pierwszy zarzut. Na drugi zarzut, na te nudy sąsiedzkie możnaby nie odpowiadać, bo przecież od męża zależy dobrać sobie to lub inne towarzystwo; ale przypuśćmy zresztą, że takim mieszkańcom wiejskim wypadnie odbyć do roku kilka nieuniknionych a ciężkich wizyt i rewizyt. Otóż te wizyty służą tylko jakby dla lepszego uwidocznienia małżeńskiego szczęścia. Znudzona próżną gadaniną na wizycie para, chowa się

z całą rozkoszą do ogniska domowego, gdzie obok zupełnej swobody znajduje ciągłe zajęcie i ciągłą we wzajemnym stosunku rozrywkę. Porównajcie państwo dom kawalerski z domem rodzinnym; w pierwszym panuje jakaś martwość i jałowość zakonna, brak mu duszy, dom zaś rodzinny wydaje się nam jakby czemś żyjącem, czemś co ma swoją duszę. I tak jest, bo żona, matka jest duszą domu. Nie ma, sądzę, lepszej nagrody dla męża za jego starania i trudy czy to około dobra publicznego, czy domowego nad tę chwilę, kiedy z utrudzającej powracając podróży, spostrzega światła w oknach domu swego i na tle tych świateł miga mu cień ukochanej żony. Wracającego do domu wieczorem kawalera witają zawsze ciemne okna, chyba że mu je oświetlą zaskoczeni przypadkiem złodzieje.

Improwizacja Jerzego dziwila mię nie mało. On, który w towarzystwie nie lubił zwykle popisywać się wymową, i wydawał mi się zawsze sceptycznie usposobionym dla dobrodziejstw małżeństwa, teraz mówił o nich z wszelkiemi pozorami dobrej wiary i zdobił je prawdziwie poetycznemi obrazami. Chcialem już podejrzywać doktora i Jerzego, że jakąś zmowę na mnie uczynili, ale przypomniałem sobie, że sam ich wyzwałem do wytoczenia tego procesu.

— Wiesz co — rzekłem do Jerzego — dziwię się twojej obronie. Nie myślałem, żebyś miał takie przekonania.

— Dla tego, żem ich nie wypowiadał? Zresztą mówiłem o dobrych stronach małżeństwa; miej preten-

się do doktora jeżeli wszystkich złych stron nie przedstawił.

— Obrona twoja, mój Jerzy — powiedział doktor — jest bardzo podejrzaną, bo jeśli wiesz, że tak dobrze jest być żonatym, jak mówisz, to czemuś się nie ożenił? Zwracam na tę okoliczność szczególną uwagę sędziego. A teraz proszę nas sądzić; jestże małżeństwo dla ludzi szczęściem, czy klęską? Bez ogródki, jasno i dobitnie...

Nadchodziła chwila najbardziej dla mnie interesująca.

Hela pomyślała chwilkę i powiedziała:

— Jeżeli się kochają... szczęście, jeżeli się nie kochają... nieszczęście.

To mówiąc stanęła w ogniach rumieńca. Doktor pochylił głowę i dodał:

— Amen.

Podziwiałem Helę; prześliczną była w tem łamaniu się odwagi z trwogą dziewiczego wstydu. Sąd jej pełen prostoty i prawdy był nieodparty. W tym jej sądzie był także wyrok i dla mnie. Nie dość, że ja ją kocham, potrzeba, ażeby ona mnie tak samo pokochała, a dopiero możemy być szczęśliwi. Był to dla mnie wyrok, od którego odwołania nie ma.

Wkrótce poufną rozmowę naszego kółka przerwali inni goście, od zielonych stolików nadchodzący. Byłem rozmarzony tą poprzednią rozmową, jak winem, Hela w oczach moich stała się jeszcze większym, zaklętym jakimś skarbem. Już być stróżem tylko tego skarbu, wydawało mi się szczęściem nadzwyczajnem.

Dziś idąc na lekcję do Heli, postanowiłem sobie, stosownie do nauki danej mi wczoraj przez doktora, nie nazywać już dziewczęcia po imieniu. Przyszło mi to jednak nie łatwo; nie wiedzieć dla czego wstydziłem się zacząć nazywać ją panią. Hela jednak przyjęła już ten wyraz bez zdziwienia, tylko ku mojemu największemu zdziwieniu znacznie posmutniała i podczas lekcji zalała się kilka razy rzewnemi łzami. Chciałem przerwać lekcję, prosiła, żeby nie przerywać. Po lekcji zapytałem ją, czy nie jest chora? Powiedziała mi, że nic ją nie boli, ale nie wie co jej jest.

— Trzeba się poradzić pana Zarewskiego — powiedziałem — ja go zaraz wezwę.

— Nie, nie, proszę tego nie robić, to mi przejdzie, już mi teraz lepiej — mówiła, siląc się do uśmiechu przez łzy.

Zaniepokoił mię ten stan dziewczęcia, udałem się do panny Joanny, i prosiłem, aby wybadała dziewczynę. Sam zostałem w salonie, one rozmawiały z sobą w bocznym pokoju; ciekawość mię zmogła i kazała podsłuchiwać, słyszałem więc całą ich rozmowę.

— Co ci jest Helu, dla czego płaczesz? — pytała panna Joanna.

— Sama nie wiem, co mi jest; to przejdzie samo.

— Aleś nie chora?

— Nie, nie jestem chora, nic mi nie jest, dziękuję.

— Któż przecie płacze bez powodu? Może ci kto co złego wyrządził?

— Och! to niepodobna! Któżby mi mógł co złego wyrządzić?

— Może miałaś złą wiadomość od rodziców? może ojciec chory, albo matka?

— Nie, nie pani, nie.

— Może znów tęsknisz do nich? powiedz, wszak to nic złego.

— Tak, trochę tęsknię...

— A więc to dla tego płaczesz — ciągnęła nielitościwie indagację panna Joanna. — Nie potrzeba płakać, może się z rodzicami wkrótce obaczysz, może tu przyjadą, może do nich niebawem pojedziesz.

Na te pocieszenia Hela, która mówiła do tego ciągle z krępowanym w głosie płaczem, wybuchła teraz łkaniem i zawołała:

— Nie, pani, nie, ja nie dla tego płaczę, ja płaczę dla tego, że wszyscy dla mnie są tak dobrzy, a ja nic im za to zrobić dobrego nie mogę.

Nie słuchałem dalej, uczułem gorąco w oczach i wybiegłem jak szalony z salonu.

XI.

30. maja.

Są istoty jakby umyślnie przeznaczone na to, ażeby wszystkie dodatnie uczucia ludzkie do koła siebie rozprzęgały, łamały i niszczyły. Ku temu celowi zdają się być obdarzone jakąś demoniczną siłą przyciągania; inaczej nie byłyby strasznemi. Ta siła przyciągania

leży w dziwnie głębokiej perspektywie charakteru tych postaci i w jakiejś ciągłej walce świateł i cieni, grających w sercu, w jakiejś dziwnej, a ciągłej zagadce ich ducha.

Taką istotą jest Amelja; zdaje się, że jej zadaniem jest psuć do koła siebie spokój i harmonję. Doznawałem już tego kilka razy za zbliżeniem się do niej, ale teraz doznałem bardziej niż kiedy.

Przed kilkoma dniami obiecał doktor dzieciom urządzić majówkę w prześlicznym lasku koło Roisk o milę od miasta. Zaproszono mnie i Jerzego. Karol, który bywał u doktora tylko na wyraźne zaproszenie, to jest wtedy, kiedy się nie lękał spotkania z Amelją, z powodu jakichś zajęć swoich nie mógł wziąć udziału w majówce. Za to pani Amelja, dowiedziawszy się o zamiarze, sama się natychmiast zaprosiła. Zachciało się jej przytem wystąpić konno i zaczęła nalegać na mnie abym jej towarzyszył, jako jeździec. Wymawiałem się od tego, podając różne powody, dla których lepiej jest wyjechać powozem na majówkę, mówiłem, że nie mam własnego wierzchowca, a na najętym jechać nie ma przyjemności, i tym podobne ni w pięć ni w dziewięć wymówki, które powinny były dać jej poznać, że wolę jechać razem z towarzystwem, niż z osobna konno. Wymówki moje pobudzały ją tylko do tem większego nalegania na mnie. Było to przy Heli. Po długich naleganiach powiedziała wreszcie pani Amelja z widoczną ironją w słowach, choć troskliwie w głosie osłoniętą:

— Gdybym tak prosiła pana Jerzego, już by się da-

wno zgodził. Jeżeli pan nie dowierzasz obcym wierzchowcom, chętnie mu ustąpię mojego. Jest spokojny jak dziecię, niesie nadzwyczaj lekko. Czy zgoda?

— Czy tylko jest dość spokojny, spytałem już rozgniewany na amazonkę, która mię posądzała, czy udawała że posądza, iż boję się konia, a nie chcę się przyznać do bojaźni. Może się tylko wydaje spokojnym, a takim nie jest, dodałem.

Amelja spojrzała na mnie uważnie i powiedziała już głosem nieco zakłopotanym:

— Ale zaręczam panu, że spokojny.

Po chwili dodała:

— Zresztą, któż pana posądza, że się pan boisz żywych koni.

— Przecież pani odgadłaś pobudkę, dla której nie chciałem jechać. Czy wolno mi w odwet odkryć jej pobudkę w nastawaniu na mnie, abym jej konno towarzyszył?

— Proszę, rzekła niepewnym tonem.

— Chciałaś pani, abym przed całem towarzystwem złożył egzamin z konnej jazdy. Czy nie tak?

Amelja zaśmiała się, a w śmiechu tym nie sama czysta wesołość była, ale pomięszana z pewną cierpkością:

— A więc tak, przyznaję, jestem szczera. Pamiętaj pan, że na egzaminie publicznym rozdaję nagrody.

— A więc pani chcesz koniecznie, abym złożył egzamin?

— Nie, teraz już nie chcę.

— Tak, ale teraz ja chcę tego; moja sztuka jazdy

konnej nie może zostawać w tak okropnem podejrzeniu; chcąc nie chcąc masz pani we mnie towarzysza, i to na najdzikszym koniu, jaki się znajdzie pomiędzy woziwodami miasta i okolicy.

Należałem kiedyś do dobrych jezdźców; rozmowa z Amelją podała mi myśl przypomnienia sobie konnej rozrywki. Być może, że ironja kobiety grała w mojem postępowaniu rolę ostrogi, chodziło mi jednak mniej o Amelję, niż o Helę.

Nadszedł dzień majówki. Dostałem sobie wcale nie złego wierzchowca i o umówionej godzinie trzeciej stanąłem na punkcie zbiorowym, przed domem doktora. Panna Joanna z Helą i dziećmi już odjechały były do lasu, ażeby się wcześnie zająć przygotowaniami do podwieczorku. Na ganku siedziała pani Amelja w czarnej amazonce i w czarnym kołpaczku. Wydała mi się bledszą i piękniejszą niż zwykle. Po dziedzińcu oprowadzano pięknego, karego jej rumaka. Kazała go sobie podać natychmiast.

— Nie ma co czekać — rzekła — pan Zarewski czemś tam zajęty, będzie mógł wyruszyć z panem Jerzym dopiero za godzinę. Panny już pojechały, i my jedźmy.

Zeskoczyłem prędko z konia, i podsadziłem amazonkę na siodło. Pierwszy raz widziałem Amelję na koniu. Piękniejszej amazonki nie spotykałem w życiu. Smukła, blada, z pewnym wdziękiem dumy w postawie, z jakimś wzgardliwym spokojem w twarzy, była jakby stworzoną do konia. Patrzałem na nią przez chwilę jak na jakieś przyjemne zjawisko.

Musiała to pani Amelja zauważyć, bo zrobiwszy kilka zwrotów koniem, zapytała mię swym niedbałym tonem:

— Panie Danielu, czy ja się panu podobam na koniu?

— Jesteś pani chyba samą Dianną, powiedziałem.

— Teraz pan może inaczej będziesz myślał o mojem naleganiu, mój panie podejrzliwy.

Nie odpowiedziałem nic na to, siadłem na konia i ruszyliśmy kłusem przez miasto.

Zaraz za miastem Amelja powstrzymała konia.

— Spieszyć się nie mamy po co — rzekła — jedźmy stępo.

Jechaliśmy stępo. Dzień był dość parny, nie bardzo pewną wróżący pogodę. Niebo powleczone mgłami, zupełna cisza w polu, wonne majowe powietrze, wszystko to razem tworzyło atmosferę miłą, ale tęskną. Doznawałem dziwnej jakiejś nieokreślonej tęsknoty; było to uczucie więcej przyjemne niż przykre, a wytłómaczyć go sobie nie mógłbym inaczej, jak przez oddziaływanie barw i powietrza na zmysły.

Jechaliśmy czas jakiś milcząc i poddając się wrażeniom cichego dnia majowego. Wreszcie pani Amelja sięgnęła ręką do zanadrza i list wyciągnąwszy ztamtąd, podała mi go:

— Przeczytaj pan — rzekła. — Otrzymałam list taki od anonima. Kto to być może, czy pan nie zgadniesz?

Jużem się tak oswoił z nagłemi zwrotami Amelji, że wziąłem list bez podziwienia i zacząłem czytać.

Bezimienny przyjaciel ostrzegał Amelję o zupełnej ruinie, która grozi jej ojcu z powodu jak najgorszego obrotu jego spraw przemysłowych. Pod pozornym chłodem wyrazów łatwo można było rozpoznać gorące i troskliwe współczucie. Przeczytawszy bez wahania się powiedziałem:

— Poznaję Karola w tym liście, choć ręka inna.

— Ach, Karol — powiedziała z wyrazem niezadowolenia. — Prawdziwą mi przykrość wyrządza tą swoją troskliwością. Chce koniecznie abym miała u niego jakiś dług do spłacenia.

— Nie przestaje kochać, powiedziałem.

— Co jest gorszego, co jest smutniejszego w następstwach, jak miłość źle umieszczona? Wyobraź pan sobie, że ktoś znalazł jakiś skarb ogromny i nie wiedząc gdzie go umieścić, zanurza w bystrą wodę. Tak samo robi ten, co nie zważa w czyje ręce, u czyich nóg ma złożyć wszystkie uczucia swoje. Nie jestem stworzoną dla Karola; to trudno. Jemu potrzeba żony cichej, naiwnej, która by się dała ubóstwiać, a zarazem z poświęceniem siostry miłosierdzia chodziła koło jego moralnych dolegliwości, któraby mu była żoną, matką, córką, kochanką i stróżką szpitalną. Ja tego nie potrafię; umiem być tylko towarzyszką. Ani ojca, ani dziecka w mężu mieć nie chcę.

Urwała na chwilę; jechaliśmy przez parę minut w milczeniu, potem znów rzekła:

— Czy pan sądzisz, że to co Karol robi dla mnie, co zrobił i co gotów zrobić, że to może rozbudzić we mnie coś więcej niż żal i politowanie? Czy pan są-

dzisz, że kobiety potrafią przez wdzięczność pokochać kogo? Och! panie, żałuję tych, co temi drogami chcą zjednać sobie serce kobiety. To serce jest tak niedobre, że kocha tylko siłę, prawdziwą siłę męską, to jest rozum, odwagę i fantazję; za samą dobroć nie pokocha nikogo. Gorzej, bo dobroć taka wydaje się często kobiecie słabością. Przypuszczam, że pan osypujesz kobietę dobrodziejstwami: to się jej podoba, to obudza wdzięczność, przyjaźń, to schlebia; ale jeśli pan za to tylko zażądasz miłości, to dostaniesz wdzięczną obłudę. Serce kobiety lubi się oddawać temu, który go nie kupował, któremu nic nie dłużne. Wierzycieli nie lubi to serce, częściej goni za swoim dłużnikiem, za tym, który je uraził lub skaleczył. Czy to ładnie? nie wiem, ale tak jest.

Tyle było bezczelnej prawdy w słowach Amelji, a wszystkie one tak ściśle dawały się zastosować do mego stanowiska wobec Heli, że nie znalazłem słowa na odpowiedź. Wszystkie obawy moje i niepokoje, które nosiłem w sercu, które czułem, ale których dokładnie przed sobą opowiedzieć nie mogłem, czy też nie miałem odwagi, Amelja teraz lekką ręką wyprowadziła mi przed oczy i ukazała na nie. Tak, były to te same obawy, co w złych chwilach gniotły mi i dręczyły serce. Pomiędzy wdzięcznością Heli a miłością przestrzeń taka, jak pomiędzy ziemią a niebem. Wszystko, co zrobiłem dla niej zapewniało mi jej wdzięczność, a tymczasem jeden uśmiech lub spojrzenie rzucone z boku, mogło mi zabrać na wieki jej serce.

Jechaliśmy dłuższy czas w milczeniu. Powietrze

było duszne i upajające; Amelja parę razy skarżyła się na dziwny zawrót głowy i oslabienie, jakiego zaczęła doświadczać. Istotnie zauważałem, że była jeszcze bledszą, niż przed wyjazdem i zaproponowałem, by jechać jak najwolniej. Byliśmy już niedaleko od miejsca naszej majówki, z obu stron mieliśmy las brzozowy, zrzadka przesiany olszyną i świerkami. Jechaliśmy koń przy koniu, drożyna szła pod górę, koniom, które się ciągle rwały do biegu można było popuścić cugli — nagle spostrzegam, że moja amazonka wypuszcza z rąk cugle i jak bezwładna pochyla się w moją stronę. Co żywiej podtrzymałem chylącą się i spojrzawszy na jej twarz bladą i przymknięte powieki zrozumiałem, że zemdlała. Położenie moje było bardzo kłopotliwe, trzeba było coś radzić, trzeba było samemu zsiąść z konia, aby zsadzić Amelję, trudno zaś było zsiadać i podtrzymywać zarazem omdlałą amazonkę. Przez chwilę nie wiedziałem co uczynić; zatrzymałem jej konia i swego, a lewem ramieniem obejmując pochyloną ku mnie Amelję spoglądałem na nią z podziwieniem i pewną trwogą. Wreszcie spróbowałem zsiąść z konia nie przestając podtrzymywać Amelji i udało mi się to z niemałem wprawdzie wysileniem. Teraz trzeba było zsadzić z konia bezwładną amazonkę, i przenieść gdzieś na miejsce wygodne. Dla mnie, który nie miałem wprawy masztalerza, było to zadanie nie mniej trudne od poprzedniego. Udało mi się nareszcie zsadzić amazonkę, i z tym dziwnym a niespodziewanym ciężarem na rękach zejść z drogi na pobliską murawę, gdzie mój ciężar złożylem na ziemi.

Rola moja tu się jeszcze nie kończyła, trzeba było na gwałt dostać zkądkolwiek wody, aby otrzeźwić amazonkę. Na szczęście moje, zanim miałem czas powziąć jakie postanowienie, Amelja otwarła oczy. Uwiadomiłem ją o tem co zaszło, i pospieszyłem poprzywiązywać do drzewa nasze rumaki, którym na szczęście nie przyszła myśl ruszenia z miejsca. Powróciwszy do Amelji nie znalazłem na jej twarzy już ani śladu omdlenia i osłabienia, we wzroku tylko była pewna omdlałość.

Cała ta przygoda była tak niespodzianą, tak dziwną, że z początku nie zdawałem sobie z niej sprawy. Kiedy jednak Amelja zupełnie przyszła do siebie, czułem się w obec jej wzroku jakby zawstydzonym. Wstyd ten nie miał wcale słusznej przyczyny; kiedym trzymał omdlałą w objęciach nie miałem żadnej innej myśli prócz prędszego ratunku. Teraz jednak przypomnienie tej sytuacji i myśl, że Amelja wie o niej, czyniła mię nieśmiałym. Zdawało mi się, że przybywa jakiś nowy, fatalny węzeł do mojego stosunku z Amelją. Słodki obraz Heli niknął gdzieś w oddaleniu, miałem już ją za straconą dla mnie, gdy tymczasem czułem, że Amelja zaczyna panować nademną. Jeżeli podczas całej przygody omdlenia zmysły we mnie nie grały żadnej roli, to teraz się budzić zaczęły i to był zapewne powód mego zawstydzenia.

— Przepraszam pana, tyle panu kłopotu musiałam sprawić — mówiła Amelja — ale zechciej mi pan jeszcze rozpiąć, ściągnąć te rękawice, bo nie mam siły.

To mówiąc, podniosła się z ziemi, aby mi podać rękę, ale zapewne osłabiona jeszcze, nie mogła utrzymać się na nogach i zachwiawszy się, osunęła mi się w ramiona. Podtrzymałem ją, ale krew mi się w ogień zmieniła, i w skroniach tętnić zaczęło. Przestałem być panem siebie, nie wiedziałem co czynię, widnokrąg myśli mojej ścieśnił się do najwęższego koła bezpośrednich wrażeń zmysłowych, i zamiast by odsunąć Amelję i znów posadzić na ziemi, zatrzymałem ją w ramionach.

Było to we mnie omdlenie wszelkiej rozwagi, był to zawrót głowy, jaki się zdarza stojącym nad przepaścią. Trwał on krótko, ale gdy błysnął pierwszy promień refleksji, już było zapóźno. Ramiona Amelji krępowały mi szyję; głowę wsparła na piersiach moich i zaczęła płakać; poznałem to po łkaniu.

Nad wszystkiemi uczuciami jakie naraz za przebudzeniem się rozwagi powstały we mnie, górował przestrach jakiś nieokreślony i litość dla płaczącej. Zdawało mi się, że stracę wolę swoję na zawsze, że odtąd staję się na wieki niewolnikiem Amelji; ramiona, któremi otaczała mą szyję, wydały mi się kajdanami, których rozerwać już nigdy nie potrafię. Jej łzy były jakby poświęceniem mojej niewoli. Gdyby nie one, możebym próbował wydrzeć się jeszcze zaraz z fatalnego uścisku, który sam wywołałem; ale mając płaczącą kobietę na piersi, nie mogłem myśleć nawet o obrażeniu jej choćby lekkim ruchem. Stałem więc tak ciągle prawie nieruchomy jak posąg, trzymając ją w ramionach i pozwalając jej otaczać mi szyję rękami i płakać ze wspartą na moich piersiach głową.

Nie wiem jak długo tworzyliśmy taką gruppę, ale

wiem, że mi się ten czas wydał niesłychanie długim. Wreszcie Amelja odchyliła głowę, nie podnosząc jednak twarzy, i powoli ręce opuściła. Wypuściłem ją z ramion i ująwszy za obie dłonie zapytałem głosem, który nie musiał być zbyt spokojny:

— Jak się pani miewa teraz?

— Trochę lepiej — rzekła ciągle z pochyloną twarzą. — Trzeba jechać — dodała.

— Ale jechać konno pani nie możesz — zrobiłem uwagę.

— Więc cóż zrobimy? — powiedziała podnosząc twarz bladą i magnetyzując mię oczyma, które jeszcze świeciły wilgocią.

— Trzeba poczekać na doktora, który zaraz nadjedzie i odstąpi pani swego fiakra.

Nie wiem, cobym był dał za to w owej chwili, aby się nasze sam na sam skończyło, nie mogłem jednak dać innej odpowiedzi. Amelja usiadła znów na ziemi i oparłszy się o drzewo zaczęła rozpinać owe fatalne rękawice. Nie mogła ich rozpiąć; musiałem przysiąść koło niej i pomódz jej w rozpinaniu.

— Teraz jestem pańską niewolnicą — rzekła mi, kiedy zajęty rozpinaniem rękawiczki trzymałem twarz ku jej dłoniom schyloną.

— Niewolnicą, która trzyma swego pana w kajdanach — odpowiedziałem nie podnosząc głowy.

— Czy to prawda? Czy mi pan dasz choć najmniejszy dowód posłuszeństwa? Najmniejszej ofiary pan nie zrobisz dla mnie!

— Żądaj pani — powiedziałem.

— Odeślij pan Helę do jej rodziców, wszak nie żądam rzeczy nadzwyczajnej. Ach, pan milczysz — dodała po chwili — spodziewałam się tego.

— Cóż pani Hela zawiniła?

— Jestem zazdrosna. Pan się chcesz żenić z Helą, pan masz zamiar ożenienia się z Helą.

— Pani wiesz więcej o moich chęciach i zamiarach, niż ja sam.

— Nie wymagam, żebyś się pan do nich przyznawał, jak znowu nie potrzebujesz się ich pan zapierać. Co wiem, to wiem doskonale i to mi wystarcza. Wiem także, że pan byś nie znalazł szczęścia, tam gdzie je upatrujesz.

— To jest gdzie mianowicie?

— W związku z kobietą bardzo dobrą i bardzo nudną, która nic złego nie zrobi, bo nie potrafi, która kochać będzie męża, bo kochać musi wszystko cokolwiek widzi przy sobie, kota, psa, krowę, dzieci, która po zgonie psa ulubionego mniej wprawdzie łez wyleje, niż po zgonie męża, zawsze jednak tyle, że wystarczyłoby to na skropienie pamięci kilku mężów.

Przy ostatnich słowach Amelji ukazał się fiakier wiozący doktora i Jerzego i rozmowa nasza urwała się. Fiakier na moje skinienie zatrzymał się; wyprosiłem z powozu zdziwionych panów, wsadziłem tam Amelję, sam siadłem na konia do którego przywiązałem rumaka Amelji i jechałem powoli obok idących pieszo.

Kiedy już opowiedziałem towarzyszyszom, co można było opowiedzieć, o omdleniu Amelji, doktor zasapany

trochę z pospiesznego chodu i spoglądając na mnie, zrobił złośliwą uwagę:

— Uważasz Jerzy, że Daniel ma teraz postawę tryumfatora. Z jednego boku koń zdobyty na nieprzyjacielu, z drugiego boku dwóch jeńców pieszo podąża za nim, naprzód wysłana branka! Czegoż więcej potrzeba?

Zacząłem śmiać się, ale było mi nie do śmiechu. „Biada zwycięzcom“ pomyślałem sobie w duchu, skoro zwycięstwa są nieproszone, i skoro zwycięstwa te potrzeba opłacać utratą wewnętrznej równowagi. Byłem dziwnie rozstrojony; i przyszłość przedstawiała mi się jakąś falą mętną, szarą, której żaden złoty promień nadziei nie przedzierzgał. O Heli nie śmiałem myśleć, Amelja przejmowała mię strachem. To też kiedy doktor i Jerzy sadzili się na dowcipy, śmiałem się, ale śmiałem się jak za pańszczyznę.

Miejscem majówki była nie wielka polanka, łagodnie staczająca się w jar zarosły drzewami i krzakami. Kiedyśmy tam przybyli już na środku polany buchał dym i syczało ognisko, a do koła siedziały kobiety i uwijały się dzieci. Zaproszono nas do podwieczorku, który się składał z chłodnego mięsiwa i gorącej herbaty. Hela pomagała pannie Joannie w częstowaniu. Las, zieloność, swoboda wiejska musiały oddziaływać na nią; znalazła się w żywiole tak milym i dobrze sobie znanym, więc była nadzwyczaj wesołą i mowną. Zato pani Amelja była więcej niż kiedykolwiek milczącą i znużoną. Wzrok jej często spotykał się z moim, ale

częściej jeszcze spoczywał na radośnej, wiosennej postaci Heli.

Po podwieczorku Hela zabrała dzieci i w las się puściła.

— A proszę nie zabłądzić, panno Heleno — wołał za nią doktor.

— O! w lesie nie zabłądzę, prędzej w mieście — powiedziała i zwinnie odgartując gałęzie i puszczając dzieci przed siebie, znikła wraz z niemi w zielonej gęstwinie.

Ta jej swoboda i wesołość miały coś dla mnie bardzo przykrego; zdawało mi się, że, jeśli tak wesoło opuszcza nasze towarzystwo, nie dba zatem o nikogo z nas, to jest nie dba o mnie; zdawało mi się naprawdę, że jestem dla niej takim tylko dobroczyńcą, o którym mi w drodze mówiła Amelja.

Majówka przeszła nam dość niewesoło. Doktor odgrażał się, że drugi raz nie urządzi majówki, dopóki każdy z uczestników nie złoży świadectwa dobrego humoru.

Wieczór zapadał, potrzeba było wracać. Zaraz po przyjeździe do lasu wysłałem był posłańca na moim koniu po powóz Amelji, gdyż konno wracać nie mogła. Konia kazałem oddać tam, zkąd go pożyczyłem, a sam miałem się przysiąść do którego z powozów. Kiedyśmy się już zabierali do odjazdu i kiedy prowadziłem Amelję do jej powozu, szepnęła mi na ucho:

— Pan pojedziesz ze mną.

Szepnęła tonem w którym nie było ani pytania, ani powątpiewania, ale najczystszy i najspokojniejszy

rozkaz. Panował on tak dziwnie nademną, że ani mi przyszło na myśl sprzeciwiać się jemu. Siadłem obok Amelji, drzwiczki zatrzasnąłem za sobą i już mieliśmy ruszyć, kiedy w oknie karety ukazała się główka Heli i obok niej senna główka małego chłopczyka, którego trzymała na ręku.

— Może państwo zrobicie łaskę i weźmiecie Mundzia, który jest trochę niezdrów i senny i mógłby się przeziębić w odkrytym powozie.

Zanim pani Amelja miała czas odpowiedzieć, jużem wyciągnął ręce po chłopaka i wsuwałem go przez okno do powozu.

— Tylko czy mu tu dobrze będzie? spytała Amelja. Możeby z ojcem lepiej było?

— Pan Zarewski już pojechał — powiedziała Hela. — Pan Daniel lubi Mundzia, to go będzie pilnował. Na naszym wózku mógłby się Mundek przeziębić, tem bardziej, że deszcz tylko co nie widać, jak zacznie padać.

Amelja nic na to nie odpowiedziała, a Hela, pożegnawszy nas skinieniem głowy, odeszła. Umieściłem chłopaka pośrodku, pomiędzy sobą a Ameljąa, powóz ruszył, deszcz zaczął padać, więc podniosłem okno, zmierzch stawał się coraz gęstszy. Jechaliśmy w milczeniu. Chłopak niebawem zasnął, skłoniwszy głowę na kolana Amelji.

— Czyś pan kontent z majówki? — spytała mię po dłuższem milczeniu Amelja.

— Nie — odpowiedziałem — bo z przestrachem widzę, że przestaję być panem siebie. Tracę wolę swoją, czy może być większe nieszczęście?

— Tracisz pan wolę swoją? zaraz się dowiemy. Czy wiesz, dla czego powiedziałam panu, byś jechał ze mną? Oto żeby się przekonać, czy pan masz wolę, czy pan potrafisz dopełnić obietnicy.

— Obietnicy?

— Jeżeli pan mówiłeś przed kilku godzinami: żądaj pani, to zapewne nie dla tego, aby odmawiać żądaniom.

— To się rozumie. Teraz to samo powtarzam: żądaj pani.

— Już żądałam. Pan odeślesz Helę do jej rodziców.

— Ależ Hela nie jest moją niewolnicą, mogłem ją umieścić u doktora, ale nie mam prawa bez powodu wyrywać jej ztamtąd. Oddalenie jej zależy dziś wyłącznie od doktora lub rodziców.

Amelja nic na to nie odpowiedziała; bałem się, żeby się nie obraziła moją odmową, a raczej bałem się, żeby moja obietnica nie wyglądała na żart obraźliwy.

— Czemuż pani nie żąda — powiedziałem po krótkiem milczeniu — czegoś, co tylko odemnie zależy? i co istotnie leży w granicach...

— W granicach — powtórzyła ironicznie Amelja — w granicach nic nie znaczącej grzeczności, chciałeś pan powiedzieć.

— Pani najniesłuszniej czuje się obrażoną.

— Tak, niesłusznie przypisywałam słowom pańskiego wezwania jakieś znaczenie, większe od znaczenia pro-

stej grzeczności. Widać, że za mało miałam jeszcze doświadczenia, i nie mogłam poznać się na żarcie, jaki się panu podobało ze mną uczynić.

Przy tych ostatnich słowach były już łzy w głosie, jak deszcz wiszący w powietrzu. Uczułem niewymowny żal; zdawało mi się, że istotnie obraziłem kobietę najboleśniej; chciałem naprawić obrazę za jakąkolwiek cenę.

— Chcesz pani, abym przestał codziennie widywać Helę?

— A lekcje?

— Już lekcje moje są prawie zbytecznemi. Jeżeli pani każesz — wymówiłem to ostatnie słowo z naciskiem — przestanę dawać lekcje Heli, chociażby od jutra.

— A jeśli błagać będę — powiedziała tonem pełnym radości i wyciągnęła ku mnie rękę.

Nachyliłem się, aby ucałować rękę i uczułem nagle twarz przy twarzy i ramię do koła szyi.

Chłopak śpiący na kolanach Amelji poruszył się i zaczął przez sen stękać. Niebezpieczna sieć prysła; wziąłem chłopaka do siebie na kolana i starannie go otuliłem. W powozie tak ciemno było, że nie mogłem widzieć twarzy Amelji; jej owal blady świecił mi tylko we zmroku, jak księżyc przez mgły.

— Kobieta tyle jest wartą, ile mężczyzna jest słownym — powiedziała po dłuższem milczeniu.

Rozważałem długo tę dziwną sentencję, z samych zagadek splecioną. Wiedziałem, że miała na

myśli moją słowność i chciała mię ogrodzić od pokusy niedotrzymania słowa.

— Nie wiem, co powie przyszłość, dotychczas jednak moja słowność nie zmykała z placu.

— A ja właśnie troszczę się o przyszłość.

Powróciłem do siebie w dziwnem jakiemś obałamuceniu ducha. Czułem, że webrnąłem po kolana w jakiś stosunek, którego sobie nie życzyłem wcale, czułem, że gdzieś zbaczam w manowce z drogi, której dotąd trzymałem się ściśle, i chociaż także nie wiedziałem dokąd mię ta droga zaprowadzi, przecież roiłem sobie na niej jakieś nieokreślone nadzieje. Teraz rzucałem tę drogę, rozstawałem się z jej nadziejami, byłem zły i smutny w głębi, a przecież doznawałem powierzchu pewnej głupiej radości, że oto jest ktoś, kto do mnie wyciąga ręce, że jestem dla kogoś skarbem, jeśli nie na długo, to przynajmniej na chwilę.

Na szczęście byłem nadto zmęczony wycieczką, abym mógł długo rozważać i rozbierać wszystkie wrażenia dnia tak obfitego i zasnąłem prędko.

Nazajutrz otwierając oczy, ujrzałem przed sobą Karola. Stanęły mi zaraz w pamięci wszystkie przygody dnia wczorajszego i przeraziłem się ich. Przeraziła mię także twarz Karola posępna; gotów byłem przypuszczać, że już wie o wszystkiem i przychodzi żądać odemnie rachunku.

— Słuchaj — powiedział mi — wszak widujesz się z Amelją?

— Tak, widuję się.

— Potrzeba, ażebyś ją ostrzegł, że wkrótce z ma-

jątku jej ojca nie zostanie nic, przynajmniej tak mało, że zaledwie się będą mogli utrzymać. Niech się jej ojciec stara co prędzej wycofać z tego przedsiębiorstwa, z tej fabryki papieru, która go może rzucić w ostateczną nędzę, dzięki własnemu jego niedołęstwu i przewrotności wspólników. Proszę cię, zrób to co prędzej. Miałem to tylko powiedzieć, więc żegnam cię, bo mi spieszno.

Karol wyszedł, a ja zostawszy sam, miałem czas dopiero oddać się rozważaniu wszystkich wspomnień z dnia wczorajszego.

Zawstydziłem się dopiero moich przyrzeczeń danych kobiecie, która chciała gwałtem zapanować nademną, a dla której mogłem być tylko igraszką chwilowego, chorobliwego usposobienia. Gdybym kochał przynajmniej tę kobietę? Ja jej się bałem; czułem, że mogła by mię spętać, że już mię zaczęła pętać ta mistrzyni, co tak umiała grać na mojej wyobraźni i zmysłach, i czułem, że spętawszy, zrobiłaby ze mnie najnędzniejszego z ludzi. A przytem Karol! Mój przyjacielski stosunek z Karolem musiałby stać się haniebną obłudą. On stawałby przedemną spokojny, pełen zaufania, a jabym go musiał ciągle oszukiwać. Na to, żeby mu powiedzieć wszystką prawdę, nie miałem siły, nie umiałbym go tak skaleczyć boleśnie.

Potrzeba było szybko coś postanowić, potrzeba było szybko wycofać się. Małym kosztem dokązać tego nie można było; ale byłem gotowy na wszystko. Pierwsza rada, jaka mi się nawinęła, było: wyjechać. Potem zapytałem siebie dokąd? Odpowiedź była: na wieś. Lato

sprzyjało podobnemu wyjazdowi; względy zdrowia i oszczędności przemawiały za tem. Innym względom czyniło się zadość najzupełniej: nie tylko uciekałem od Amelji, ale i dopełniałem danych jej przyrzeczeń: przestawałem dawać lekcje Heli, przestawałem Helę widywać. Nie mogła mi zatem zarzucić, żem nie dotrzymał słowa. Dotrzymywałem słowa i uciekałem od niebezpieczeństwa.

Uciekam także od Heli, od moich nadziei malowanych, co mi tak zblakły teraz, ale tem lepiej, im dalej będę od nich. Niech mi zostaną tylko jako wspomnienia, a jeszcze będą nieraz osłodą.

Postanowiłem nieodwołalnie wyjechać, a jednak myśl, że uciekam od Amelji, w chwili gdy ruina jej grozi zupełna, zachwiała na chwilę to postanowienie. Powstrzymać się z wyjazdem? starać się wydźwignąć ją z niebezpieczeństwa? stawały mi takie pytania w myśli, ale w odpowiedź na nie czułem, że wydźwigając Amelję z ruiny majątkowej, sam się w ruinę moralną zagrzebię. Zresztą pomyślałem sobie, że i zdaleka, jeśli będzie tego potrzeba i możność, będę mógł być jej pomocnym za pośrednictwem doktora lub Karola.

Oznajmiłem dzisiaj mój zamiar doktorowi, i zlałem na niego polecenie dane mi przez Karola. Z zamiaru mojego doktor był rad bardzo.

— Zrobisz, co możesz zrobić najlepszego — powiedział mi. — Potrzeba ci właśnie jak najwięcej słońca, powietrza i drzew; potrzeba ci wsi jednem słowem i ruchu wiejskiego.

Hela przyjęła wiadomość o moim odjeździe z po-

wagą i uszanowaniem, pod którem nie mogłem dopatrzeć żadnego żywszego uczucia. Gdyby mię choć trochę kochała, wydałaby się z tem na wiadomość, że się z nią rozstaję, na czas dłuższy, że przestaję być jej codziennym gościem. Przyjęła wiadomość w milczeniu i ze spokojem, który mi resztę szalonych zabierał nadziei.

— Cóż mam powiedzieć rodzicom od pani? — zapytałem.

— Że ciągle myślę o nich.

XII.

24. czerwca.

Więc mieszkam tedy na wsi, oddycham powietrzem wiejskiem, karmię się potrawami wiejskiemi, kładnę się wcześnie spać po wiejsku, wstaję wcześnie, czasem o wschodzie słońca, kąpię się z nudów okropnie często — jednem słowem prowadzę żywot w niczem niepodobny do poprzedniego.

Ach jak się Jędrzej cieszy, kiedy mię ujrzy siadającego na konia o wschodzie słońca!

— Gdyby pan tak co dzień o tej porze wstawał i jeździł, toby się pan w żelazo zamienił — powtórzył mi to już parę razy. Wyznam, że mi pochwała i radość jego są bardzo przyjemne, i wczoraj naprzykład, tom wstał o wschodzie słońca najwięcej dla Jędrzeja,

który mię sam budził, bo mi się chciało spać okrutnie i poduszka magnetycznie ciągnęła ku sobie. Za to pozwalam sobie czasem w dzień się przespać przed obiadem.

To dziwna rzecz, jak to życie prawdziwie wiejskie oddziaływa na moje usposobienie. Doprawdy gotów jestem wierzyć, że wieśniak musi być głupim, dla tego tylko, że jest wieśniakiem, to jest że je dużo, wstaje wcześnie, idzie spać z kurami, przestając ciągle z naturą, nie potrzebuje myśleć, bo z naturą, tak jak z kochanką, dość jest patrzeć sobie w oczy. Przez cały czas pobytu mego na wsi doświadczam dziwnej ociężałości umysłu. Myślałem, że tu będę mógł bardzo wiele czytać, że będę często szukał ucieczki od nudów w pisaniu tych pamiętników, tymczasem... — ach! czytam wprawdzie, ale wstyd mi nawet przyznać się, co czytam! Romanse francuskie! Znalazłem na strychu (na górze, jak tu mówią) kilka powieści Dumasa i Eugenjusza Sue, stary zabytek jakiś, może jeszcze ojcowski, i zacząłem je czytać z oburzającą przyjemnością. A kiedy chcę się zwrócić do dawnego mojego pokarmu, i zacznę czytać książkę treści naukowej, już po kilku kartach czytania czuję, jak jakieś koła senne rozbiegają mi się po skroniach i czole, wzrok tężeje i już zdolny jestem tylko do zaśnięcia.

Pisać mi się także nie chce; najlepszy dowód, że od trzech tygodni pobytu mego na wsi po raz pierwszy dziś zasiadłem do pamiętników, mimo, że czasu mam, ile beduin stepu.

Za to nabrałem wielkiej ochoty do gospodarstwa,

i nieraz wyręczam Jędrzeja. Sprawia mi to przyjemność, naprzód dla tego, że wprowadza rozmaitość w zajęcia moje; powtóre, że kiedy zajmuję się jakąś sprawą gospodarską, to zdaje mi się, że robię coś niewątpliwie pożytecznego. Gospodarstwo przytem stawia człowieka w bezpośrednim stosunku z przyrodą, a stosunek ten owiewa go zawsze pewnym spokojem. Bo przyroda nie zna ani kłamstwa, ani podstępu, więc choć z nią walczyć nieraz musi, walka ta nie uczy go złych środków.

Już to stosunek gospodarza do przyrody wart bliższego ocenienia. Dla marzyciela przyroda może być kochanką, nieobowiązaną do niczego, chyba do słuchania jego westchnień platonicznych; dla gospodarza jest ona prawowitą małżonką, która winna się uiścić z przepisanych obowiązków. Ale ta prawowita małżonka nie zawsze jest powolną i posłuszną; miewa chwile szału i kaprysu i wtedy się dramat małżeński odegrywa. Po gwałtownych scenach zwady małżeńskiej następuje naturalnie pojednanie. Tym sposobem gospodarz przechodzi całą skalę wrażeń od bezsilnego gniewu do niezasłużonej radości, tym sposobem zagrożony ciągle kaprysem małżonki, uczy się cenić chwile pogodnego pożycia i korzystać z nich jak najwięcej.

Te uwagi przyszły mi na myśl wczoraj, kiedym dozorował, a raczej towarzyszył zwożeniu siana. Ranek był prześliczny, ale ku południowi zaczęło być parno i można było oczekiwać deszczu. Parobcy i dziewczęta w ogromnym pośpiechu rzucali siano na wozy i odwlekali chwilę wypoczynku, żeby tylko coś utargować u deszczu. Istotnie może wpół godziny potem z czarnej,

wielkiej chmury puścił się biały deszcz rzęsisty i przerwał robotę. Wielkiej szkody nie zrobił, a oświeżył powietrze nadzwyczaj przyjemnie. Do domu lub do jakiej chaty było daleko, abym się mógł natychmiast schronić, nie uciekałem więc, ale mierzonym krokiem wracałem do domu, a że byłem w stroju płóciennym, więc nawet dość ochoczo przyjąłem tę kąpiel deszczową. Przyszedłem do domu zmoczony do nitki, i coprędzej przebrawszy się w suche odzienie, zasiadłem do obiadu z takim wilczym apetytem, z jakim nie pamiętam czym kiedykolwiek zasiadał. Zmiatałem pierogi z jagodami z zapamiętałością parobka stajennego, i widziałem z jaką rozkoszą patrzała na to Antonina, która teraz zdaje się nad tem tylko przemyśliwać, jakiemi potrawami trafić mi do upodobania.

Całe to intermezzo deszczowe zamiast być przykrością, było mi prawdziwą rozrywką i w ogóle rozmaitych rozrywek gospodarstwo wiejskie nastręcza wiele. Były już jednak chwile, kiedy nie wiedziałem, co z czasem zrobić, czytać mi się nie chciało, gospodarskiego zajęcia, któreby miało jakąś ponętę dla mnie, nie było, przyroda wiejska, z którą ciągle przestaję, wydała mi się za nadto niemą i chłodną, jakby znużoną ciągłem towarzystwem mojem. Zachciało mi się ludzi i wtedy pomyślałem, ażeby zawiązać pewne stosunki w sąsiedztwie. Juściż tam rozkoszy sobie nie obiecywałem, ale nie o nią mi chodziło, szukałem tylko zmiany wrażeń. A w sąsiedztwie już mówiono o mnie bardzo wiele i wszyscy ciekawi byli mnie poznać. Tak mi powiedział ksiądz wikary z pobliskiego miasteczka,

który był niedawno przez parę godzin moim gościem, a zkądinąd się dowiedziałem, że mają mię za dziwaka, jakiego dotąd ziemia nie nosiła. Słyszeli coś o Heli, o moim pojedynku z Chocimskim i z tego całą legendę utworzyli. Najwięcej zaś zdaje się ich zadziwiać i niepokoić mój stosunek przyjacielski do Jędrzejostwa. Dowiedziałem się przytem, że mają mię za bardzo uczonego i bogatego, ale trwoniącego pieniądze na książki i dziwactwa.

Bawiło mię to, że obudziłem takie zajęcie w sąsiedztwie, jeszcze więcej bawiła mię sława uczonego dziwaka. Ba, jeżeli dobrze zrozumiałem, co mi powiadano o tej sławie, to w niektórych domach uważano mię za człowieka, któremu się jedna klepka w głowie osunęła, co resztą nie miało nic ujmować książkowej mądrości mojej. Wszystko to dodawało mi ochoty do zawiązania stosunków sąsiedzkich. Otóż pewnego poobiedzia, dziś tydzień, jeśli się nie mylę, kiedy mi się zatęskniło do ludzi, siadłem na parokonny wózek i kazałem wieść się do państwa Otrębskich. Dom ten jest najwięcej poważany w sąsiedztwie i ma być najbardziej gościnny. Prócz tego powiadano mi, że kobiety w tym domu odznaczają się wyższem wykształceniem.

W istocie przyjęty byłem bardzo gościnnie i etykietalną wizytę moją przedłużyłem na naleganie gospodarza aż do wieczora. Gospodarz, pan Otrębski, jest typem serdecznego sąsiada; zdaje się, że wszystko gotów zrobić przez przyjaźń sąsiedzką pod warunkiem, rozumie się, że to nie będzie sprzeczne z wolą tryumwiratu, złożonego z teściowej, żony i córki jedynaczki. Co się tyczy tryumwiratu, ten mię także przyjął bardzo mile. Stara teściowa starała się z lekka mię wybadać, czy doprawdy jestem takim dziwakiem, za jakiego mię ogłoszono, pani Otrębska mówiła ze mną dość nawet rozsądnie o gospodarstwie, panna Michalina zachwycała się poezją. Panna Michalina jest to dość przystojna o pełnej twarzy blondynka i dobra, zdaje się dziewczyna, ale głowę ma zawróconą wierszami. Na stole leżał jakiś zbiorek poezji, któregoś z tysiąca młodych wierszokletów; panna Michalina, kładąc dłoń na książce zapytała mię:

— Znasz pan „Westchnienia i burze“?

— Cóż to jest, proszę pani? — spytałem.

— Poezje Wincentego Buzdygana. Ale to jest pseudonym.

— Pseudonym? Nic nie wiedziałem o tem.

— Co za wzniosłe obrazy! Czasami doprawdy zbliża się do Słowackiego. A potoczystość! Słowa zdają się płynąć potokiem.

Wziąłem książkę do ręki i na chybił trafił otworzywszy, zacząłem czytać. Z czytanego pamiętam ten dwuwiersz:

Gwiazdy chcą płakać, księżyc się szamota,
I w mojem sercu okropna tęsknota.

Przeczytałem ustęp z wielką powagą i zapytałem:

— A ten ustęp jak się pani podoba?

— Prześliczny.

— Czy pani uważa, że poeta jest bardzo śmiały?

— Obrazy ma bardzo śmiałe, jak Słowacki.

Zacząłem znowu czytać:

„Gwiazdy chcą płakać, księżyc się szamota...“

— Czy pani uważa, że to jest więcej niepodobieństwo, niż obraz: „księżyc się szamota.“

— O tak znów na wagę poezji brać nie można. Poeta w natchnieniu często nie wie, co pisze.

— Ma pani zupełną słuszność, ale po cóż drukuje?

Panna Michalina spojrzała na mnie wzrokiem niedowierzającym. Przestaliśmy mówić o poezji, zaczęliśmy mówić o życiu wiejskiem, o zabawach sąsiedzkich. Matka pani Otrębskiej pytała mię, czy się nie nudzę, sam mieszkając w Rohatyczach.

— Nie mogę powiedzieć, żebym się bawił; ale znów nie jestem tak samotny, jak pani powiada. Mam towarzystwo bardzo poczciwych ludzi, mojego rządzcy i jego żony.

Chwila milczenia nastąpiła po moich słowach, ale niebawem teściowa przemówiła:

— Tak, ale pan przyzwyczajony w mieście do towarzystwa wykształconego...

— Na wsi znajduję je w sąsiedztwie — palnąłem tanim kosztem komplement, który podobał się kobietom, mimo iż nazwały go pochlebstwem.

W ogóle podczas tych odwiedzin zauważyłem w sobie przypływ łatwości towarzyskiej, obcej mi zwykle. Mówiłem o rzeczach, które mię nic a nic nie obchodziły, bez przykrości, czułem potrzebę wygadania się. Zdaje się, że głupieję na dobre, ale za to wyglądam jak róża, jak mi powiedziała dzisiaj Antonina.— A jednak ta moja łatwość towarzyska, to dobre usposobienie, które mię teraz nie opuszcza, ta pogoda życia wiejskiego, wszystko to jest tylko odbłyskiem nadziei, która mi nie przestaje świecić począwszy zaraz od pierwszego dnia przyjazdu do Rohatycz. Tego dnia bowiem jeszcze oznajmił mi Jędrzej, że chce sprowadzić Helę do siebie na czas żniwa, a może i zupełnie odebrać od doktora. Ona więc tu przyjedzie za dwa, za trzy tygodnie; będę ją widział ciągle, będę z nią mówił, ona mi będzie słońcem które nie zachodzi, jak dziś zdaleka jest zorzą zwiastunką.

Czasami lękam się, że kiedy ja tu na wsi pozwalam sobie jeszcze kołysać się słodkiemi nadziejami, tam w mieście ktoś mi może zabrać serce Heli, i już wtedy nie jej obojętność, ale jej miłość dla innego zagrodzi mi drogę do wymarzonego szczęścia. Do mego odjazdu prawie byłem pewny, że jeszcze nikomu serca nie oddała, ale teraz? Czy na to potrzeba długiego czasu? A wiem, że kiedy serce odda, to odda bezpowrotnie.

Wprawdzie miewam listy od doktora i Jerzego, ale co z tych listów dowiedzieć się mogę? Ukłony mam zawsze od Heli; sądzą, że mi przyjemność sprawią przesyłając te urzędowe ukłony.

Dowiedziałem się także, że pani Amelja odwiedza często pannę Joannę i Helę, że sprzedała konie i powóz, że interesa jej ojca w coraz gorszym stanie. Poleciłem Jerzemu, aby zniósł się z Karolem i w razie potrzeby wsparł moim kredytem ojca Amelji.

Nie śmiałem nalegać na Jędrzeja, aby przyśpieszył przyjazd Heli. Boję się trochę tej natury żelaznej i czasem podejrzliwej, i nie chciałbym najmniejszem słówkiem wydać się przed nim z uczuciami memi dla Heli. Dopiero teraz dowiedziałem się od Antoniny, że nie bardzo był rad temu, że Hela została w mieście na nauce i miał zamiar prędko ją odebrać ztamtąd; ale przekonawszy się, że Heli w domu nie mogło być lepiej, jak u doktora, zgodził się wreszcie na dłuższą naukę córki. Powiedział mi jednak niedawno, kiedyśmy o Heli rozmawiali, głosem bardzo wątpiącym:

— Dałby Bóg, żeby jej na lepsze wyszła ta nauka.

XIII.

15. lipca.

Piętnastego lipca! Spojrzałem na pierwszą stronnicę tych pamiętników, i znalazłem tę samą datę. Jakże niepodobny jestem dziś do tego, który przed dwoma laty rozpoczynał pisać te pamiętniki, rozpoczynał niewiedząc co pisze, i ani przeczuwając tych bliskich już wypadków i prądów, które go miały chwycić w zaczarowane koło i przeobrazić w nowego człowieka. Kiedy sobie przypomnę siebie przed dwoma laty, to mi się ten „ja“ dawniejszy wydaje jakąś istotą marną po za kręgi życia wyrzuconą, jakiś obłok szary przepływający nad ziemią i idący spać w wąwozy gór. Dziś czuję

krew w sobie, czuję gwałtowne zaćmienia bolu i cudowne rozbłyski radości, czuję żem przytwierdzony do życia potężnemi węzłami, które gniotąc mię i raniąc, jeszcze chwil mnóstwo roskosznych przynoszą.

Dziwne też są te węzły, w dziwnem mię stawią położeniu. Oto tu w Rohatyczach na pozór i z prawa jestem panem; wszystko się winno dziać według mojej woli, wszystko ma czynić zadość moim życzeniom.

Tymczasem od chwili przyjazdu Heli wydaje mi się, że jestem tu natrętem, przesiadującym z łaski, który się ciągle boi, aby mu nie kazano przestać dokuczać i odejść.

Przyjazd Heli był dla mnie uroczystem świętem, na które przez ostatni tydzień wyczekiwałem w istnej gorączce niecierpliwości. Tem trudniej i ciężej było mi czekać, żem radość moją i oczekiwania nie mógł z nikim podzielić; niosłem jedno i drugie w lasy i na pola. Czasami z Antoniną zagadałem trochę o przyjeździe Heli, ale urywałem prędko z obawy, żeby się mimowoli nie wydać z tajemnemi uczuciami. Najtrudniej mi jednak było samegoż dnia jej przyjazdu; nie wiedziałem od rana, co z sobą zrobić, gdzie się podzieć, jak doczekać jej przybycia, a najważniejsza jak i kiedy ją powitać. Gdybym śmiał dać wolę chęciom, tobym zaraz rano wyszedł naprzeciw jadącej, Bóg wie jak daleko, aż do spotkania. Ale zrobić tego nie mogłem. Nie chciałem także czekać na nią w domu; wyszedłem w pole, w zamiarze powrócenia po kilku godzinach, kiedy już prawdopodobnie zastanę Helę w domu. Nie mogłem jednak długo wytrzymać w polu, i po

godzinie wróciłem. Heli nie było jeszcze, zkąd mogła być zresztą tak wcześnie? Wyszedłem znowu i puściłem się w kierunku niezbyt oddalonym od drogi, którą miała przyjechać. Patrzałem pilnie w tę stronę i ujrzałem tuman kurzu i jak mi się zdało wózek parokonny, wynurzający się z tego tumanu, co żywiej puściłem się do domu, w przekonaniu, że już tam Helę zastanę. Tymczasem to ktoś inny gdzie indziej pojechał.

Nadeszła pora obiadowa; zasiadłem, jak zwykle do stołu z Jędrzejostwem, ale nie mogłem nic jeść; podziwiałem tylko spokój rodziców Heli, którym oczekiwanie nie przeszkadzało wcale ze smakiem jeść obiadu. Antonina zatrwożyła się tem, że nic nie jem; przecież to były potrawy, które ja zwykle tak ochoczo spożywałem. Potrzeba mi było skłamać, żem w rannej wycieczce objadł się gdzieś mleka kwaśnego i to trochę uspokoiło poczciwą kobietę. Przy obiedzie dopiero dowiedziałem się od Jędrzeja, że Hela aż wieczorem zapewne nadjedzie. Nie wiedziałem co zrobić z tak długim czasem do wieczora; nie tylko ani czytać, ani pisać, ale nawet myśleć nie mogłem. Cobym był dał za to, żebym mógł przespać ten czas. Przyszła mi wówczas myśl rozpaczliwa, która się jednak w istocie okazała dość skuteczną, pojechać w odwiedziny do państwa Otrębskich. Ubrałem się i pojechałem jak najmniej usposobiony do bawienia, i bawienia się w towarzystwie, przecież zaprzągłszy się dobrowolnie w to jarzmo wizyty, obracałem deptak towarzyskiej rozmowy wytrwale i ani spostrzegłem, jak się dzień nachylił.

Przyjmowano mię nadzwyczaj mile, panna Michalina ani wspomniała o poezji, a kiedy chciałem wyjechać przed herbatą, powołując się na mniemane sprawy wielkiej wagi, nie puszczono mię. Dość że późnym wieczorem dopiero wyrwałem się ztamtąd i kazałem pędzić woźnicy, co miały sił konie, do domu.

Serce mi mocno biło, pełen byłem radości i trwogi, której rozwaga poskromić nie mogła. Zdawało mi się, że zaraz z wyrazu twarzy Heli wyczytam wyrok dla siebie; że zaraz poznam, czy oddała już komu serce, czy też jest zupełnie jeszcze swobodne. Koło dziesiątej już było, kiedym przyjechał do domu. Po bryczce stojącej przed wozownią poznałem, że Hela przyjechała, ale na ganku zastałem tylko Jędrzeja, który mi powiedział, że kobiety już spać poszły, bo Hela zmęczona drogą i oddał mi listy, które przywiozła od Jerzego i doktora. Zły byłem na siebie, że się spóźniłem, ale i obrażony trochę na Helę, że tak jej wszystko jedno było, czy mię dziś, czy jutro powita.

Poszedłem do swego pokoju, położyłem się, ale czytać nie mogłem, i usnąć nie mogłem. Przecież ta bezsenność nie była przykrą. Jakiegoś dziwnie przyjemnego uczucia doznawałem na myśl, że jestem pod jednym dachem z Helą. Głęboka cisza panowała w domu i do koła i wydała mi się uroczystą, jak nigdy; zdawało mi się, że stoi na straży snu Heli, że wyciągnęła ramiona, aby najmniejszego nie dopuścić szelestu. Na tle tej ciszy i ciemności zacząłem snuć rojenia za rojeniami, jedne przyjemniejsze od drugich. Byłem właścicielem Rohatycz, Hela była moją żoną,

dokoła nas dyszała atmosfera miłości i pokoju. Wszystko w domu, ku czemu zwróciła dłoń kochającą, zdawało się odpowiadać jej uśmiechem i wdziękiem. W domu i za domem wszyscy ją błogosławili; wieśniacy widzieli w niej słońce opiekuńcze, sąsiedzi ze czcią witali ją przy spotkaniu, a ja ciągle dbałem o to, aby męską pracą po za domem zasłużyć sobie na jej wdzięczne spojrzenia, a może nawet na jej uwielbienie, aby ciągle być godnym takiego skarbu. Tysiące obrazów na ten temat przesuwało mi się w wyobraźni, coraz mętniejsze były, coraz dalsze od rzeczywistości, wreszcie zasnąłem.

Przebudziłem się dość późno. W pokoju moim było pełno wrzawy słonecznej. Zerwałem się na równe nogi i począłem ubierać się z szalonym pośpiechem. Ubrawszy się i wypiwszy duszkiem kawę, ku podziwieniu Łukasza, który nic a nic nie rozumiał mojego pośpiechu, wypadłem z pokoju, aby się z Helą obaczyć. Zastałem ją w ogrodzie. Z daleka już ujrzałem jej niebieską sukienkę w pośród krzaków malin i naprzełaj przez trawniki spieszyłem w tę stronę. Powitała mię z uśmiechem na ustach, a przecież z przerażeniem spostrzegłem w jej oczach ślady źle ukrytego smutku i świeżych łez. Hela płakała, płakała nazajutrz po przyjeździe do rodziców, z któremi się oddawna nie widziała! Cóż innego mogło być przyczyną łez, jak nie żal za miastem, i za osobami, które tam zostawiła? Te łzy, a jeszcze bardziej ten uśmiech, którym starała się pokryć swój smutek, ta pierwsza próba obłudy, jaką kiedykolwiek w niej spostrzegłem ostudziła

mię nagle w zapale serdecznego powitania. Przywitałem ją o ile mogłem najchłodniej, a potem powiedziałem:

— Pani się tu nudzić będzie w Rohatyczach.

— Tyle tu jest roboty, szczególnie podczas żniwa. Matka potrzebuje pomocy.

— A książki? czy je pani zabrała z sobą?

— Zabrałam wszystkie; ale przez żniwa dam im pokój...

— Jakaż tak wielka praca czeka panią podczas żniw?

— Nie jest to wielka praca, ale dużo zajęcia. Trzeba przygotować jadło i napój dla żniwiarzy, to znów matkę wyręczyć w ogrodzie, jak teraz naprzykład...

— Cóż będzie z tych malin, które pani zrywa?

— Będą konfitury.

Ta chłodna rozmowa w chwili powitania, w chwili na którą tak długo czekałem, którą stroiłem w wyobraźni wszystkiemi kolorami jutrzenki, rwała mi serce, a przecież nic na to poradzić nie mogłem. Rozmyślałem już nieraz, czyby nie lepiej było, żebym zamiast trzymania się takiego na wodzy jak dotąd, podstąpił ku Heli śmiało, wziął ją za rękę, i wypowiedział wszystko, co czuję dla niej jasno, szczerze i odważnie.

Ale któżby mi dał wówczas pewność, że Hela mię kocha? że oddając mi się, nie uczyni tego przez bojaźń, wdzięczność, z namowy rodziców, przez chciwość wreszcie, i tego bym się nawet wówczas gotów był lękać. Przychodzą mi zawsze na pamięć w takim razie słowa Amelji o wdzięcznej obłudzie, i włosy mi stają na głowie z przerażenia na myśl, że poślubiwszy

Helę, mógłbym być ciągle oszukiwany przez nią — z wdzięczności.

Chciałem się koniecznie dowiedzieć, co znaczyły owe ślady smutku i łez u Heli, których ukryć nie potrafiła przy powitaniu, i czatowałem na chwilę sposobną, aby sam na sam rozmówić się o tem z Antoniną. Znalazłem wreszcie taką chwilę wczoraj i spytałem Antoniny:

— Cóż Hela żałuje miasta?

— Gdzież tam, rada bardzo, że tu przyjechała.

— Zdawało mi się, że posmutniała...

Antonina spojrzała na mnie uważnie i niespokojnie.

— Nie uważałam tego — powiedziała. — Muszę się rozpytać dziewczyny. Ale zkądżeby...

— Może zostawiła kogo w mieście, za kim jej tęskno?...

— Tak pan myśli? Muszę pomówić o tem z Jędrzejem i rozpytać się dziewczyny.

Rad jestem z tej rozmowy z Antoniną, obiecuję sobie dowiedzieć się przez nią to, o co nie śmiałem wprost zapytać Heli.

Mimo, że już od kilku dni tu bawi, zaledwie parę razy miałem sposobność i to na krótką chwilę, pogadać z nią sam na sam. Ciągle zajęta, tysiącznemi robotami zakłopotana, które gdzieś z pod ziemi chyba wydobywa, ciągle przy matce, albo w jej pokoju, zdaje się nie tęsknić przez jedną chwilę nawet do książki i do rozmowy o czemś innem, niż gospodarstwo i sprawy domowe. Patrząc na nią dzisiaj ledwie wierzę sobie, że to ta sama Hela, tak niedawno jeszcze rozmiłowana w słuchaniu opowiadań o rzeczach dalekich, wiecznie spragniona książki i w każdej wolnej chwili spieszącą do niej. Zaczęło mię to już gniewać i wczoraj spotkawszy ją sam na sam w jadalnym pokoju, zajętą krajaniem płótna rozłożonego na stole, powiedziałem jej otwarcie:

— Czy to warto tak się temi drobnostkami zajmować od rana do nocy? zapominając o całym świecie?

Hela z lękka zarumieniła się na to pytanie i patrząc nieśmiało odpowiedziała:

— Matka przyjęła do dworu jedną sierotkę ze wsi, małą, siedmioletnią, która nic nie ma z ubrania prócz bardzo podartej siermiężki, a sama uszyć sobie jeszcze nie potrafi.

Tak jej ślicznie było z tym rumieńcem i z tem spokojnem współczuciem w głosie dla sierotki, że jakiś czas nic nie mówiąc patrzałem za nią z boku.

— Cóż to za sierotka? — spytałem wreszcie, chcąc byle o co zapytać.

— Jej matka Oksena umarła przed miesiącem, a ojciec podobno już kilka lat temu umarł.

— Czy to pani ją wynalazła?

Hela podniosła ku mnie swoje nieśmiałe szafiry i znów spłonęła, jakby na to tylko, aby mię wciąż czarować rumieńcem.

— Sama tu przyszła na dziedziniec z innemi dziećmi, co teraz podczas żniw chodzą wszędzie nie mając opieki. Że była bardzo obdarta, więc ją zapytałam, czyja jest?

Powiedziała mi, że niczyja, a inne dzieci dodały, że z łaski nocuje u gospodarzy i z łaski ją ktoś czasem nakarmi. Powiedziałam o tem matce i matka ją zaraz wzięła do kuchni, nakarmiła i dała jakąś robotę. Zabrała się do roboty dziewczyna jak ogień.

W słowach Heli był nieumyślny, ale ciężki wyrzut dla mnie. Więcej jak miesiąc bawiłem na wsi, a nie przyszło mi na myśl ani razu, żeby przekonać się wiele jest nędzy do koła mnie na wsi i zaradzić jej o ile można. Szczególnie zawstydziła mię ta wzmianka o dzieciach zostawionych bez opieki podczas żniw, i wałęsających się samopas. Przecież tak łatwo mogłem zaradzić temu zakładając ochronkę. Postanowiłem sobie jak najprędzej to uczynić, a tymczasem chciałem korzystać z sam na sam i rozpytać Helę o różne szczegóły z ostatnich tygodni pobytu jej w mieście, kiedy zkądeś zjawił się ojciec i odebrał mi ochotę do pytania.

Mój Jędrzej od przyjazdu Heli stał się dziwnie markotny i jak nie swój. Trudno to zrozumieć tego człowieka, a odgadnąć co mu jest, niepodobna. Rozumiałbym, że jest niezadowolony z Heli, gdyby Hela siedziała tylko nad książką, a nie chciała brać się do roboty, ale tu właśnie dzieje się wręcz przeciwnie. Mógłbym go wreszcie posądzić, że się mnie obawia, ale przecież sam wezwał Helę do Rohatycz, a ja najmniejszem słówkiem nie nalegałem na to.

XIV.

2. sierpnia.

Owoż i skończyła się komedja, którą przez dwa lata grałem z przejęciem się godnem lepszej roli. Hela idzie za mąż za leśniczego z pobliskiego majątku, chłopaka młodego, przystojnego, uczciwego, któremu nic zarzucić nie można. Poznał ją jeszcze dawniej, kiedy przyjeżdżała na kilka dni do rodziców, a teraz po kilku odwiedzinach oświadczył się i został przyjęty przez Helę z otwartemi rękami. Wesele odbędzie się po żniwach.

Doprawdy nie wiem, po co ja to piszę, i po co ja tu siedzę jeszcze i nie mogę dobrze zdać sobie sprawy z tego co się stało i prawie nie wierzę jeszcze, aby mi ktoś mógł zabrać Helę, i żeby Hela mogła oddać się pierwszemu lepszemu, który po nią wyciągnął rękę.

Chwilami gotów jestem myśleć, że wszystko co się stało, jest żartem, że to jakaś wesoła ręka, naprzykład doktora, otoczyła mię siecią mistyfikacji i zapominam, że ani Jędrzej, ani Antonina nie pozwoliłyby sobie brać udziału w takim żarcie. Cóż mówić dopiero o Heli?

Ale czyż mogłem się spodziewać, żeby ta dziewczyna, w której widziałem istotę wybraną, czującą wyższe popędy, przeczuwającą szlachetniejsze zadania w życiu, od tych zadań i popędów do jakich wznieść się zdołają zwykle podobne jej istoty, czy mogłem spodziewać się,

żeby ta dziewczyna tak nagle, bez wszelkiej walki wewnętrznej, bez najmniejszego, zda się, żalu za tem, co opuszcza, zeszła ze swego piedestału i podała ręce człowiekowi, który przy najlepszych chęciach nie potrafi w setnej części ocenić nabytego skarbu i zawarła na całą wieczność przymierze z życiem, które czyniąc zadość potrzebom krwi i ciała, powoli obierze z wszelkich polotów jej myśli i uczucia, i zrobi z niej służebnicę swoją wierną, wytrwałą i bezmyślną jak zwierzę.

Niech zdam sprawę z tego, co się stało; być może, że mi to na papierze zrozumialszem się wyda, niż jak jest dotąd w głowie. Tego narzeczonego Heli, Ignacego, widywałem dość często u Jędrzeja przed przybyciem Heli, ale ani razu na myśl mi nie przyszło, że Jędrzej gotuje w nim sobie zięcia. Po przyjeździe Heli zacząłem częściej spotykać Ignacego w Rohatyczach, ale nie zwracałem na to uwagi; byłem pewny, że przyjeżdża tylko do Jędrzeja i z nim tylko rozmawia. Nie widziałem go nigdy z Helą rozmawiającego; raz tylko widziałem ich razem, a to kiedyś przy obiedzie i pamiętam dobrze, że do Heli nie przemówił wówczas jednego słowa, rozmawiał tylko ze mną, Jędrzejem i Antoniną. A przecież musieli rozmawiać z sobą, i porozumiewać się; Ignacy musiał bywać często w pokoju Heli, do którego ja nie śmiałem wejść ani razu, i tam zapewne zabrał ścisłą znajomość z Helą. Nie wiem dla czego nie lubiłem tego człowieka, zanim jeszcze dowiedziałem się, że stara się o Helę; nadskakująca grzeczność, jaką mi okazywał, odstręczała mię od niego

i dla tego może go czasem opryskliwie przyjmowałem, co mi się w stosunkach z innymi ludźmi nie zdarza. Musiał to spostrzedz Jędrzej, i ztąd zapewne pochodziła jego obawa, czy nie będę stawiał jakich przeszkód związkowi Ignacego z Helą. Być może, że to była także przyczyna, dla której Hela tak mię zawsze unikała, jak gdyby niechęć jakąś czuła do mnie. Tylko tych łez jej, zaraz przy pierwszem powitaniu nie mogłem dotąd zrozumieć, choć pewno były także w związku z jej małżeństwem. Antonina mi powiedziała, że to głowa bolała Helę dnia tego rano i ztąd łzy zapewne.

Otóż przedwczoraj po obiedzie, przy którym niezwykłe milczenie panowało i do którego Hela nie zasiadła, wymawiając się surowym postem, kiedy już miałem odchodzić do swego pokoju, prosił mię Jędrzej, abym zatrzymał się chwilkę, bo ma pomówić ze mną o ważnej rzeczy. Antonina wyszła, Heli nie było; byliśmy sami. Zadziwił mię uroczysty ton Jędrzeja i zaniepokoił; byłem pewny, że to o Helę chodzi. Usiadłem na sofie i prosiłem Jędrzeja aby usiadł koło mnie. Usiadł i zaczął mówić:

— Tyle dobrego zrobiłeś pan dla nas od dwóch lat, że trudno nam będzie kiedykolwiek odpłacić za to, nieraz myślałem ja o tem, choć po raz pierwszy dopiero mówię to panu, a to dla tego, że jest sposobność. Podałeś nam pan rękę w nieszczęściu, zająłeś się nami, jakby własną rodziną, i dałeś nam miejsce, jakiegobyśmy nigdzie nie dostali.

Ten wstęp niecierpliwił mię i niepokoił, chciałem co prędzej wiedzieć, co tam jest za nim utajonego.

— Nie mówcie o tem panie Jędrzeju — przerwałem mówiącemu — jeżeli wam trochę dobrego zrobiłem, to mi za to gorliwą i sumienną pracą wypłacacie wszystko z procentem nawet.

— Praca pracą, służba służbą, tak samo bym gorliwie i wiernie pracował i służył u kogo innego, choćby on nam nic dobrego nie zrobił. Najwięcej jednak z nas dłużna panu Hela, którą pan przez dwa lata opiekowałeś się jak ojciec, której pan dałeś sposobność uczenia się i dla której pan sam czas swój marnowałeś, dając jej lekcje. Nie byłaby moją córką, gdyby przez całe życie nie przechowała wdzięczności dla pana i o to się nie boję.

Było mi już tego za wiele.

— Panie Jędrzeju — powiedziałem — dajcie pokój tej wdzięczności, mówmy o samej rzeczy.

— Jeżeli panu mówię o tem, to dla tego, żem dotychczas nigdy panu nie dziękował za Helę, i tak by się mogło wydawać, jakobym był człowiek nieczujący. A że pan tyle dobrego zrobił dla Heli, więc ma pan do niej prawo, jakby drugi ojciec. Więc teraz, kiedy trzeba coś postanowić o niej, chcę, ażeby to, co się postanowi, było ze zgodą pańską.

Milczałem. Jędrzej mówił dalej.

— Chciałbym dziewczynę wydać za mąż. Nie ma co się z tem ociągać. Im wcześniej dziewczyna za mąż wychodzi, tem lepiej dla niej. Chciałbym ją wydać za Ignacego z Dąbrowy. Chłopak młody, zdrów, uczciwy i leśniczy z powołania, tak jak ja. Gospodarny jest przytem i rządny, co rzecz ważna, przypatrywałem się

pilnie jego pracy i podoba mi się. Uczył się także i umie dosyć...

Przeczuwałem już w toku rozmowy, że Jędrzej chce mi jakimś sposobem wydrzeć Helę na zawsze, tylko wybór Ignacego był mi niespodzianką.

— A Hela? — spytałem, o ile mogłem spokojnie. — Czyście pytali, panie Jędrzeju, waszej córki?

— O, to się rozumie. Nie dobrze to wprawdzie, jeśli dziewczęta chcą mieć swoją wolę, ale źle także jeśli rodzice robią na przekorę dzieciom. Ale tu, chwała Bogu, nie ma między nami sporu, dziewczyna polubiła chłopaka z całego serca.

— Bez niczyjej namowy? — zapytałem prędko, powstając z sofy.

Jędrzej powstał również i spojrzał na mnie wzrokiem, w którym była uraza.

— Z namowy nie można nikogo polubić, powiedział spokojnie i z godnością. — Namowy żadnej nie było, była tylko rada ojcowska, a bez rady ojcowskiej dobra córka nic ważnego robić nie powinna.

— Przepraszam was, panie Jędrzeju, nie potrzebnie pytałem was o to; powinienem był wiedzieć, że nie zechcecie zmuszać córki do niemiłego związku. Więc jeśli Hela...

— Nie chcemy postanawiać bez zgody pańskiej, a baliśmy się, żeby pan co nie miał przeciw Ignacemu. I Heli byłoby nieprzyjemnie, gdyby coś miała robić przeciw woli pańskiej.

Nic mię tak nie mogło rozgniewać, jak ta wzmian-

ka o Heli. Brakowało jeszcze tylko, abym został tyranem zagradzającym Heli drogę do szczęścia.

— Po cóż tu moja wola — powiedziałem — jeżeli go kocha.

Jędrzej spojrzał na mnie dziwnem okiem.

— Zdawało mi się, że pan nie lubisz Ignacego — powiedział cichszym głosem, i z pewną łagodnością, która mię od razu rozbroiła.

— Czy go lubię, czy go nie lubię, to wszystko jedno — mówiłem starając się już zupełnie panować nad sobą. — Woli waszej, rodziców, ani uczucia Heli nie chcę w niczem krępować, nie mam do tego najmniejszego prawa. Ponieważ Hela kocha Ignacego, to więc rzecz skończona. Zresztą dla czego mam go nie lubić? Czyż mi co złego zrobił? Chłopak młody, uczciwy, pracowity...

Jędrzej zaczął mi dziękować. Trudno mi było dłużej rozmawiać z Jędrzejem i udawać spokojnego. Uścisnąłem mu dłoń silnie i wyszedłem z pokoju. Ogarnęło mię dziwne uczucie niemocy; tak mi było, jakbym patrzał na wielkie budowy rąk moich co przed chwilą piętrzyły się wysoko a teraz w gruzach i trzaskach rozsypane dokoła układły się w równinę i zdawały się szeptać: „możesz na nowo budować, jeśli ci się podoba, ale patrzaj, czy warto.“

Puściłem się główną ulicą przez wieś, nie wiedząc wcale dokąd idę. Kiedym przechodził koło chaty, w której ochronkę małą urządziłem, doleciał mię ztamtąd głos Heli. Zatrzymałem się u drzwi i słuchałem. Dzieci, jak pszczoły w ulu, brzęczały wszystkiemi głoskami abecadła, a wśród tego brzęku przewijał się pełny, słodki i dźwięczny głos Heli. Żadna muzyka nigdy nie robiła na mnie takiego wrażenia, jak ten chór abecadłowy. Stałem pode drzwiami, jak przykuty, nieśmiąc wejść do ochronki, żałując odejść od niej, i nie wiem jakbym tam stał długo, gdyby któreś z dzieci drzwi nie otwarło, i obaczywszy mię, nie cofnęło się z przestrachem do sieni. Odszedłem co prędzej od ochronki i puściłem się dalej drogą przez wieś, potem przez pole. Nie wiedziałem dokąd idę, ani nawet jaką drogą. Bezładny ruch myśli i uczuć parł mię naprzód i nie dawał odpocząć na chwilę. Nagle ujrzałem śpieszącego ku mnie jeźdźca. Kiedy się zbliżył poznałem w nim Ignacego. Jechał ostrym kłusem, ale przejeżdżając koło mnie zwolnił kroku, ukłonił się i patrzał jak człowiek, który czeka, aby z nim zawiązano rozmowę. Patrzałem także na niego, zdawało mi się, że mam mu coś powiedzieć, a przecież nie wiedziałem, co mu chcę powiedzieć. Nie wiem, co sobie myślał Ignacy, widząc mię idącego pieszo, tak daleko ode wsi w gorącą porę popołudniową i patrzącego mu tak dziwnie w oczy; dość, że nie mogąc się doczekać odemnie początku rozmowy, ukłonił się po raz wtóry i zaciąwszy konia, ruszył kłusem dalej. Uczułem wtedy gwałtowną potrzebę mówienia z nim i z całem wysileniem zawołałem zanim:

— Panie Ignacy!

Szybko zawrócił konia i podjechał ku mnie. Patrzaliśmy znowu sobie w oczy, a ja znów nie wiedziałem co mam mu powiedzieć. Uczucia i myśli moje

były jakby w stanie rozczynu, żadne z nich nie mogło się skrystalizować i wyłączyć z chaosu. Pierwszy Ignacy zapytał nieśmiało:

— Pan Dobrodziej mnie wołał?

Głos Ignacego jeśli mi nie przywrócił panowania nad myślami, to przynajmniej wyrwał je ze stanu rozsprzężenia.

— Niech pan spieszy — rzekłem mu — Hela czeka na pana.

Ale Ignacy, zapewne w dowód uszanowania, zeskoczył żywo z konia i trzymając kapelusz w ręku, powiedział:

— Więc pan pozwala?...

— Pozwalam — odpowiedziałem machinalnie — ale powiedz mi pan szczerze, czy Hela kocha pana?

Na to pytanie Ignacy widocznie nie był przygotowany, bo jakiś czas patrzał na mnie z zakłopotaniem. Wreszcie powiedział:

— Zdaje mi się, że mnie kocha, inaczejby nie zechciała zostać moją żoną.

— Tak, bo przecież ojciec nie zmusza...

— Już mi to dawno pan Jędrzej powiedział, że córki zmuszać nie będzie, i że muszę sobie zasłużyć na jej łaskę. Jestem więc pewny, że mię kocha, i że będzie mi najlepszą żoną, i tak samo jestem pewny, że z nikim by jej lepiej nie było, jak ze mną. Nie dozna w niczem niedostatku, a nawet na książki żałować nie będę.

— Dobrze — powiedziałem — spiesz pan do Rohatycz, tam pewno czekają na pana.

Podałem rękę Ignacemu, który ją tak silnie uścisnął, jakby chciał całą wdzięczność przelać w uścisku, skoczył na konia, i puścił się galopem do wsi.

Stałem czas jakiś pośród drogi, patrząc za galopującym jeźdźcem, potem uczułem zmęczenie w nogach i usiadłem, a raczej położyłem się nieopodal na gęstej trawie obok niezżętego jeszcze łanu zboża. Dzika grusza, stojąca tuż nade drogą dawała mi trochę cieniu. Na drodze jak okiem zasięgnąć, było pusto i cicho; zato w zbożu grały świerszcze polne, brzmiały osy, brzęczały muszki, cała polna orkiestra przygrywała mi nad uchem. Dziwny był spokój i pogoda w tej muzyce, i dziwnego naraz zacząłem doznawać uspokojenia. Tkwiły mi w pamięci słowa Ignacego, że Heli z nikim nie byłoby lepiej, jak z nim; powiedziane były tak naiwnie i z tak głęboką wiarą, że zacząłem im wierzyć, a Ignacy zaczął mi się więcej podobać. Być może, że go Hela nie kocha nawet, a jest mu tylko przychylną, ale ta przychylność z czasem w skutek ciągłego pożycia wspólnego zamieni się w trwałe przywiązanie małżeńskie, które będzie lepszą zapewne podstawą szczęścia od wszelkich uczuć silniejszych, łatwiej naruszających równowagę wewnętrzną człowieka. Czyż byłaby ze mną szczęśliwsza, gdyby mię nie kochała, albo nawet gdyby mię tak kochała, jak kocha dziś Ignacego? Nie mogłaby odpowiedzieć moim uczuciom, moim wymaganiom, toby ją męczyło i bardziej jeszcze oddalało odemnie. Te rozmyślania uspokajały mię; uczułem potrzebę snu i zasnąłem tam w polu, nie wiele

troszcząc się o to, że mogę narazić powagę dzierżawcy na złe języki.

Kiedy się przebudziłem, już słońce było nad zachodem; wieczorny, rzeźwy wiatr zawiewał. Uczułem się pokrzepionym na siłach; zerwałem się z ziemi i szybko puściłem się do domu. Kiedym wchodził na dziedziniec, ujrzałem Helę na ganku. Mignęła mi tylko jej jasna sukienka i zaraz znikła we drzwiach. Zachciało mi się gwałtownie zobaczyć ją, popatrzeć na nią, dać jej uczuć, że szczere przymierze zawieram z jej szczęściem. Nie znalazłem jej nigdzie w pokojach dostępnych dla mnie. Do późnego wieczora krążyłem po ogrodzie, dokoła domu, myśląc, że może ją spotkam — ale nie spotkałem. Dopiero wczoraj przed obiadem zeszliśmy się z nią w jadalnym pokoju. Stół już był nakryty do obiadu, ale Jędrzejostwo jeszcze nie nadeszli. Hela sama była w pokoju. Powiedziałem jej, jak mogłem najspokojniej „dobry dzień“ i chciałem co rychlej nawiązać rozmowę do jej przyszłego małżeństwa, ale niepodobna mi było wymówić pierwsze słowo w tej rzeczy. Mówiliśmy więc o pogodzie, o żniwach bliskich już końca, a pomyślnych, o ochronce, o wszystkiem, tylko nie o tem, co nas oboje z pewnością najbardziej obchodziło. Wkrótce nadeszła Antonina, za nią Jędrzej i zasiedliśmy do obiadu. Przez cały obiad Hela nie powiedziała ani słówka; za to Jędrzej mówił ciągle o gospodarstwie i zmuszał mię do słuchania, choć i tak przynajmniej połowy z tego co mówił nie słyszałem.

I oto jest wszystko co wiem, co widziałem, co słyszałem. Wyrok na mnie wydany i podpisany, a sędziowie ani się domyślają nawet na co skazali osądzonego. Kiedy w uczuciach moich i nadziejach wszystko zruszone, poprzestawiane, pomięszane, dokoła mnie wszystko na swojem miejscu, wszystko się toczy zwykłym torem i dopiero teraz rozumiem, jak to się dziwnie musi wydawać prowadzonym na śmierć, że oni sami tylko giną, że oni sami tylko obchodzą największe święto przenosin ze świata, a wszystko cokolwiek spotykają po drodze, zajęte pracą dnia powszedniego, nie myśli łączyć się z nimi i ginąć.

Jestem tu teraz jak na popasie; dłużej zostawać nie mam po co, więc trzeba dalej jechać. Ale dokąd jechać? po co jechać? Mamże powrócić do mego miejskiego koła znajomych, do doktora, Jerzego?... czyż stosunek z nimi potrafi zapełnić choć w małej części tę próżnię, jaka się przedemną teraz nagle otwarła? Amelja śmiertelnie chora, jak mi donoszą w ostatnim liście. Nie wiem, czy to dla mnie szczęście, czy nieszczęście, ale to wiem, że jedyne ramiona, które się ku mnie wyciągały, przejęte dziś dreszczem śmiertelnej gorączki. A jednak trzeba ztąd jechać nie dziś, to jutro; na weselu Heli zostać nie potrafię.

W pośród chaosu ciemnych myśli błyska mi zamiar dalekiej wędrówki po krajach małoznanych. Kto wie, czy za kilka miesięcy nie ocknę się w sercu Azji, gdzieś pod Himalajami? Pamiętniki moje, jeżeli je dalej będę pisał, może się wówczas przydadzą komu.

XV.

1. września.

Zwierciadło moich marzeń, wątpień, cierpień, niechże z kolei stanie się zwierciadłem mojego szczęścia. Jakiś święty obowiązek, którego rozumem nie oceniam, ale któremu jestem posłuszny, nakazuje mi zapisać dziwny zwrot mojej doli, która mię z najuboższego żebraka w jednej chwili zrobiła najbogatszym z ludzi. Zostawiać pamiętnik bez zapisania tego zwrotu wydawało mi się zbrodnią, jakby niedbałem stawianiem trucizny między niedoświadczonymi bez ostrzeżenia, że to jest lekarstwo, które o śmierć przyprawia, jeśli nie jest użytem w określonej dozie i w wyjątkowym wypadku. Mogłem wprawdzie zniszczyć ten pamiętnik, i już nie mieć żadnej obawy, aby dostawszy się komu w ręce, nie stał się trucizną dla niego, a przecież nie odważyłem się odtrącać na zawsze od siebie tej szarej przeszłości, nie odważyłem się rzucić pamiętnika w ogień i wolę go dopełnić, sprowadzić do harmonji, ukoronować tym rozdziałem.

Dowiedziawszy się o ułożonem małżeństwie Heli z Ignacym, nie miałem co dłużej robić w Rohatyczach. Z każdym dniem było mi tam ciężej i smutniej. Postanowiłem wyjechać i to daleko, bo aż do Egiptu, a ztamtąd udać się do Azji. Zdawało mi się, że inaczej żyć nie potrafię, tylko w ciągłym ruchu, i pod rzędem coraz to nowych wrażeń. Przed tą jednak podróżą potrzeba mi było widzieć się z doktorem i Jerzym dla uporządkowania moich finansów i wydobycia pieniędzy na drogę. Rohatycze miałem zatrzymać w dzierżawie, naprzód dla tego, że nie chciałem Jędrzeja pozbawiać miejsca, powtóre, że dzierżawa opłacała się sama i jeszcze niezły zysk przynosiła.

Ale jeśli mi ciężko było zostawać w miejscu, w którem tak niedawno jeszcze wszystko przemawiało do mnie pogodą i nadzieją, to i nie łatwo było wyjechać ztamtąd. Nie łatwo mi było wyrzec się dobrowolnie widoku Heli, chociaż ten widok sprawiał mi więcej udręczenia, niż radości. Kilka razy naznaczałem dzień wyjazdu, i zawsze go odkładałem na później. Nie mówiłem, rozumie się, nikomu o moim zamiarze i dla tego nie potrzebowałem wstydzić się odkładania.

Ułożyłem się był już dawniej z Jędrzejem, że koniec żniw uczczony będzie hucznemi obżynkami. Wiedzieli o tem wszyscy w domu, wiedziała cała wieś, i wszyscy byli pewni, że będę należał do uroczystości. We wsi lubią mię dosyć, jako syna dawnego jej dziedzica, i nieraz słyszałem od włościan życzenie, abym z dzierżawcy stał się dziedzicem Rohatycz. Wyjeżdżając przed obżynkami, sprawiłbym wszystkim niemiłą niespodziankę, dla tego ostatecznie postanowiłem zatrzymać się do obżynków, i zaraz potem wyjechać.

Com robił przez tę parę tygodni, nie wiem, czy warto zapisywać. Włóczyłem się z nienabitą strzelbą po lesie, to znów pragnąc zaczerpnąć jakiegokolwiek życia, w przystępach wielkiego smutku, siadałem na

wózek i pędziłem w sąsiedztwo. Ponieważ najlepiej znałem dom państwa Otrębskich, więc też tam najczęściej jeździłem. Zbierało się tam zwykle najwięcej towarzystwa, i mogłem się trochę rozerwać, patrząc na rozmaite, często oryginalne figury. Szczególnie lubiłem tam zastać pana Kaspra, znakomitego łgarza, który gdzieś kiedyś był podobno wojskowym, a teraz słynął w sąsiedztwie z myśliwstwa i łgarstwa. Umiał on opowiadać niestworzone rzeczy z wielkiem ożywieniem i mogłem go słuchać godzinami. Dowiedziałem się przytem, że miałem szczęście podobać się pannie Michalinie, starano mi się nawet dać do zrozumienia, że rodzice panny chętnie by powitali we mnie swojego zięcia. Była to bardzo nędzna pociecha w ówczesnem mojem usposobieniu, a przecież doznawałem pewnego zadowolenia na myśl, że kiedy mię najuboższa dziewczyna odtrąca, pierwszy dom w powiecie ubiega się o mnie.

Powracałem zawsze z takich odwiedzin zmęczony, ale i znacznie spokojniejszy. Wywoziłem z nich tę mianowicie myśl pocieszającą, że jeśli nie jestem tak szczęśliwy i spokojny, jak moi sąsiedzi, to dla tego tylko, że natura moja daleko wyższe ma wymagania. Daleko więcej męczyły mię rewizyty, ale i to lekarstwo sprawiało swój dobry skutek. Byłem spokojniejszy po odjeździe gości, mogłem nawet zabrać się do książki. Tymczasem z Helą spotykałem się coraz rzadziej; dziewczyna zdawała się ulatniać, nigdzie jej nie widać było, i nawet na obiad często nie przychodziła, wymawiając się to postem, to jakąś naglącą pracą.

Nie dziwiłem się temu, wiedziałem, że szyje dla siebie wyprawę.

Nadeszły wreszcie obżynki. Wieczorem kiedy zżęto ostatnią kopę pszenicy, cały orszak żniwiarzy ruszył ku dworowi, śpiewając obrzędową pieśń swoją, tak dobrze mi znaną z dzieciństwa, w której święci się tryumf własnej pracy, a wyszydza lenistwo sąsiadów. Najpiękniejsze dziewczęta ze wsi przyniosły mi dwa wieńce: pszeniczny i żytni na głowach, a jeden ze starych wieśniaków przemawiał do mnie w imieniu całej wsi, życząc, abym żenił się, nabył na własność dawną posiadłość mego ojca, i mieszkał z nimi razem szczęśliwie i spokojnie.

Były to słowa tak serdeczne, tak uroczyste i proste zarazem, cały ten obrzęd tak żywo mi przywołał na pamięć pogodny obraz mego dzieciństwa, w ciągu którego byłem nieraz świadkiem i radośnym uczestnikiem podobnych uroczystości, chwila była tak smutnie dobraną, że potrzeba mi było zebrać całą siłę woli, aby zapanować nad rozdrażnieniem i poskromić bunt łez cisnących się do oczu. W kilku słowach podziękowałem wieśniakom za ich dobre chęci, i zawezwałem do wieczerzy, którą Antonina zastawiła na dziedzińcu przed kuchnią. Wszystko też tam natychmiast ruszyło i w pośród ochoczego gwaru zabrało się do jedzenia i picia. Po wieczerzy uprzątnięto ławy i stoły, muzyka wiejska zagrała i młodzież rzuciła się do tańca, któremu tylko księżyc niepełny przyświecał.

Wieczoru tego nie zapomnę nigdy, bom nigdy takiej nie doznał tęsknoty jak wówczas. Przechadzałem

się długo w noc po ogrodzie, nie mogąc zasnąć i nie znajdując w niczem rozerwania; podczas gdy na dziedzińcu wciąż muzyka grała i rozlegały się wesołe okrzyki tancerzy.

W pokoju Heli, którego okno wychodzi na ogród, długo się świeciło. Wzrok mój leciał ciągle do tego okna, jak ćma do światła, i jak ćma rozbijał się o szyby przysłonięte firanką.

Po kilkugodzinnej przechadzce takiej wzdłuż jednej alei lipowej uczułem znużenie i dreszcz w całem ciele i poszedłem do swego pokoju. Zdawało mi się że jestem w przededniu jakiejś ciężkiej choroby i to mię cieszyło. Już też rozeszli się ucztujący i nastała cisza. Rzuciłem się w ubraniu na łóżko i zasnąłem natychmiast, przez całą noc snując gorączkowe marzenia.

Nazajutrz przebudziwszy się, czułem się osłabiony, lecz spokojniejszy. Zaraz uwiadomiłem dom cały o moim wyjeździe, którego nagłość pomogły mi usprawiedliwić świeżo odebrane listy. Jędrzej przyjął tę wiadomość bez podziwienia, zdawało się, że był na to przygotowany, i nawet zadowolony wewnętrznie z mego wyjazdu, Antonina przyjęła z wielkim żalem, a Hela, którą tego rana spotykałem częściej niż zwykle, z powodu iż w wielu rzeczach musiała wyręczać matkę, zajętą moim wyjazdem, Hela zdawała się przyjmować tę wiadomość z jakąś doskonałą, prawie senną obojętnością. Nie zapytała mię nawet dokąd jadę i na jak długo, mimo iż wiedziała od rodziców, że wyjeżdżam na czas nieograniczony i nie spodziewam się prędko

powrócić. Przesuwała się podobna do spiącej, z kluczami w ręku z jednego końca domu w drugi, a na jej bledszej niż zwykle twarzyczce nie było znać nie tylko żalu, podziwienia, niepokoju, ale nawet najmniejszej ciekawości.

W skutek niezwykłego ruchu i zamięszania wywołanego moim nagłym wyjazdem obiad się nieco spóźnił. Przy obiedzie Heli znów nie było, i Jędrzej zapytał swej żony:

— A cóż Hela? Czemu nie siada do stołu?

— Głowa ją bardzo boli — odpowiedziała Antonina — więc mówiła, że jeść nie będzie, później chyba.

Oczy Jędrzeja błysnęły niespokojnym bolem.

— Mówiłem, żeby dała pokój już tym ciągłym postom — powiedział dość niecierpliwie. — W niczem te kobiety miary nie znają. Jak się chwycą czego najlepszego nawet, to przez zbytek zawsze zaszkodzą sobie.

Po obiedzie wyszedłem przejść się. Dzień był już na wpół jesienny: niebo szarym zaciągnięte obłokiem, powietrze chłodne, ziemia po deszczu rannym była wilgotną. Z drzew już gdzie niegdzie liście żółte odrywały się i bez szelestu, z cichą jakąś rezygnacją padały na ziemię. Miał to być ostatni dzień mojego pobytu we wsi rodzinnej, której już może nigdy nie miałem obaczyć, więc przyszła mi chęć rzucić po raz ostatni okiem i pożegnać wszystkie zakąty wioski. Wyszedłem główną ulicą, skręciłem na cmentarz, a ztamtąd ścieszką po pod płotami wiśniowych sadów obchodziłem wieś do koła, po drodze zbierając drobne wspo-

mnienia z dzieciństwa, jak barwne kamyki bez użytku, dobre dziś tylko do skaleczenia nogi. Tak idąc w koło wioski doszedłem do starego parku, prawie całkiem wyciętego z wyjątkiem kilku lip wysokich i obróconego dziś na ogród warzywny.

Do tego ogrodu nigdy nie zaglądałem, bo nie było tam miejsca dla przechadzki. Grzędy się tam pokładły jedna obok drugiej, roztaczając skarby jesiennej przyrody; czerwieniły się buraki, złociły się dynie, zataczając się aż w brózdy z rozkoszy, pyszniła się kukurudza strojną kitą, dalej ciągnęło się ciemno-zielone morze konopi. Prawie w samym środku ogrodu bujny chmiel wysoko piął się na tyczki, i zasłaniał od strony wrót niską altanę, także chmielem gęstym szczelnie oplecioną, która widocznie była jeszcze zabytkiem dawnego parku.

Na to wszystko patrzałem przez płot, i dziwnie mię to zastanowiło, jak mogłem dotychczas nie wiedzieć o istnieniu tej altany, ja, który tak często przechadzałem się po wsi i zwiedzałem rozmaite jej kąty. Nie chciałbym to przypisywać przeczuciu, a jednak wyznać muszę, że jakaś niespokojna, niczem nie usprawiedliwiona ciekawość owładnęła mną w tej chwili. Przesadziłem płot i brózdę między grzędami, a potem ścieszką spieszyłem ku altanie.

Już na kilka kroków przed altaną posłyszałem głuche, urywane łkanie. Dreszcz mi przebiegł po całem ciele, byłem już pewny, że odkopuję jakąś tajemnicę, choć nie wiedziałem jeszcze, co mi ona przynosi. Zwolniłem kroku, i z bijącem sercem, z tętniącemi

skroniami, z zapartym oddechem, podchodziłem z boku ku wejściu do altany.

Przed wejściem do niej wznosił sie gęsty las chmielu, i zabierał jej światło dzienne; więc gdy stanąłem u wejścia i zanurzyłem wytężony wzrok wewnątrz, to w pierwszej chwili nic nie widziałem. Przywitał mię mrok, a w tym mroku słyszałem łkanie; po głosie poznałem Helę. Zamknąłem oczy i gdym je po chwili otworzył, mogłem już był widzieć doskonale.

W środku altany był stół kamienny z trzech nieciosanych kamieni ustawiony na kształt ołtarza druidów. Przed tym stołem siedziała Hela, i pierś przyciskając do kamienia, na rękach na stół wysuniętych opierała czoło, i od chwili do chwili wybuchała głośnem łkaniem. Nie widziała mię, ja zaś stałem jak zaklęty, nie śmiąc się ruszyć, aby nie spłoszyć widzenia. W wyobraźni mojej wszystko się walić, przestawiać i szykować zaczęło w nowym porządku. Ta Hela, która miała wszystkie warunki, aby być szczęśliwą, w której sercu jak sądziłem nie zagnieździło się żadne silniejsze uczucie, ta Hela cierpiała i ukrywała się z cierpieniem swojem.

Nie wiedziałem co czynić: chciałem co prędzej zapytać Helę o powód jej cierpienia, a nie śmiałem jej zawołać, i nie wiem jakbym długo tam stał, gdyby ona sama po silniejszym wybuchu łkania nie podniosła głowy i oczyma na wskróś boleścią i tęsknotą przejętemi nie spojrzała na mnie.

Boleść, tęsknota wnet znikły jakby zdmuchnięte przestrachem, który błyskawicą zaświeciwszy w oczach,

twarz całą okrył przerażeniem i zatrząsł całem jej ciałem. Zerwała się z siedzenia, i tak drżąca, przerażona stała wpatrując się we mnie wielkiemi oczami, jak w jakieś straszne zjawisko.

Podszedłem ku niej, wziąłem ją za dłoń zimną i drżącą i zapytałem:

— Helu, co ci jest?

Chciała coś odpowiedzieć, otwarła usta, wargi jej drżały, pierś biła nierówną falą — ale słowa żadnego wydać nie mogła.

Byłem upojony nadzieją, którą mi to zdarzenie nagle w piersiach wskrzesiło; widok bladej i cierpiącej Heli odbierał mi pamięć o wszystkiem, prócz mego dla niej uczucia. Nie lękałem się niczego, nie wątpiłem o niczem, i nie czekając odpowiedzi, powiedziałem:

— Helu, ty nie wiesz, czem jesteś dla mnie, ty nie wiesz, że bez ciebie życie jest mi nocą, snem ciężkim, więzieniem, że ty jesteś dla mnie powietrzem, światłem, szczęściem.

Coś podobnego mówiłem, nie ręczę za dokładność. W uszach brzmiało mi od tych słów, co zdawały się tam przemijać w jakichś muzycznych esach i floresach, w oczach rozpływające się kręgi światła odbierały mi wzrok. Patrzałem na Helę, trzymałem ją za rękę, ale mogę powiedzieć, żem jej nie widział; widziałem tylko coś jasnego przed sobą.

Nie wiem przez jakie wrażenia przechodziła Hela, wiem tylko, że niespodzianie uczułem słodki ciężar na piersi: Hela wsparła na niej głowę, kładąc mi rękę

na ramieniu. Puściłem jej drugą rękę i otoczyłem ramieniem dziewczynę: Hela była moją.

Nie umiem powiedzieć, jak długo trzymałem ją w objęciu; straciłem wówczas wszelkie pojęcie o czasie i miejscu. Był to istny sen, jakaś powódź rozkoszna, zalewająca wszystkie zmysły, zatapiająca wszystkie władze ducha. Z tego snu zbudziła mię Hela, podnosząc głowę i zwolna wysuwając się z ramienia. Patrzała na mnie znów przerażonemi oczyma, rzuciła wzrokiem do koła siebie, jakby chcąc przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Na bladą twarz dwa rumieńce wyskoczyły żywe, w oczach jakaś wstydliwa duma zaświeciła. Pochyliła głowę i zmienionym ze wzruszenia głosem powiedziała:

— Wybaczy pan, muszę odejść, jestem chora, nieprzytomna.

Patrzałem na nią w podziwieniu. Była to jakby nie ta sama dziewczyna, przed chwilą jeszcze rozłamana boleścią i prawie omdlała od wzruszenia, teraz harda i przynajmniej pozornie spokojna.

Tak się rozstać nie mogliśmy. Powiedziałem do niej z żalem:

— Jedno słowo twoje Helu mogło mię zrobić szczęśliwym i silnym. Jedno słowo twoje mogło mię powstrzymać od tej drogi dalekiej a bezcelowej, w którą się wybieram. Kochałem ciebie od dawna i czekałem na twoją miłość; przez chwilę teraz myślałem, że mnie kochasz. Ponieważ tak nie jest, ponieważ przeczysz temu, więc pojadę, dokąd miałem jechać, to jest gdzie mię oczy poniosą, a ciebie, Helu, proszę, żebyś się nie

gniewała, że cię w tej chwili nie nazywam panią, bo to próżny zbytek dla człowieka, który kocha i który po raz ostatni rozmawia z tobą.

Dosłuchawszy słów moich, Hela usiadła na kamieniu, zakryła twarz rękami i zaczęła rzewnie płakać.

— Cóż Helu — powiedziałem po chwili milczenia i płaczu — nic nie dostanę prócz łez, żadnego słowa?

— Jabym panu chciała wszystko powiedzieć, ale nie mogę — powiedziała podnosząc twarz cichą i łzami zroszoną.

— Przecież ja nie żądam wszystkiego; żądam tylko jednego słowa, żądam Helu, żebyś mi powiedziała: „zostań“. W tem słowie powiesz mi wszystko.

— Ja nie mogę pana zatrzymać, panie Danielu. Mnie pana nie wolno kochać. Jestem narzeczoną Ignacego.

— Więc go pani kochasz?

Hela milczała.

— Helu — zawołałem z pełnej piersi — zaklinam cię na to, co masz najświętszego, powiedz mi tylko jedno: czy kochasz twego narzeczonego. Mam przecież trochę prawa wymagać od ciebie czystej jak źródło prawdy. Powiedz tak, lub nie.

— Nie — powiedziała z rozpaczliwą jakąś otwartością.

— A więc nie będziesz jego żoną, daję ci na to najuroczystsze słowo.

— Mój ojciec! — zawołała przerażona Hela, zrywając się z kamienia — panie, mój ojciec!

— Podaj mi rękę, Helu — powiedziałem — pójdziemy razem do ojca.

Patrzała na mnie podziwiona, niepewna i drżąca;

jak gdyby nie wiedziała, czy więcej się ma lękać tego zamiaru, czy cieszyć z niego; w oczach radość walczyła z trwogą.

Przystąpiłem do niej, wziąłem ją znów za rękę i powiedziałem:

— Więc to ojciec cię zmuszał? Nie sądzę, żeby chciał twego nieszczęścia. Chodźmy.

— Ojciec mię nie zmuszał i nie chciał mego nieszczęścia — powiedziała głosem głębokiego przekonania — ale powiedział mi takie słowo, żem wszystko sama oddała na jego wolę. Co mi poradził, zrobiłam, ale ojciec nie wiedział, jak mi ciężko było przyrzekać rękę Ignacemu, i jak mi coraz ciężej było z dniem każdym, i ja nie wiem, doprawdy, coby się ze mną stało, gdybym musiała przysięgać Ignacemu przed ołtarzem.

— Dobrze — powiedziałem — pójdę sam do twego ojca i pomówię z nim o wszystkiem. A jeżeli ci ojciec powie: Helu, ja ci żadnej rady już nie daję, słuchaj tylko twego serca i wybieraj; i jeżeli ja ci wtedy powtórzę, to com już powiedział, i będę cię na kolanach prosił o wyznanie, to wtedy? to wtedy Helu?

Stała przedemną, jak posąg przedziwny, blada, nieruchoma i milcząca. Z pod przywartych powiek łzy sączyły się i spływały po cichej twarzy. Te łzy były jej odpowiedzią, te łzy świadczyły, jak trudno jej było przy pełnem sercu do uczuć dobierać słowa. Nachyliłem się, przycisnąłem jej dłoń do ust i wypadłem z altany.

*

* *

Zdawało mi się, że mam skrzydła u ramion, u nóg i u skroni; sadziłem przez grzędy, płoty, rowy, jak jeleń, jak mój imiennik leśny, daniel. Wpadłem do domu, spłoszyłem Łukasza, układającego rzeczy do podróży, przestraszyłem Antoninę natarczywem pytaniem o Jędrzeja, złapałem nareszcie Jędrzeja w stodole i zaprosiłem go naglące do swego pokoju. Spojrzał na mnie niespokojnem okiem, ale natychmiast poszedł ze mną.

Kiedyśmy się znalezli w moim pokoju, bez świadków, zacząłem Jędrzejowi opowiadać, o ile potrafiłem w porządku i spokojnie całą scenę spotkania mego z Helą. Przemilczałem tylko o tem, żem wyznał Heli moją miłość; to wyznanie zachowywałem na koniec.

Jędrzej chodził wzdłuż pokoju, mocno zajęty myślami i najmniejszem słowem nie przerywał mi opowiadania. Tak wyglądał, jak człowiek, który już od pierwszego słowa domyślał się reszty i nie potrzebuje słuchać. Skończywszy opowiadać, zapytałem go:

— Córki, panie Jędrzeju, zmuszać nie będziecie do niemiłego ślubu?

— Nie — odpowiedział sucho i krótko, z wyrazem cierpienia w głosie. — Jak sobie pościeli, tak się wyśpi.

— Spodziewałem się, że tak zrobicie. A teraz zaklinam was na wszystko, na przyjaźń, jaką mam dla was, i jaką, wierzę, że macie dla mnie, na szczęście Heli, powiedźcie mi, w jaki sposób, mocą słów jakich, dała się nakłonić Hela do oddania ręki Ignacemu?

Wierzę, żeście jej nie zmuszali, a przecież musiał być powód jakiś...

— Dobrze — powiedział Jędrzej, zatrzymując się nagle na środku pokoju — ponieważ pan chce tego i zaklina mię na przyjaźń, więc mu powiem.

Tu Jędrzej znów zamilkł. Widać było, że to o czem miał mówić, było dlań niemiłym przedmiotem.

— Ignacego znałem od dawna — rozpoczął wreszcie — i wiedziałem, że mu się Hela podobała, ale nie myślałem o tem, żeby za niego koniecznie wydać Helę. Było jeszcze na to dość czasu. Na drugi dzień po przyjeździe Heli do nas, odbieram list pocztą od kogoś, nie wiem od kogo, bo się nie podpisał. Ten list jakby gonił za Helą, żeby nam po radości zaraz smutek przynieść. Najlepiej będzie, jak go panu pokażę, bo tak dobrze nie powtórzę jak tam jest.

To mówiąc, sięgnął do zanadrza, wyciągnął ztamtąd list starannie owinięty bibułą, i podał mi go. Spojrzałem na kopertę; pismo było mi nieznane, wyglądało jak dziecięce. Wyjąłem list z koperty, rzuciłem okiem na pismo i poznałem od razu, że pismo było kobiece. Nikt tego listu nie mógł napisać, tylko Amelja, i istotnie później po bliższem przypatrzeniu się poznałem jej charakter, mimo iż go starała się odmienić. List ten umiem na pamięć; pisała w nim mściwa pani:

„Pisze do pana osoba, którą przedewszystkiem obchodzi los pana Daniela, ale przesyła panu przestrogę, która się wprost stosuje do pańskiej córki. Wiesz pan o tem, że dobra sława dla młodej a ubogiej dziewczyny jest skarbem nad skarbami i że im mniej mówią o

dziewczynie, tem lepiej dla niej, tem więcej ją szanują. Na nieszczęście o Heli zanadto wiele mówią tu u nas w mieście, ażeby to nie miało szkodzić jej sławie. Zdarzyło mi się więcej niż kilka razy spotkać z potwarzą, którą, jak pan wiesz, ludzie zawsze chętnie się dzielą, jakoby pańska córka była kochanką pana Daniela. Tylko tym sposobem tłómaczą sobie to niezwykłe zajęcie się Daniela pańską córką. Jaką to zadaje krzywdę Heli, nie potrzebuję przecież pana o tem nauczać; zarazem szkodzić to może i Danielowi w zawarciu przyzwoitego związku małżeńskiego, którego, jako osoba sprzyjająca Danielowi, bardzo sobie życzę. Że z przestrogą zwracam się nie do niego, ale do pana, mam na to swoje powody; zresztą pan jesteś ojcem Heli, najlepiej potrafisz usunąć wszelkie pozory, któreby potwarz mogła na swoją korzyść obracać.“

— Dla czegoż mi pan zaraz tego nie pokazał? — zapytałem, odczytawszy list.

— Cóżby ztąd dobrego wynikło? Chwalić się nie było czem.

Jędrzej nie dopowiadał swej myśli, czułem, że na dnie serca miał trochę niewiary w czystość moich zamiarów względem Heli, ale jużciż się z tą niewiarą wyjawić nie chciał. Po krótkiej chwili zamyślenia znów zaczął:

— Ale ten list, to nie wszystko. Może w parę dni po jego odebraniu byłem na jarmarku w Litomirzu. Spotykam się tam z jednym znajomym oficjalistą z okolicy. Pyta mię o dom, mówię mu, że córka przyjechała, a on mię zaraz pyta o pana, czy pan tu ciągle

bawi. — Dla czego mię pytasz? ja jego znów zapytuję. — Dla czego nie mam pytać? odpowiada. W żart obrócił wszystko, ale ja panie, widziałem mu z oczu, że się już potwarz i mimo jego ucha przewinęła. Nie mogłem się długo namyślać. Nie miałem gdzie Heli odesłać, potrzeba było, albo się ztąd wynieść i szukać innego miejsca, albo co prędzej wydać dziewczynę za mąż. Zawołałem Helę i powiedziałem co o niej mówią. Z początku dziewczyna nawet nie zrozumiała tego, potem pobladła z oburzenia; skończyło się na płaczu. Ale płaczem tego zmyć nie można; powiedziałem to Heli. Dziewczyna mię wtedy pytała co na to poradzić? Jedna rada, odrzekłem, wyjść za mąż. Zacząłem jej mówić o Ignacym, że jest chłopak dobry, uczciwy, niegłupi i gospodarny, że byłaby z nim szczęśliwą, że niech się zgodzi, a wiem, że Ignacy z radością weźmie ją za żonę. Dziewczyna się jeszcze lepiej rozpłakała, że mnie aż to zgniewało. Powiedziałem jej, po co mię pyta o radę, kiedy nic nie umie tylko płakać. Płacz, płacz, powiedziałem, im więcej płakać będziesz, tem więcej ludzie będą myśleć, żeś winna. Jakbym ją żelazem gorącem przypiekł, zerwała się z miejsca z błyszczącemi oczami i powiedziała, że zgadza się być żoną Ignacego. Pytałem ją, czy za pół godziny znów płakać nie będzie i żałować. Powiedziała że nie. Pan może sobie pomyśli, że ja litości nie miałem nad dziewczyną, ale ja ją dręczyłem, żeby jej ludzie potem sto razy gorzej nie dręczyli. No, pokazało się, że daremnie. Skończyło się jak słyszę znowu na płaczu.

— Panie Jędrzeju — powiedziałem, wysłuchawszy

w gorączce całe opowiadanie, nie mówcie, że ten płacz jest daremnym. Nie jest on daremny. Pozwolił on mi sięgnąć na dno serca Heli, głębiej może, niż oko ojcowskie sięgło.

Jędrzej patrzał na mnie wzrokiem, w którym trwoga wyprzedzała się z przenikliwością.

— Tak panie Jędrzeju — mówiłem dalej — z tego ja płaczu dowiedziałem się, że Hela mnie kocha, chociaż to przed całym światem starała się ukryć.

Jędrzej wyprostował się, pobladł i patrzał, jak człowiek, który gotuje się do odparcia napaści, ale nie wie jeszcze jaką bronią, ani z jakiej strony nacierać nań będzie przeciwnik.

— A teraz, panie Jędrzeju, muszę wam powiedzieć, że i ja kocham waszą córkę, tak, jak by ją nikt inny pewno kochać nie potrafił; kocham ją od dawna, a jeżelim tego nie pokazał nigdy najmniejszym znakiem, to dla tego, żem nie miał najmniejszego śladu, że i Hela mię kocha. Jeżeli więc wam szczęście córki miłe, a macie trochę wiary we mnie, żem uczciwy człowiek, to mi ją dacie za żonę. Nie mówcie tylko nic, że nasze stany nierówne, bo jeżeli są w istocie nierówne, to się wnet zrównają jednem waszem słowem przyzwolenia.

Jędrzej patrzał mi w oczy i z początku słuchał słów moich z niedowierzaniem, i pewnym trudem myśli, usiłującej przeniknąć całe tych słów znaczenie; w końcu twarz jego okryła się głębokiem zamyśleniem, przeszedł się kilka razy po pokoju; znów stanął przedemną i biorąc moją rękę w swoje obie dłonie żylaste, uścisnął ją z całą mocą i powiedział:

— Widzę panie, że chęć wasza jest szlachetna. Jeżelim kiedy zgrzeszył przeciwko wam nieufnością, to mi przebaczcie, ale o córkę nie proście, nie, bo jej wam dać nie mogę. I to jest prawda, że dziewczynie zawróciła się głowa; spostrzegłem ja to zaraz po jej przyjeździe do nas, kiedym jej żartem powiedział, że pan się żenisz z córką Otrębskiego. Dla tego też chciałem ją tem prędzej wydać za mąż. Wszystko to prawda; ale, czyście się zastanowili panie, wiele to przykrości, a może nieszczęść powstałoby z takiego małżeństwa dla pana, dla Heli, dla nas rodziców i dla dzieci waszych? Czy jesteście pewni, panie, że za rok, za dwa lata, za dziesięć lat nie żałowalibyście tego, i nie zechcielibyście targać tych węzłów, co raz związane, niech się nie rozrywają? A czy wtedy Hela byłaby szczęśliwą, choćby chodziła w jedwabiach i jeździła karetą, czy nie byłaby szczęśliwszą z takim mężem, któremuby nawet przez myśl nie przyszło, żeby mógł pożałować swego małżeństwa z Helą?... Wiem ja także, co znaczy miłować się; bez tego małżeństwo nie wesołe; ale ta miłość, to jest tak jak kwiat na drzewie, silniejszy przymrozek zaskoczy, i kwiat się zwarzy a owocu po nim nie będzie. Lepsza teraz panie mała tęsknota, niż potem rozpacz wielka; to sobie pamiętajcie. Pojedzie pan teraz do miasta, rozerwie się tam, i nie za miesiąc, to za rok zapomni o Heli; Hela tu zostanie, trochę przeboli, a potem łzy oschną na młodych oczach. Ignacemu jej nie oddam, chyba

że kiedyś sama zechce. Zostańmy panie na swoich miejscach, kiedy nam tak dobrze. My pana z daleka czcić i miłować będziemy, a pan nas także będzie szanował. Kto wie, jakby to było, gdybyśmy się pobratali?

— Tak, panie Jędrzeju — odpowiedziałem — w waszych słowach jest prawdy dużo, ale całej prawdy nie ma. Ludzie ludziom nie są podobni. Jeden kocha i zapomina, drugi kocha i tylko przez tę miłość żyć potrafi. Czyby Hela mnie zapomniała, ja nie wiem; ile ją teraz poznałem, to łatwiej mi wierzyć, że tam w jej sercu przez całe życie zostałoby miejsce dla mnie. Czy ja ją zapomnę? panie Jędrzeju, żeby wam na to odpowiedzieć, powiem tylko, że chciałem jechać gdzieś w świat, do obcych, dalekich krajów, dla tego tylko, że myślałem, że Hela kocha innego, i zostanie jego żoną. Chciałem tam jechać, nie tylko, żeby jej nie widzieć, nie słyszeć o niej, ale nawet żeby nie spotykać ludzi, co ją znali, i co mnie znali wtedy, kiedym się cieszył myślą, że Hela może być moją. A myślicie może, że mi się tak łatwo druga kobieta podoba i to lepiej od Heli? Przecież nie jestem młodzikiem, który tylko co wyszedł ze szkoły i zakochał się w pierwszej kobiecie na jaką natrafił, ponieważ innych nie znał. Przecież uszedłem kawał życia, i spotykałem dużo kobiet na mojej drodze, i to kobiet co z podobania się robią prawdziwe rzemiosło; czemuż mi się żadna nie podobała? Poznałem Helę i pokochałem ją, bo była czysta i świeża, jak woda źródlana, i z Helą pokochałem świat cały. Nie odbierajcież mi mocy i szczęścia,

panie Jędrzeju. Boicie się, żebyśmy się potem mniej nie kochali i czcili? Ja się tego nie boję: córkę waszą znacie. Panie Jędrzeju, stoję przed wami jak syn przed ojcem.

Szczęście zrobiło mię wymownym: wzruszyłem żelazną naturę tego człowieka. Mrugnął parę razy oczami, jakby mu tam coś zawadzało, potem objął mię ramionami i przycisnął mocno do piersi, szeptem wymawiając:

— Chciałbym, żebyście byli szczęśliwi.

Wypuściwszy mię z ramion obejrzał się i powiedział:

— A matka?

— Z matką, panie Jędrzeju, pomówicie naprzód sami, potem ja przyjdę i ją poproszę, a potem poprowadzicie mię do Heli.

W pół godziny potem poszedłem do Jędrzejostwa, którzy siedzieli w swoim pokoju i milczeli. Jędrzej był blady i mocno zadumany. W oczach Antoniny łzy świeciły. Stanąłem przed nią, ucałowałem jej rękę i prosiłem, żeby mię uścisnęła, jak syna. Uściskała mię i rzęsistemi łzami oblała.

— Teraz — powiedziałem — chodźmy do Heli.

Ruszyli się starzy i poszliśmy do pokoju Heli. Siedziała pod oknem za krosnami i haftowała, za naszem wejściem zerwała się z miejsca i patrzała trwożnemi oczyma na wchodzących. Wiedziała Hela, że nad jej losem radzono, ale nie przewidywała, co postanowiono. To też, kiedy ojciec jej powiedział: „Helu, chodź bliżej do nas“, (a powiedział po swojemu szorstko)

wyszła z za krosien nieśmiała i cicha, jak skazana, oczekująca wyroku. Bała się gniewu ojcowskiego, wstydziła się może podchwyconego płaczu i wydartej z serca tajemnicy, nie wiedziała, co zbliża się do niej, czy burza gniewu i wyrzutów, czy jasna cisza zgody i przebaczenia. Stała pokorna i spokojna jakby gotowa zarówno na przyjęcie najsroższego wyroku, jak i największej łaski.

— No Helu — powiedział ojciec — ponieważ nie chcesz Ignacego, przyprowadzam ci innego męża. Twoje szczęście kładnę w twoje ręce. Co sama postanowisz, to się stanie. Rodzice dadzą ci błogosławieństwo.

Hela podniosła oczy i przenosiła je z ojca na matkę, i znów na ojca, jakby chcąc z ich twarzy przekonać się, że to co słyszała nie było złudzeniem. Jak światło ze zmierzchem, walczyła w jej oczach radość z niedowierzaniem. Radość się rozpalała coraz żywiej, niedowierzanie rozpraszało, cała twarz jej nabierała jakiegoś słonecznego blasku. Stałem na przeciw Heli, pośrodku pomiędzy ojcem a matką, i niecierpliwy już u wrót szczęścia, wyciągnąłem ręce do niej i powiedziałem:

— Helu, czekam na twoje słowo.

Spojrzała na mnie, niedowierzania już śladu nie było, twarz jej rozpłonęła uniesieniem radości, podniosła ręce jak skrzydła, i jak ptak zleciała w moje ramiona.

XVI.

Zakończenie.

W pół roku może po tej scenie, na której kończą się pamiętniki Daniela, w jeden z mroźnych, pełnych wiatru i zawieruchy wieczorów marcowych w saloniku rohatyckim, wygodnie i ozdobnie urządzonym, dokoła okrągłego stołu, na którym płonęła wielka lampa, nakryta umbrą, siedziało towarzystwo, złożone z czterech osób: Daniela, Heli, Jerzego i doktora. Było już po dziesiątej, rodzice Heli przyzwyczajeni do wczesnego snu, udali się już na spoczynek.

— Wiesz Danielu — mówił doktor — że nie mogę się napatrzeć tobie w twojej nowej postaci męża. Spodziewam się, że pani pamięta — dodał zwracając się do Heli — jaki to był z niego przeciwnik małżeństwa. Ciekawy jestem, jakich argumentów użyła pani, aby go przekonać inaczej.

— Pokochałam go — powiedziała Hela, rumieniąc się z lekka i spozierając na męża — i to był jedyny mój argument. Ale niech nam panowie powiedzą, jakich argumentów użył pan Karol, aby tak nagle nawrócić ku sobie serce Amelji?

— Amelja, jak państwo wiecie, była śmiertelnie chorą. Leczyłem ją i przekonałem się, że przyczyna jej choroby była czysto-moralnej natury. W istocie położenie majątkowe i towarzyskie Amelji przed chorobą było najopłakańsze. Ojciec wszystko utracił i nie miał czem

płacić długów córki; zlicytowano im wszystko do najdrobniejszego mebelka. Amelja była wprawdzie na to przygotowaną i kiedyś, śmiejąc się, mówiła mi, że wkrótce będzie musiała sama chodzić na targ po ziemniaki, na co jej powiedziałem, że to jej bez wątpienia posłuży na zdrowie, przecież nie spodziewała się, żeby ta ruina majątkowa tak fatalny wpływ wywrzeć miała na jej położenie towarzyskie. Dopóki jeździła karetą i przyjmowała gości w eleganckim salonie, nikomu na myśl nie przychodziło, mieć za złe Amelji, że nie żyje z mężem. Każdy stał po jej stronie i nie dziwił się, że zerwała „z tym nudnym a nieznośnym Karolem“. Ale kiedy nagle zabrakło jej koni, karety, salonu, kiedy się dowiedziano, że ojciec Amelji jest w nędzy, z której się dźwignąć nie zdoła, natychmiast inny wiatr powiał w towarzystwie i zaczęto patrzeć na Amelję, jako na ofiarę własnej winy, jako na kobietę, którą zasłużona kara spotkała. W swojem współczuciu dla niej, jej przyjaciółki salonowe okazywały tyle wyższości, a znajomi panicze tyle lekceważenia, że nie dziwię się wcale, iż po kilku dowodach takiego współczucia, Amelja cierpiąca już od niejakiego czasu na rozstrój nerwów, rozchorowała się śmiertelnie. Potrzeba było najmniejszej sposobności, aby choroba wybuchła; lekkie jakieś zaziębienie było tą sposobnością.

— A Karol? — zapytał Daniel. — Dziwi mię to, że dopuścił do licytacji.

— Karol — ciągnął doktor — nie miał tyle pieniędzy, aby mógł opłacić wszystkie długi Amelji i jej ojca, licytacja więc w każdym razie musiała nastąpić,

on zaś wolał z pomocą swoją zachować się na później. Przyznaję, że ja sam uwolniłem go od niektórych wątpliwości, przedstawiając mu, iż nic się bardzo złego nie stanie, jeżeli Amelja pozbawioną będzie wielu rzeczy, które do zbytku należą a nie do wygody, on zaś będzie mógł wykupić dla niej wszystko, cokolwiek mu się podoba. Tak się też stało. Karol wykupił dla Amelji jej fortepian, dwa wielkie zwierciadła, kwiaty, kanapę która stała w salonie, fotele, wiele różnych drobiazgów, i całe umeblowanie jej sypialnego pokoju. Najął dla nich, to jest dla niej i dla ojca, skromne mieszkanie z trzech pokoi złożone i umeblował je wykupionemi meblami, ale zanim miał czas urządzić to wszystko, Amelja, która zgodziła się jakiś czas przemieszkać w moim domu, była już niebezpiecznie chorą, i nie można było myśleć o przenosinach. Przyznam się, że przez długi czas moja medycyna była w wielkim kłopocie w obec tej choroby. Była to najstraszniejsza gorączka nerwowa, jaką kiedykolwiek leczyłem. Nie chciałem brać na siebie całej odpowiedzialności i wzywałem innych lekarzy na konsyljum. Przez trzy tygodnie prawie losy Amelji ważyły się pomiędzy życiem a śmiercią; przez cały ten czas była nieprzytomną. Joasia przesiadywała przy jej łóżku, ile jej na to czas pozwalał, ale najlepszym stróżem przy chorej był Karol. Siadywał on przy niej po całych nocach i zadziwiał mię swoim spokojem i przytomnością umysłu. Wreszcie zauważałem, że te bezsenne noce i Karola mogły nabawić podobnej choroby, musiałem więc formalnie zamykać drzwi na klucz przed nim do pokoju chorej, i

omal że nie miałem z nim sceny z tego powodu. Ale właśnie w tym czasie nastąpiła kryzys, Karol sam widział że jego troskliwość staje się zbyteczną i rzadziej zaglądał do pokoju żony. Była jeszcze i inna przyczyna. Amelja zaczęła przychodzić do przytomności bardzo prędko, a Karol nie chciał się jej pokazywać, czy to żeby swoim widokiem nie narażać jej na szkodliwe wzruszenia, czy dla czego innego, już tego nie wiem. Dowiadywał się zwykle, czy spi, i jeżeli spała wchodził po cichu do jej pokoju, patrzał na spiącą przez kilka minut i wychodził. Prosił nas także, aby nic nie mówić Amelji, że on siadywał przy niej po nocach, i że ją odwiedza podczas jej snu.

Doktor przerwał, aby zapalić podane sobie przez Daniela cygaro, a Hela zapytała:

— I nikt jej nie powiedział?

— Ja jej nie powiedziałem — powiedział doktor, zapaliwszy cygaro — ale dokazałby sztuki, ktoby potrafił powstrzymać moją kuzynkę od podobnego zwierzenia. To też zaraz zaczęła mię pytać Amelja: — Czy Karol tu bywał? siadywał przy mnie po nocach? — Zdaje się, że był parę razy, powiedziałem. — A Joasia mówiła mi, że on tu więcej jak przez dwa tygodnie siadywał przy mnie po całych nocach. — A to kuzynka musi lepiej wiedzieć odemnie, powiedziałem, zapewne z nim razem siadywała; dziwi mię tylko, że się tak ochoczo do tego przyznaje. Amelja uśmiechnęła się, widziałem, że z troskliwości mężowskiej była bardzo zadowoloną, przecież nie ośmieliła mię ani jednem słowem, abym jej przyprowadził męża. Dowiedziałem

się tylko potem od Joasi, że nieraz kiedy Karol przychodził i pytał, czy śpi żona, Amelja chociaż nie miała najmniejszej chętki do snu kazała mu mówić, że śpi i udawała spiącą, aby mu tylko pozwolić patrzeć na siebie. Była to dziwnego rodzaju gościnność, wręcz przeciwna tej, jaką praktykują na całym świecie, a która, jak wiadomo, polega na tem, aby udawać, że się nie śpi. Wreszcie Amelja powstała z łóżka. Była bardzo zmienioną; przecież nie przestała być piękną. Kiedy się pierwszy raz ujrzała w dużem zwierciedle, powiedziała mi:

— Wiesz doktorze, to mię wcale nie martwi, że jestem tak zmienioną.

— Spodziewam się, że nie martwi — odpowiedziałem — skoro pani wiesz, że za dwa tygodnie przyjdziesz pani do sił, i będziesz znowu...

— Będziesz znowu tak ładną, jak przedtem? nieprawdaż? Nie, nie zrozumiałeś mię doktorze. Powrotu sił oczekuję, to prawda, ale czy będę tak ładną jak przedtem, czy o wiele brzydszą, to mówię ci doktorze najszczerzej, że w tej chwili przynajmniej wszystko mi to jedno.

Trudno zaiste wierzyć kobiecie, kiedy mówi, że jej wszystko jedno, czy jest ładną, czy brzydką, a przecież miała Amelja tak coś szczerego w głosie, że jej uwierzyłem.

— Tylko chciałabym być bogatą, dodała uśmiechając się i widzieć tych zacnych ludzi, dla których dziś jestem zgorszeniem, jakby mi wówczas znosili kwiaty

swej grzeczności i miód swej przyjaźni. Sprawiałoby mi to przyjemność przez czas niejaki.

Od chwili kiedy Amelja powstała z łóżka, Karol przestał ją zupełnie widywać, tylko do mnie co dzień zachodził i zasięgał wiadomości o niej. Nic mi nie mówił o swoich dalszych zamiarach względem Amelji, ja go też wcale nie pytałem o to. Powiedział mi tylko, żebym Amelję, kiedy powróci zupełnie do zdrowia i zechce mój dom opuścić, ulokował w przygotowanem dla niej przez niego mieszkaniu.

Pan Adolf, ojciec Amelji, mieszkał tymczasem bardzo nędznie, w małej izdebce, która niczem nie przypominała dawniejszego komfortu, i starał się o jaką posadę, któraby mu dała sposób do życia. Byłoby bardzo trudno znaleźć jakiekolwiek miejsce jemu, człowiekowi staremu i mówiąc bez ogródek, niezdarnemu, gdyby nie Karol, który mu wykołatał posadę w jednym z banków. Była to podrzędna wprawdzie posada i płacę miała zanadto niską, aby się z niej pan Adolf z córką mógł jako tako utrzymać, ale Karol umiał tę rzecz tak dowcipnie urządzić, że pan Adolf pobierał z kasy dwa razy tyle niż mu się należało, i ani wiedział o tem, że połowa tych pieniędzy pochodziła z kieszeni Karola.

Amelja była bardzo rada, że ojciec tak prędko i tak korzystną znalazł posadę i zaraz zaczęła nalegać na niego, aby najął wspólne dla siebie i dla niej mieszkanie, zalecając, aby było jak najskromniejsze. Powiedziałem, że wyręczę pana Adolfa, że mam już upatrzone dla nich mieszkanie, i pewnego poranku zawiozłem

Amelję do owych trzech pokoików, które Karol od dawna już był dla niej najął.

Ujrzawszy swoje meble, zwierciadła, kwiaty i to wszystko ustawione mniej więcej na dawny sposób, Amelja spojrzała na mnie ze zdziwieniem, w którem było zarazem trochę rozrzewnienia.

— Co to jest? — zapytała.

— O co właściwie pani pyta? powiedziałem.

— Zkąd się tu wzięły moje meble, zwierciadła, moje kwiaty, ach i firanki nawet!... Doktorze, mów mi zaraz.

— Kazano mi powiedzieć, że to ja urządziłem pani taką niespodziankę, że to ja skupiłem meble, kwiaty, zwierciadła, które mówiąc nawiasem, ledwie się tu przez drzwi wcisnąć zdołały, że to ja nająłem pokoje i przygotowałem je dla pani, jak je pani teraz widzi. Cóż? czy nie zasługuję na wdzięczność?

— Pan ciągle żartujesz — powiedziała z dąsem.

— Czy można coś szczerzej opowiedzieć? — spytałem.

— Więc to Karol? — i wyciągnęła ku mnie dłoń z podziękowaniem.

— Nie miał on wielkiej nadziei, że to się ukryje przed panią, bał się tylko...

— Bał się, czego?

— Bał się, żeby pani, wiedząc iż to jego staraniom zawdzięczać musi, nie pogardziła tem wszystkiem.

Amelja usiadła na najbliższym fotelu, ukryła twarz w dłoniach i siedziała tak przez chwil parę, jak mi się zdawało, głęboko poruszona. Wreszcie podniosła głowę i patrząc mi w oczy, powiedziała:

— Widzisz pan, z mojej dumy nic nie zostało. Jestem żebraczka, przyjmuję jałmużnę.

To powiedziawszy uśmiechnęła się tak smutnie i pięknie zarazem jakby chciała pokazać, że ma jeszcze klejnoty, któremi hojnie potrafi opłacić jałmużnę.

Chciałem już odpowiedzieć jakąś grzecznością, ale grzeczność zastygła mi na ustach. Ucałowałem tylko jej rękę i powiedziałem:

— Dziękuję pani... za Karola.

Nazajutrz odbyły się przenosiny. Kiedy już zostawiałem Amelję w jej nowem mieszkaniu, powiedziała mi:

— Chciałabym się spotkać z Karolem i podziękować mu za wszystko. Kiedy on będzie u pana?

— Jutro o trzeciej popołudniu z pewnością zastanie go pani u mnie — odpowiedziałem.

Karol zwykle zachodził do mnie o tej porze, z obawy jednak, żeby się nie spóźnił, napisałem do niego karteczkę, wzywając aby przyszedł do mnie zaraz po obiedzie. Zjawił się niespokojny trochę i pytał, co za sprawa?

— Nic — odpowiedziałem — chciałem ci tylko opowiedzieć, jakem ulokował panią Amelję na nowem mieszkaniu.

Karol z sieni chciał zawracać do mego gabinetu, gdzie go zwykle przyjmowałem podczas pobytu Amelji w moim domu. Poprowadziłem go do salonu; usiedliśmy i zaczęli rozmawiać o mieszkaniu Amelji, o jego urządzeniu, wygodach i niewygodach. Nie mówiłem nic Karolowi, że Amelja wkrótce nadejdzie; jednak, jakby

przeczuwał, czy domyślał się tego, był niespokojny i trwożnie się oglądał na każdego, kto wchodził do salonu.

O umówionej godzinie nadeszła Amelja. Blada i wzruszona, cała w czarnym stroju, była bardzo piękną. Karol powstał z miejsca, drżał cały, nie wiedział jak ma ją przywitać. Ona wszedłszy do salonu, nie przywitała żadnego z nas, ale podeszła do Karola, usiadła obok niego na krześle i zaczęła mówić cichym i wzruszonym głosem:

— Przyszłam ci podziękować za wszystko coś zrobił dla mnie. Może nie przyjmując twoich ofiar, wydałabym się tobie szlachetniejszą, niż jestem, ale nie chcę ci się wydawać inną, niż jestem. Kto wie, na jakie drogi rzuciłoby mię ubóstwo i rozład wewnętrzny, kto wie, coby się ze mną stało, gdybym nie postrzegła, że są jeszcze ludzie, co mnie szczerze i bezinteresownie kochają.

Tyle tylko słyszałem. Wysunąłem się po cichu za drzwi, zostawiając małżonków sam na sam. Kiedy po godzinie wróciłem do salonu, Amelji już nie było. Karol przechadzał się wielkim krokiem po pokoju, na twarzy miał ślady wielkiego wzruszenia. Podszedł ku mnie i nic nie mówiąc, dłoń mi silnie uścisnął.

— Odeszła sama? — zapytałem.

— Odjechała — powiedział. — Nie śmiałem jej towarzyszyć.

— I nie odwiedzisz jej?

— Dziś nie, będę u niej jutro. Potrzebuję uspokoić się, myśli zebrać.

Przechadzaliśmy się jakiś czas w milczeniu, wreszcie Karol powiedział:

— Tak mi trudno wierzyć szczęściu, a przecież mam teraz nadzieję, że Amelja może mię pokochać. Wiesz, wyspowiadała się przedemną jak przed spowiednikiem ze wszystkiego najszczerzej, wyspowiadała się z rzeczy, o których bez niej nie dowiedziałbym się pewno nigdy.

Na wzmiankę o spowiedzi, Hela pochyliła się ku swojej robocie chcąc ukryć rumieniec na twarzy, zkąd wnosić można że musiała coś wiedzieć o dawniejszym stosunku Amelji do Daniela. Daniel spojrzał badawczo na doktora, ale ten ani na chwilę nie zmięszany, ciągnął dalej:

Znowu było milczenie, znowuśmy chodzili i znów sam Karol zaczął:

— Chcesz wiedzieć, jaką mi dała odpowiedź?

— Na co? — zapytałem.

— Prosiłem ją o pozwolenie powrotu do niej, a raczej o to, żeby wróciła do mnie. Nie chciała przystać na to i wiesz co mi radziła?

Zdaje się, że Karol przerywał sobie mowę pytaniem dla tego tylko aby zapanować nad wzruszeniem, które mu głos tamowało.

— Cóż takiego? — zapytałem.

— Oto żebym się z nią rozwiódł i ożenił się z inną, którąby lepiej ocenić umiała moje uczucia i więcej wartą ich była, z taką, którąby mię uszczęśliwić mogła, rozumiesz? Bo ona, mówiła mi, wątpi, czy komu szczęście przynieść potrafi i nigdy uczuciom swoim zawierzyć nie może. Słuchaj, mówiąc to płakała; pierwszy raz w życiu widziałem ją płaczącą.

— A ty? — zapytałem.

— A ja? te łzy mię upajały; nie mogłem mówić i nie wiedziałem zresztą co mam jej powiedzieć. Bałem się zmącić to uczucie, z którego łzy brały swój początek. Słuchaj doktorze, zdawało mi się, że ona zaczyna mię kochać, i wiesz, przychodziła mi myśl, żeby usłuchać jej rady.

— Wybacz — powiedziałem mu — ale nie odgaduję logiki twoich uczuć.

— Być kochanym przez nią, większego szczęścia nie mogę sobie wyobrazić. Ktoś wie, pomyślałem sobie, czy w pożyciu ścisłem z tak wrażliwą kobietą, jak Amelja, nie ostudziłbym powoli jej uczuć dla mnie, a przynajmniej czybym nie starł z nich tej barwy idealnej, która je odróżnia od wszystkich innych uczuć niższego rzędu. Rozstać się z nią, to znaczy zostawić nietkniętem w jej sercu to uczucie. Nakryła by je zapewne z czasem fala zapomnienia, usnęłoby może na dnie pamięci, ale za każdem przebudzeniem się, za każdem wyjściem z tej fali, wynurzałoby się czyste, świeże i nietknięte. Zostałbym w jej pamięci zawsze tym samym, jakim byłem rozstając się z nią. Ona nie dowierza swoim uczuciom, lęka się o ich trwałość. Powiedziała to i nie kłamała. Ja ją tem więcej kocham za tę pokorną szczerość, ale i tem więcej lękam się utraty skarbu, którego nareszcie dokopałem się w jej sercu. Czy mnie rozumiesz?

Gdyby mi to kto inny mówił, myślałbym że żar-

tuje, ale nadto znałem Karola, aby mu nie uwierzyć i nie zrozumieć jego idealnych pobudek.

— Więc bojąc się, byś skarbu nie utracił, chcesz go zakopać? — powiedziałem.

— Nic nie wiem jeszcze, nic nie wiem; jestem szczęśliwy. Nie mogę myśleć, chcę się przejść, jutro się obaczymy, do widzenia.

Nazajutrz przed objadem byłem u Amelji. Wydała mi się weselszą, zdrowszą, spokojniejszą; zdaje się, że to owa spowiedź, zrzucając ciężar z serca, czyniła ją tak lekką i wesołą. Prosiła mię, żebym pozwolił dzieciom przychodzić do niej z Joasią, mówiąc, że polubiła dzieci podczas pobytu u mnie. Rozmowa zeszła wkrótce na temat małżeństwa. Powiedziałem jej:

— Czy pani to zrozumie, jak mogą małżonkowie tylko przez miłość dla siebie żądać rozwodu?

Zarumieniła się lekko i zapytała:

— Więc mówił panu Karol...

— Mówił, i nie uważa tego wcale za dziwactwo.

— To jest? — zapytała niespokojnie.

— To jest, gotów usłuchać danej mu rady.

Śledziłem pilnie, jakie wrażenie wywrą te słowa na Amelji. Zbladła, umilkła, schyliła powieki, chcąc powstrzymać łzy, co się jej zakręciły w oczach.

Wreszcie zapanowawszy nad wzruszeniem powiedziała dziwnie pokornym głosem:

— Przyszedłeś pan, żeby mi to powiedzieć w imieniu Karola?

— Przeciwnie pani, przyszedłem, aby temu zaradzić.

Żałowałem, że Karol nie mógł widzieć oczu Amelji

w tej chwili. Zabłysły one wdzięcznością, która nie pozwalała już wątpić o uczuciach Amelji. Ten błysk wdzięczności przygasł natychmiast, zastąpił go rumieniec, żywszy niż przedtem.

— A jednak doktorze — powiedziała po chwili — Karol byłby szczęśliwszy bezemnie. Czuję to i dla tego się lękam.

— Byłby szczęśliwszy, gdyby pani nie znał nigdy i nie widział — powiedziałem — ale skoro już raz to nieszczęście się stało, naprawić go nie można, boby się tylko powiększyło.

— Czy pan to mówi na serjo? — zapytała.

— Jest to żart, proszę pani, w którym jest tyle pochlebstwa, ile prawdy.

Przekonawszy się, że Amelja w głębi serca nie tylko nie jest przeciwną połączeniu, ale i gorąco pragnie tego, pożegnałem ją i poszedłem wprost do Karola. Spotkałem go na drodze. Szedł do Amelji.

— No cóż? — powiedziałem — spodziewam się, że się dziś nie przyznasz do twoich szalonych zamiarów z dnia wczorajszego?

— Chcesz mówić?...

— Wiesz o czem mówię, o rozwodzie.

— Nic nie wiem jeszcze. Dobrze mi jest tak w tem zawieszeniu.

— Idziesz teraz do żony?

— Tak, idę.

— Cóż jej powiesz? ciekawy jestem.

— Powiem jej, że ją kocham, że potrafię ją kochać zdaleka, i żyć dla niej zdaleka, że...

— Mój drogi — przerwałem mu — przypominasz mi zupełnie tego biednego kupczyka, co całe życie stawiał na loterję, nic nigdy nie wygrywał i stracił wszystko co miał, a kiedy wreszcie wygrał wielką sumę, nie mógł wytrzymać tej wygranej i powiesił się z radości. Wygrałeś wreszcie to, co jest jedynem szczęściem twojem, żona cię kocha, podchwyciłem przed chwilą jej uczucia, i jeśli ci radzi rozwieść się, to czego innego pragnie w głębi serca; otóż wygrałeś największą wygranę, jaką wygrać mogłeś, a za którą zapłaciłeś całą przeszłością i chcesz się teraz wyrzec jej dobrowolnie. Czyż nie jest to to samo, co powiesić się z radości?

— Nie, nie mój drogi, to nie jest to samo — odpowiedział mi Karol spokojnie — ale nie myśl, żebym się nie chciał dać przekonać i zwalczyć. I owszem, tego tylko pragnę. Ale ta wygrana, o której mówisz, ta miłość Amelji, wydaje mi się takim cudownym i delikatnym kwiatem, że boję się go wziąć do rąk, aby się natychmiast nie osypał, boję się go dotknąć, aby nie stracił swej cudowności.

— Chcesz-że więc przez całe życie w mistycznem zachwyceniu patrzeć zdaleka na ów kwiat? Czy sądzisz już, że nie ma innych obowiązków i innych zadań w życiu? Czy myślisz, że taka marzycielska miłość, że serce wiecznie tęskniące, wiecznie zawieszone, nigdy nie zaspokojone, pozwoli ci spełniać je porządnie, spokojnie i z pożytkiem? Mój drogi, będziesz może najidealniejszym z kochanków, ale nie będziesz dobrym obywatelem.

Mówiłem mu dalej na ten temat, wykazałem niebezpieczeństwo, na jakie naraża Amelję, skazując ją na życie samotne. Kazanie moje silny wpływ wywarło na Karola. Słuchał mię, nic nie przeczył i uścisnąwszy mi rękę odszedł. Poszedł do Amelji.

Była tam scena, której nie znam, której się domyślam tylko z kilku słów Karola, który przyszedł do mnie nazajutrz rano, opromieniony szczęściem. Dość, że połączenie nastąpiło. Tegoż jeszcze dnia Karol z żoną przechadzał się po mieście ku wielkiemu podziwieniu dawnych znajomych Amelji, a w kilka dni mieszkał już z nią w nowem obszerniejszem mieszkaniu. Trzeba widzieć teraz panią Amelję jak jest ożywiona i wesoła, a Karol jaki szczęśliwy. No, skończyłem, proszę mi podziękować za tę ciekawą i nauczającą historję.

— Dziękujemy — powiedziała Hela, która pilniej słuchała doktora, niż to okazywała. — To prawdziwe szczęście, że się tak stało.

— I nadzwyczajne — dodał Jerzy — nigdym się nie spodziewał takiego zwrotu uczuć w pani Amelji i tak szczerej skruchy.

KONIEC.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 2595 A KS. ARCHIWALNY w Białymstoku
ATENEUM LWÓW
Miejska Biblioteka Publ... 7882 ...ałymstoku

7882